

Prus Bolesław

NOWELE

Tom I

OGRÓD SASKI

Mylisz się, kochany przyjacielu, jeżeli sądzisz, że zawsze samotny stapałem po żwirze, który w tej chwili tysiące nóg depce. Patrz, teraz naprzykład, w jak pięknem znajduję się kółku rodzinnem!...

OGRÓD SASKI

Mylisz się, kochany przyjacielu, jeżeli sądzisz, że zawsze samotny stapałem po żwirze, który w tej chwili tysiące nóg depce. Patrz, teraz naprzykład, w jak pięknem znajduję się kółku rodzinnem!...

Ta szanowna, aczkolwiek może nazbyt przysadzista matrona, w jedwabnej sukni, z tak tkliwym zaufaniem opierająca się na mojem ramieniu, to pani X., właścicielka nieco zadłużonych dóbr ziemskich.

Ten wysmukły, co chwilę rumieniący się anioł w aksamitnej garybaldce, to panna Zofja, córka poprzedzającej; ma osiemnaście lat, sześć tysięcy rubli posagu i wyobraża sobie, że w Saskim Ogrodzie wszyscy tylko na nią patrzeć i z niej wyśmiewać się będą.

Ten rozkoszny sześćioletni chłopaczek w niebieskiej sukience, przewiązanej pod ramionami lakierowanym paskiem, miłe bobo w kaszkieciku z aksamitnym guzem i jedwabnym fontaziem, to mały Franio, syn starszej, a brat młodszej mojej towarzyszki. Ten nakoniec dwudziestoletni płowowłosy wyrostek, wiecznie przestraszony i wiecznie wszystkim ustępujący z drogi, to kuzyn opisanej familji. Był jakiś czas w szkołach, obecnie bawi przy cioci jako praktykant gospodarski, pełni obowiązki tymczasowego wielbiciela panny Zofji i nosi aksamitną żokiejkę, jasnooliwkowe ineksprymable, popielaty żakiet i ciemnozielone rękawiczki, które zdają się stanowić dla niego przedmiot najwyższej chluby, nie wyłączającej bynajmniej silnego zakłopotania.

Gała nasza grupa, wraz z Bibi (kieszonkową, z rodzaju pinczerów suczką, której głowa przypomina duży kłębek

szarej bawełny), otóż cała grupa ceremonialnym krokiem posuwa się ku Saskiemu Ogrodowi. Idziemy zdaleka i podróż nasza trwa już około trzech kwadransów, ani na chwilę jednak nie tracimy dobrego humoru; w drodze parę razy kiwaliśmy na dorożkarzy, ale grubjanie ci, zobaczywszy tak liczną rodzinę, umykali, co im sił starczyło. Brniemy więc dalej, bawiąc się rozmową o ogrodzie, który od kilku dni spędza sen z figlarnych oczek panny Zofji.

— Ach, Boże! Boże!... — wzdycha mama. — Wlecziemy się, jak dziady na odpust... Ty pewnie żenujesz się iść z nami, panie Bolesławie, bo to my parafjanki...

— O pani! wszakże i ja sam jestem parafjaninem...

— To prawda, żeś ty wołyniak pocziwy!... Wy wszędzie tacy: serce złote, jak nie wymawiając u ciebie, a w głowie fiu! fiu!... jak u naszego kochanego Władzia na ten przykład...

Kochany Władzio wyszczerzył białe zęby w kierunku swoich zielonych rękawiczek, a po raz setny zarumieniona panna Zofja wtrącała:

— Ciekawam bardzo, jak też wygląda ten wasz sad saski, czy tam warszawski?...

— Musi być okrągły!... — domyślił się dwudziestoletni Władzio, przechodząc z prawej strony na lewą.

— Przeciwnie, kochany panie Władysławie — odparłem — jest czworoboczny, a jeżeli pana interesują szczegóły topograficzne, to dodam, że ma od wschodu Saski Plac, od zachodu targ za Żelazną Bramą, od południa ulicę Królewską, a od północy całą gromadę domów, przyległych ulicy Wierzbowej, Płacowi Teatralnemu i Senatorskiej. Słuchacz mój widocznie zrozumiał objaśnienie, ponieważ przeszedł z lewej strony na prawą.

— A wrotaż są jakie?... — spytała znowu panna Zofja tym rozkosznym głosikiem, któremu się nawet nonsensa wybacza.

— O, są pani!... całe z żelaznych krat...

— Ooo... oo! — zdziwiło się towarzystwo.
— Bram tych jest aż sześć...
— A... ooo!... — był nowy wybuch zdziwienia.
— Jedna — ciągnąłem — patrzy na Saski Plac, druga na kościół ewangelicki, trzecia na Marszałkowską, czwarta na targ, piąta na ulicę Żabią, a szósta na Niecałą...
— Mamo... mamó!... — zawołał nagle spotniały Franio — a przez płot czy będziemy przełazić?
— Franiu, bądź grzeczny! — zgromiła go siostra. — Niechże nam pan powie, cóż tam więcej jest?...
— Uważa łaskawa pani, jest naprzód cztery kąty...
— I chi! chi!... jaki ty zbytny, panie Bolesławie — ucieszyła się mama.
— Cztery kąty bardzo interesujące, ponieważ w północnowschodnim znajduje się strzelnica...
— Jezus! Marja! — zaoponowały damy.
— O, to sobie strzelę z parę razy!... — wykrzyknął Władzio i przeszedł na lewo.
— Strzelnica jednak nie funkcjonuje już od kilku tygodni...
— Coś się zepsuło... — zauważył Władzio już z prawej strony.
— W kącie południowowschodnim jest cukiernia...
— Aj... na lody, mamó, na lody!... — przerwała mi panna.
— Zajdziem!... zajdziem!...
— W kącie południowozachodnim jest zakład kumysowy, wody mineralne i mleczarnia...
— Chryste Panie!... — zdziwiła się mama. — W takim sadzie mleczarnia?... A zsiadłegoż mleka dostanie?...
— O dostanie!...
— Zajdziemże i tam...
— W kącie północnozachodnim jest plac dla dzieci...
— Bożeż ty mój!... — wykrzyknęła matrona. — A cóż o n y tam robią?...

— Bawią się z niańkami...

— Robaczki wy moje serdeczne!... Ach, bodaj ciebie, panie Bolesławie, że ty wiesz tak wszystko...

W czasie tych wydziwiań minęliśmy Saski Plac, przeszli ulicę, na której o mało nas nie rozjechano, i zbliżyliśmy się do głównego wejścia.

Zauważyłem, że twarz panny Zofji robi się purpurową, i że w duszy jej tymczasowego adoratora powstają niejake wątpliwości co do popielatego żakietu, ciemnozielonych rękawiczek i jasnooliwkowych uzupełnień.

— Nie można, nie można!... — odezwał się w tej chwili dozorca do jakiegoś bardzo podszarzanego jegomości.

— Zaco on jego nie wpuszcza?... — szepnęła mi do ucha strwożona mama.

— Bo ten jest źle ubrany — uspokoiłem ją.

— A nasze?...

Nie dokończyła frazesu, ponieważ z kolei zwrócono się i do nas:

— Państwo będą łaskawi wziąć pieska na sznurek...

— Bibi na sznurek?... Bibi?... — wykrzyknęła panna Zofja.

— No, jeżeli on się tak nazywa, to Bibi...

— Cóż to będzie, panie Bolesławie, kiedy my nie mamy sznurka?... To chyba ty, Władziu, musisz biedną Bibi odnieść do domu.

— A możeby ją można na szpagat?... — spytał surowego dozorca oszołomiony Władzio, po raz pierwszy zapominając o kolorze swoich rękawiczek.

— Można!... można!...

W odpowiedzi na przyzwolenie to, płowowłosy przyjaciel nasz wykonał kilka ruchów w okolicach swej żakietki, a za chwilę ładna Bibi, kaszląc i opierając się, asystowała nam przywiązana do krótkiego szpagatu. Czas był wielki, bo już i ludzie poczęli się na nas oglądać.

— Woda!... woda!... Leje!... leje!... — wrzeszczał uradowany Franio, patrząc na rzewnie płaczącą fontannę.

— Franiu, bądź grzeczny! — upomniała go siostra. — To pewno wodotrysk, panie Bolesławie... Ach, jaki piękny!...

Milczałem, nietyle myśląc o wodotrysku, ile o szeroko otwartej gębie dwudziestoletniego Władzia w aksamitnej żokiejce. Ludzie znowu gapią się na nas, panna Zofja znowu się rumieni... ja sam czuję pewne zakłopotanie... Szczęściem, Bibi wydziera się z rąk swojego pogrążonego w kontemplacji przeciwnika...

— Łapaj, Władziu!... — woła mama.

— Trzymaj, Władziu!... — powtarza panna. Rozpoczyna się gonitwa, w czasie której Bibi z pod nóg

jakiegoś dziecka wpada na ogon jakiejś damy, zaplątuje się sznurkiem o pałasz jakiegoś wojskowego, a wkońcu dostawszy niechcący kijem od podeszłego jegomości, podkula ogon i z rezygnacją poddaje się ubezwłasnowolnieniu. Uważam, że spacerujące grupy poczynają się serjo zajmować wypadkiem Bibi, garybaldką panny Zofji i żokiejką pana Władysława, — co wszystko, razem wzięte, nie dodaje mi bynajmniej otuchy. — Mamo, chodźmy dalej!... — prosi wysmukła Zosia.

— Idźmy — odpowiada mama — ale nie środkiem. Tu same elegantki spacerują, i spaliłabym się ze wstydu, gdyby na nas tak dłużej patrzyli. Odchodzimy w aleję na prawo i znajdujemy wolną ławkę. Około strzelnicy jakaś dziewczynka bawi się toczeniem obręczy, druga skakaniem przez sznurek, trzecia podbijaniem ogromnej piłki, a kilku chłopców bieganiami i wrzaskiem.

Jeden z nich, w ubiorze marynarskim, zbliża się do nas i pyta z ukłonem:

— Proszę pana, która też godzina?

— Trzy kwadranse na trzecią.

— Ach, jaki grzeczny chłopaczek! — szepcze mama. Marynarz zauważył Frania; chwilę popatrzyli sobie obaj w oczy, wreszcie przybyły, zwracając się z powtórny ukłonem do mamy, rzekł:

— Niech pani będzie łaskawa temu małemu pozwolić bawić się z nami.
— Owszem!... owszem!... Idź, Franiu, bawić się z tymi grzecznymi chłopczykami — odparła mama. — Ach, jakież cudowne dzieci są w tej Warszawie!

W okamgnieniu zmieszanego Frania otoczyła gromadka dzieci, i rozpoczęło się śledztwo:

— Kawaler umiesz się bawić?

— W co kawaler umiesz się bawić?

— To jakiś mazgaj!...

— A skąd kawaler?...

— My z mamą i z Zosią i z Władziem, jesteśmy aż z K...

— Panowie!... bawmy się w jenerała — zaproponował marynarz. — Wy będziecie żołnierzami, ja jenerałem, a ten mały koniem...

— Dobrze... dobrze... hura!...

Za chwilę mały Franio, trzymając sznurek w zębach, podcięty parę razy batem, cwałował pomiędzy drzewami. Jenerałowie i żołnierze zmieniali się co kilkanaście sekund, ale przybysz z K... ciągle był koniem i w charakterze tym dotąd galopował, aż zmęczony i wyćwiczony pejczem, upadł na ziemię, zanosząc się od płaczu. Towarzysze jego rozpierzchli się jak wróble.

— Ach, to nicponie te warszawskie dzieci!... ach! to urwisy!... — woła przestraszona mama, uspakajając, trzepiąc i obcierając Frania. Wreszcie kiedy przeszło i to zmartwienie, ruszyliśmy wpoprzek alei głównej ku mleczarni.

— Chryste Panie... jakie ogony te damy noszą!... jaki tu kurz!... Taż odsapnąć nie można... zupełnie jakby kto stado owiec przepędził!... — lamentowała jejmość.

— Panie Bolesławie — pyta urocza Zosia — a co znaczą te beczki?

— To do polewania ulic...

— Ach, prawda! też tu wyraźnie błoto w alejach... kurz i błoto! Oto mi sad!... u nas na okólniku porządniej... — A gdzież tu warzywa sadzą? — przerywa pani.

— Tu nie sadzą warzyw — odpowiadam.

— Nie sadzą?!... A drzeważ fruktowe są?...

— I tych niema...

— Niema!... Więc od czegoż wy ten sad trzymacie? — Od... to jest... dla świeżego powietrza...

— Piękne mi świeże powietrze, jak pragnę szczęścia!... Wy tu zmarniejecie z takim świeżem powietrzem..., Ach, jakież fetor!... cóż to znaczy?...

— O, to nic, proszę pani!... Idziemy w tej chwili aleją, przytykającą do ulicy Królewskiej, na której rynsztoki trochę pachną...

— Aaa... ooo!...

Otóż i mleczarnia. Towarzystwo moje z uwagą patrzy na delektujących się krowiami produktami warszawiaków. Wołam pannę.

— Co państwo każą?...

— Hładyszkę zsiadłego mleka i sitnego chleba — odpowiada jejmość. Panna wytrzeszcza oczy.

— Mamo — szepcze Zosia — jakoś to mleko nieładne... U nas czeladź takiegoby nie jadła, dajmy spokój!...

— Fiu!... — gwizdże Władzio. — Albo to mleko zsiadłe? to maślanka!... U nas w K.... zsiadłe mleko krajaćby można...

Panna ulatnia się, poznawszy o co chodzi.

(Uważam, że pierwotny zachwył szanownej mamy naszej na widok ogrodu zmniejszył się o trzydzieści procent).

— Panie Bolesławie — mówi do mnie — a dzieciż tu daleko?... Chodźmy do tych niebożątek.

Około Żelaznej Bramy przecinamy po raz drugi aleję główną i wchodzimy na plac, zawalony gromadą żyjących ciał ludzkich.

Dzieci i ich niańki, rozmieszczone jak śledzie w beczce, siedzą, leżą, śpią, płaczą, szyją, rozmawiają, słowem, robią wszystko, co komu na myśl przyjdzie.

— O rany Chrystusa!... — woła mama. — Jakto, więc na tym placu bez trawy, w tym kurzu, w tej ciasnocie, bawią się dzieci tutejsze? O Boże! Boże!... toż u nas na wsi cielętom lepiej!... Patrzajże, panie Bolesławie, jakie to małe dzieckowima, pewno mu się jeszcze ząbki nie wyrzynają, a ono już tu?... Nianiu!... nianiu!... — zwraca się do jednej z piastunek — a czego to dziecko tak płacze?...

— A bo, proszę pani, już mleka niema w butelcze, więcz nie ma czo szszać...

— To ono butelkę ssie! a gdzież matka?...

— Pani ż panem s z ą w ogrodzie, ale pani s z a m a nie karani...

Poważna moja przyjaciółka machnęła gniewnie ręką, i poszliśmy dalej.

— Czy to bóżnica, proszę pana? — pyta mnie uśmiechnięty Władzio, wskazując na ogromny, elegancki budynek w guście szwajcarskocochińskim.

— To letni teatr, panie...

— Aaa!... proszę pana, a tenże budynek murowany na górze, co to jakby maszynka do gotowania kawy?

— To rezerwoar wodny...

— Aaa!... A tenże parów, to co takiego?

— Sadzawka...

— Sadzawka bez wody... chi!... chi!... A tenże chłopiec z gęsią?

Fontanna...

Aaa!... To proszę pana, woda idzie przez chłopca, czy przez gęś?

— Przez gęś...

— Aaa! A toż korytko nad sadzawką?

— Strumyk dla ptaków...

— Aaa!.. to ptaki w Warszawie znaczą błoto jedzą?

— Tylko piją...

— Aaa!...

W tej chwili napatacza się znowu jakiś chłopczyk z gołymi nogami, po szkocku.

— Która godzina, proszę pana?

— Kwadrans na czwartą... .

— Mamo!... zajdźmyż na te lody... — prosi panna Zofja.

— A zajdźmy!... Wiedźże nas, panie Bolesławie — odpowiada bardzo zachmurzona mama.

Jeszcze raz przecinamy aleję główną; pani zatyka nos, panna rumieni się, kawaler otwiera gębę, Franio czepia się za rękę matki, a Bibi płacze się między nogami swego kornaka, który woła:

— Panie! panie!

Kilku panów ogląda się, ja jestem różowy.

— Panie! — powtarza posiadacz aksamitnej żokiejki — to tu w Warszawie i drzewa blachą latają? Naco to tak?

Ponieważ nie wiem: „naco to tak?” — więc milczę i uważam tylko, że białe zęby mego interlokutora, na osobach zajmujących ławki, robią niemniejszy efekt od jego ciemnozielonych rękawiczek i szpagatu, na którym ciągnie Bibi.

— Proszę pana... co to za figura?... — pyta nieśmiało panna Zofja, wskazując posąg, zarówno cierpiący na brak podpisu, jak i na niedostatek garderoby.

— Zosiu!... nie patrz tam — upomina ją mama — bo to nieprzyzwoicie!... Zosia płonie, Bibi szczeka, a cała nasza karawana zbliża się do cukierni, gdzie wchodzimy nareszcie i zajmujemy stolik pod werendą.

— Co państwo każą?... — pyta markier, wyglądający z pozoru na człowieka, który lepiej się zna ze słodyczami niż z mydłem.

— Ja proszę o lody — dysponuje mama.

— I ja o lody — powtarza córka.

— To i ja o lody — konkluduje Władzio.

— A ty, panie Bolesławie?...

— Proszę o czarną kawę...

— A dla Frania ciasteczko — decyduje jejmość.

Markier znika i po pewnym czasie zjawia się z tacą pełną żądanych efektów.

— Ach! jakie małe porcje lodów!... — dziwi się mama.

— Może państwo będą łaskawe zapłacić z a r a.

— Cóż to znaczy?... alboż my uciekamy?...

— Ja tego nie mówię, ale niektórzy goście są takie, że wychodzą i nie płacą

— wyjaśnia egzekutor.

Czuję, że jestem tak ponsowy, jak panna Zofja i jej mama, która, nie ociągając się dłużej, wydobywa woreczek i pyta:

— Co się należy?...

— Trzy porcje lodów — rachuje markier — czterdzieści pięć kopiejek...

— Takie małe porcje po piętnaście kopiejek?

— Ja nic na to nie poradzę!... Filizanka kawy siedem i pół kopiejek...

— Na Nowym Świecie pięć kopiejek — przerywa dama.

— Ja nic na to nie poradzę!... Ciasteczko pięć kopiejek.

— Gdzie indziej lepsze kosztuje trzy...

— Razem pięćdziesiąt siedem i pół kopiejek — sumuje markier.

Przez ten czas wycelowano na nas wszystkie szkiełka; w powietrzu poczynają się krzyżować uwagi.

— Wełna!... — mówi jeden.

— Facet w żokiejce jest pyszny... wygląda na forysia...

— Gąska niczego, choć anachronicznie ubrana.

Słuchając tych uwag, towarzystwo moje kręci się; ja jestem fioletowy, i nawet Franio ma minę przestraszonego. Tylko ostrzyżona Bibi zachowuje się obojętnie i robi przez ten czas znajomość z czekoladowym angielskim charcikiem. Wreszcie ruszamy.

— Gąska kapitalna!... — żegnają nas eleganci.

— Wyjdźmy już, mamó, z ogrodu — mówi ze łzami w oczach panna Zofja.

— Aaa!... upadam do nóg za ten wasz Ogród Saski — irytuje się mama — już mnie tu drugi raz nie zobaczycie... Wolę ja swój sad w K...

— Moje nowe rękawiczki za siedemdziesiąt pięć kopiejek pęknięte!... — wzdycha Władzio, i zapewne skutkiem zmartwienia, przy samem wyjściu przydeptuje i obrywa łokciowy ogon jakiejś damie.

— A... fu... otom się skapał!... — myślę i postanawiam odtąd nigdy nie akompanjować na spacerach antypodom, którym się nie podoba Ogród Saski.

Nam jednak, bądź rodowitym, bądź naturalizowanym warszawiakom, wystarcza ta klatka bez dachu. Mamy w niej, co prawda, zakurzone i „połatane,” lecz zawsze dość jak dla nas zielone drzewa; mamy klomby, wprawdzie niekoniecznie czyste, ale wygodne i do naszych wyobrażeń o porządku wcale nieźle zastosowane; nie brak też miejscami kwiatów różnobarwnych i trawników płowych, a przypominających od tygodnia niegoloną dziadowską brodę.

A ile tam alei kasztanami wysadzanych, ile gracowanych ulic, jaki obszar!... Wprawdzie na szerokość ogród nasz nie ma więcej jak około trzystu sześćdziesięciu pensjonarskich kroków, lecz za to długi jest na sześćset przeszło kroków tragicznych, takich, jakimi prowincjonalni artyści posługują się dla wywołania najwyższego efektu.

Oprócz budynków, nie mających wielkiego związku z galerjami sztuk pięknych, prócz cukierni i mleczarni, posiadamy w tym lubym zakątku namiot owocowy, pyszną altankę wód gazowych i resztki loteryjnych szalaśów, wymowne świadectwo naszych filantropijnych uczuć.

Szkoda jednak, żeśmy się już pozbyli strzelnicy i jeszcze nie doczekali choćby skromnej bawaryjki; szkoda również, że nad planem głównego wodotrysku jakaś gospodarska pracowała fantazja. Jak na największą ozdobę takiego ogrodu, nie dość było ustawić na ziemi dużą balją, w niej ogromną miskę, w tej kolosalną podstawkę do naftowej lampy, a na wierzchu imponujących rozmiarów spodek. Jeżeli Warszawę, w braku popiołów i lawy, piasek kiedy zasypie, wątpimy, aby odległa potomność zadawała sobie dużo trudu nad odgrzebywaniem tego dzieła najnowszej sztuki.

Około dziesiątej zrana, gdy ucichnie już muzyka w zakładzie wód mineralnych i opadnie kurz, wzniecony bajecznie długimi miotłami stróżów, wówczas do ogrodu schodzą się emerycy, niańki i bony z dziećmi, tudzież kilkunastu próżniaków, lubiących czytywać książki na otwartem powietrzu. Tajemna nić sympatji pociąga dzieci ku emerytom, próżniaków ku romansowym bonom, a wtedy dziwne widowisko przedstawia się oczom obserwatora.

Poczciwe sześcionożne ławki, z gwałtownie w tył wygiętymi poręczami, przybierają wówczas wygląd huśtawek, w których na jednym końcu siedzi bona z haftem lub książką, na drugim próżniak z książką lub papierosem. Napozór między osobami temi niema najmniejszego związku, oboje bowiem siedzą do siebie tyłem. Przechodzący jednak w znacznej odległości od tych par dziwnych, a obdarzeni ostrym słuchem, łatwo przekonać się mogą, że długość ławki nie przeszkadza rozmowie, i że Amor figlarny umie kaleczyć serca nawet plecami do siebie odwrócone.

Im wyżej słońce podnosi się na sklepieniu niebieskiem, tem bardziej zbliżają się nasi samotnicy, a gdy w południe kompas zgromadza ludzi poważnych dla uregulowania zegarków, wówczas tkliwą parę oddziela już co najwyżej pół ławki. Wtedy zwykle do rozmarzonych dwójek zbiega się krzykliwa tłuszcza dzieci, wołając: „jeść!” — bony odchodzą, a szczęśliwi

zdobywcy ich serc, schyleni na poręczach ławek, zapadają w drzemkę, która niekiedy usiłuje zastąpić im obiad.

Południe minęło już od kilku godzin; w ogrodzie kipi śmietanka towarzystwa. Uśmiechnięte, promieniejące, szeleszczące, spowite we wszystkie barwy nieba i ziemi, królowe stworzenia w obłokach tkanin spłynęły do alei głównej. Wobec szczebiotu ich ptaki milkną i przestaje dyszeć wiatr, zabłąkany między liśćmi.

Burzliwa fala chodzących, wciśnięta między żywe brzegi widzów, dzieli się na prądy, nieustannie zmieniające kierunek i miejsce. W tej chwili wszystkie płyną w jedną stronę, w następnej dwa w prawo, trzy w lewo, dalej jeden w prawo i jeden w lewo. Czasami na mgnienie oka fale nikną, aby natychmiast powrócić, zetrzeć się i znowu zmacić. Olśniony błyskawicami spojrzeń, odurzony tysiącem oddechów, ogłuszony kaskadą słów, wstrząsany uraganem dziwnych uczuć, cofasz się wtył i dostrzegasz... gromadę gadatliwych dwunogów, niewiadomo dlaczego Wałęsających się wśród gęstych tumanów kurzu...

O życie! i czymże ty jesteś bez złudzeń?...

Już noc zapadła; w Teatrze Letnim grają operę, a tłum bezpłatnych wielbicieli piękna, zakłętego w dźwięki, snuje się około fatalnych sztachetek. Jakiś namiętny meloman, wbity między dwa drzewa, surowe wejście ciska na mnie, który szelestem nóg poważylem się przypomnieć mu cały niesmak miejsc gratisowych.

Nie przeszkadzam! nie przeszkadzam!... lecz i nie zazdroszczę. Z tego punktu słuchany tenor przypomina nawoływania rozwożących węgle, sopran spazmy, a bas pastwisko.

Lecz otóż znowu aleja główna; przechodniów niewielu, a ławki prawie puste. Siadam na jednej, aby podsłuchać szeptów.

— Nie byłaś wczoraj...

— Nie mogłam...

— Unikasz mnie, gniewasz się!...

— Nie...
— Pozwól mi rączkę... Wszak mnie kochasz?... Nie kochasz!... No, powiedz czy kochasz?...
— Nie... wiem...
— O kochasz!...
— Puść mi pan rękę...
— Nie puszczę...
— Puść!... Pomyśl tylko, co z tego będzie?... GŁOS ZDALEKA. Mamo!... mamo!... gdzie mama?... GŁOS BLIŻEJ. Ja tu, Maniu... chodź, chodź!... Idźmy stąd; zostańcie w pokoju, szczęśliwi! Dusze wasze zbyt zajęte są w tej chwili, abyście mogli słyszeć szmer nadciągającej burzy i pojąć złowrogą przepowiednię, jaka padła na was z ust dziecka.
Jak cicho!... tylko młody ptak skrzeczy w gęstwinie... Dlaczegoż i ja nie miałbym dzielić spojrzeń moich między gwiazdy jasne i kochające oczy?...
Widzę jakieś światła. Tu błyszczą lampy altanki z wodą sodową, tam zapałka... Co mnie wreszcie obchodzą zapałki, woda sodowa i wszystkie wynalazki, kiedy mam dokoła noc, a nad głową niebo i drzewa szumiące? Niby znam te miejsca, a nie znam? Zdaje się, że zblądziłem, i robi mi to przyjemność!

Obecnie doczekałem takiej chwili, w której zachwyca nas osławione kwilenie ptaków i rozrzewnia zdyskredytowany księżyc. Jaki nawał uczuć!... zdaje się, że wyśpiewałbym całą duszę moją, która przecież jest inna, aniżeli u innych ludzi, ale... jeść już chcę, a przytem obawiam się, aby miejsca nie zabrakło w „Kurjerze.”

O BADANIU ŻYCIA CODZIENNEGO

Najlepszą filozofją życia jest połączenie wesołego żartu z pobłażliwą wzgardą. Chamfort.

W poprzednim rozdziale okazałem ci, że jedną z przyczyn ludzkich niepowodzeń są złudzenia, pochodzące stąd, że mało znamy życie. Obecnie wypada mi zastanowić się nad naturą i ważnością badań życia codziennego, badań, które ci tak gorąco zalecałem i zalecam.

Aby poznać swój przedmiot, chemik potrzebuje retort, odczynników, ważek i tygielków, — astronom teleskopów, zegarów i mnóstwa innych narzędzi; dla człowieka chcącego zbadać życie codzienne, wystarczą zmysły, trochę uwagi i pamięci i szczypta zdrowego rozsądku. Szukając materiału dla siebie, naturalista wdrapuje się na szczyty gór, zstępuje do głębi kopalń, zwiedza pustynie i oceany; człowiek praktyczny przedmiot swój ma pod ręką, a im lepiej chce takowy poznać, tem rzadziej myśl jego wybiegać musi za obręb codziennych stosunków.

Jeżeli więc chcesz być człowiekiem praktycznym, obserwuj przedewszystkiem to, co się dzieje w tobie i koło ciebie, niczego nie lekceważąc. Dopiero na tej drodze poznasz masę faktów i fakcików, stosunków i stosuneczków, stanowiących życie codzienne. Jeżeli zaś zniechęcisz się kiedy i spytasz: naco mi się to przyda? przypomnij sobie następującą historją:

— Naco mi się to przyda!... — wołał z płaczem Wojtuś, którego ojciec, organista, batogiem zapędzał do organów i kantyczek. Tępo też szły studja i pierwej Wojtuś został Wojtkiem nim grać się nauczył; śpiewał tylko jako tako z podartej książeczki. Niedługo stary zmarł, a proboszcz głupiego Wojtka wygnał z plebanji i nowego przyjął organistę. Dziś chodzi nieborak ode wsi do wsi, z odpustu na odpust, śpie

wajac przez nos wedle reguly ojcowskiej i czesto sobie powtarzajac: „Oj! pocom ja biedny sierota grac sie nie nauczyl!...”

Wynika stad bardzo piekna sentencja, ta mianowicie, ze wszystko sie przydaje na tym bozym swiecie, nawet to, do czego niekiedy najmniej mamy ochoty.

„Sercem ukochany wnuku moj — pisala pewna babka — ucz sie, albowiem lepiej byc slupym niz glupim, pilnuj swoich rzeczy, bo kijem tego, co nie pilnuje swego i zwracaj baczna uwage na wydatki, albowiem jest napisano: pamietaj rozchodzie zyc z przychodem w zgodzie. Z uwaga tez ludziom sie przypatruj, bo mowi przyslowie: zjesz pierwszej beczke soli, nim poznasz czlowieka, — a nadewszystko zdrowia nie zaniedbuj, bo niejeden juz powtarzal razem z poeta:

Szlachetne zdrowie! Nikt sie nie dowie Jato smakujesz, Az sie zepsujesz...

„Gdy rozmawiasz, bacz na slowa twoje, bo znac z mowy, jakiej kto glowy. Unikaj zlých zebrań, bo z kim sie wdajesz, takim sie stajesz, ale bywajac w jakimś towarzystwie, poznaj je i stosuj sie do niego, albowiem wszedlszy między wrony, krakaj jak i ony.

„Różnych ludzi napotkasz w swiecie i ciebie samego różne napotkaja przygody, nigdy jednak nic i nikogo nie chwal i nie gan zbyt prędko, bo mowi przyslowie: lacno bladzi, kto skwapliwie sadzi. Nie zważaj również na drobne ludzkie ułomności, albowiem kazdy dudek ma swój czubek.

„Dbaj o czystosc ciala i ubioru, bo jak cie widza, tak cie pisza — i staraj sie byc dla kazdego uprzejmym, bo pokorne cielego dwie matki ssie; inaczej postepujac, zniechecisz ludzi do siebie, a przeciez reka reke myje, noga noge podpiera!

„Nigdy nie zaniedbuj spraw drobnych, bo ziarnko do

ziarnka, zbierze się miarka, nie porzucaj małych korzyści dla wielkich nadziei, bo lepszy zając w miechu, od niedźwiedzia w puszczy — i nie zakładaj sobie zbyt obszernych planów, aby nie powiedziano: chciał Kuba zostać panem i został gałganem.

„Gdy spać idziesz, zwiń sobie papiloty, albowiem białogłowy k'sobie nęci, komu się włos kręci, (ja sama nawet dla kręconych włosów poszłam za twego nieboszczyka dziadka); staraj się też o łaskę płci naszej, pamiętaj, że gdzie djabeł nie może, tam babę pośle. Po pacierzu zaś przypominaj sobie zawsze wypadki z dnia całego, bo ten w drodze nie szwankuje, kto dobrze woza pilnuje.

„U nas nic nowego — słoty tylko i słoty, zwyczajnie w marcu jak w garcu; palimy też sobie na kominku i przypominamy lepsze czasy: przypomniała sobie babka, kiedy panną była. Roboty jest dosyć, bo każda Teresa ma swoje interesa, a że siły nie starczą, ponieważ i dąb na starość skrzypi, więc i kłopotów coniemiarą; albowiem kto nie domierzy okiem, dopełni workiem. Ciocia Basia posyła ci sakiewkę: dobry mieszek za grosz, gdy w nim dukat siedzi; ciocia Różia książkę do nabożeństwa: kto z Bogiem, Bóg z nim; ciocia Femcia placki i makagigi: dobra psu i mucha; ciocia Zosia trzy pary wełnianych skarpetek: lepiej dmuchać niż chuchać, — ja zaś daję ci moje błogosławieństwo i cztery czepki nocne i zaklinam, abyś zawsze w nich sypiał: kto nie słucha ojca, matki, — ten słucha psiej skóry. Pamiętaj tedy o tem, moje dziecko, i przyjeżdżaj na święta choć droga fatalna, albowiem niema złej drogi do mojej niebogi.”

Chciałem ci posłać wyjątki z listu pocziwej kobieciny, alem się rozpędził i cały przepisałem; mniejsza o to, nic nie stracisz, odczytawszy go uważnie, list ten bowiem jest typem owych ustnych i piśmiennych kazań, jakie wam wszystkim rodzice, ciotki, babki i wujowie wypowiadają przy każdej sposobności. „Pilnuj siebie i swego mienia, zwracaj uwagę

na ludzi i wypadki, szanuj zdrowie i t. d.” Oto są rady zbawienne, które jednym uchem przyjmujecie, drugim wypuszczacie; a przecież na tych

drobiazgach opiera się spokój i szczęście człowieka, jak ci tego następująca historia dowiedzie.

Krewny nasz, Franciszek, jeszcze w uniwersytecie będąc, z niedbalstwa i nieuwagi słynał. Jeżeli pożyczął od kogo pieniędzy (a trafiało mu się to bardzo często), naznaczał termin zwrotu prawie co do godziny i minuty, lecz nie pomyślał, skąd weźmie funduszków w dniu owym. Jeżeli wybierał się do kogoś z odwiedzinami, zawiadamiał o nich na kilka tygodni przedtem, lecz często obiecywał być w jednym czasie u osób w różnych punktach mieszkających, a najczęściej do żadnej nie poszedł. Miał wielu znajomych, o których nazwisku ani położeniu towarzyskiem nie wiedział, a trafiało się również, że swoich kolegów i krewnych, a nawet rodzonej matki na ulicy nie poznawał. Słowem, był roztargniony jak niewiele. Kto chodził w jego koszulach, czyjemi chustkami on sam nos ucierał, o tem ani jemu, ani nikomu wiadomo nie było. Cóż dopiero mówić o jego zniszczonym i poplamionym surducie, poczochranej głowie, niesymetrycznych butach i spodniach, które ząb czasu dezelował we wszystkich kierunkach!

To też sarkał ciągle biedak na świat i złe losy, czemu się nie dziwię, ponieważ z powodu niedbalstwa i nieznajomości stosunków ludzkich, nieustannie doznawał zawodów, a z drugiej strony nie badając życia, nie umiał wykryć prawdziwej przyczyny złego.

Raz np. nastreczono mu dobrą korepetycją w pewnym bardzo dystyngowanym domu. Skakał Franuś z radości, bo był goły jak węgorz, — skakali przyjaciele i powinowaci, bo był im winien kupę grosza. Trzy dni trwało wesele, rosły projekta, rozchodziły się pieniądze na rachunek przyszłych zbiorów, — czwartego dnia złożył Franuś owym państwu

wizytę, po której struty do domu wrócił, milcząc jak ryba i nawet nie mając się fajki, zwykłej pocieszycielki utrapionych. — Co ci to Franuś? — mówi jeden.

— Czy cię puścili w trąbę? — pyta drugi.

— Możesz się zakochał? — dodaje trzeci.

— No! — woła czwarty — odpowiadaj, czyś zgłupiał?

— Wszystko jest marność! — westchnął Franciszek i legł na łóżko z miną człowieka, któremu to tylko pozostaje do zrobienia. — Los mnie prześladowuje — szepnął po chwili i oczy zamrużył.

— Cóż się więc stało? — pytają chórem koledzy i razem wierzyciele.

— Ha, cóż — odpowiada nasz kuzyn — nie mam lekcji, bo ci państwo już korepetytora nie chcą!...

Jaki taki ze słuchaczy w głowę się poskrobał, ale rady nie było.

Tymczasem rzecz miała się, jak opisano niżej:

Zaledwie Franuś wszedł w progi swoich domniemanych chlebodawców, wnet do interesu przystąpił i układy o lekcją rozpoczął, — i z kim? oto z lokajem. Ów rozweselony mocno, wiedzie Frania do państwa, u których było parę osób z wizytą. Franuś, nie tracąc miny, kłania się tak, jakgdyby chciał wytrzeć obuwie o posadzkę, rzuca czapkę na stół między sztuczne kwiaty i szklane fatałaszki, siada na krześle w sposób, który odrazu wykrył wszelkie niedokładności jego garnituru i zaczyna rozmowę w ten sens:

— Słyszałem, że państwo potrzebujecie tu korepetytora?... A gospodarz na to:

— Najmocniej przepraszamy łaskawego pana za zawód, ponieważ prawie w tej chwili zdecydowaliśmy się korepetytora nie przyjmować;

— No! więc już nie jestem potrzebny — rzekł nasz kuzyn, biorąc do ręki czapkę.

— Z prawdziwą przykrością... — bełkotał gospodarz i od

prowadził do drzwi Franusia, który wielką swoją finansową klęskę przypisał zawziętości losu, zamiast obwiniać o nią lichą garderobę, paskudny ukłon i całe swoje ordynaryjne obejście się z ludźmi.

Tak regulował swoje interesa ten fenomenalny, a skądinąd poczciwy i pracowity chłopiec i było mu źle przez cały ciąg uniwersyteckich studjów.

Lecz, że wszystko mija na tym świecie, skończyły się więc i jego nauki, a z nimi razem i życie knajpiarskie; wkrótce też dostał nasz kuzyn posadę nauczyciela przy gimnazjum w X., dokąd niebawem wyjechał i skąd ani jednego listu już do mnie nie napisał. Upłynęło lat sześć.

W owej epoce spadł mi na kark proces familijny, mający się rozegrać w trybunale miasta X. Niewiele tedy zwłócząc, zebrałem trochę grosza i jechałem na sądy, pomny, że nierychło do domu powrócę. W drodze myślałem o tym i owym, a między innymi i o Franciszku, który jako miejscowy, według mego zdania, wielce mógłby mi ułatwić popychanie sprawy. Projekt ten klinem utkwiał mi w głowie, zaledwem więc przybył do hotelu w X. i trochę się ogarnął, wnet wyszedłem na miasto zachwycić języka o naszym krewniaku. Traf zdarzył, że zdybaliśmy się w cukierni. „Jak się masz” — „jak się masz” — „co robisz?” — „co robisz?” — daliśmy sobie trochę buzi, wypili i przegryźli niemało cukierniczego paskudztwa, pogadali o znajomych, westchnęli za nieboszczyków i uradzili na końcu, abym ja u Franciszka zamieszkał. Słowo się rzekło; nie tracąc zatem czasu, wpadliśmy do hotelu, łachy pod pachy i marsz do kwatery.

Tylkom wszedł, złapałem się za łeb: „O Chryste, ratuj grzesznika! — jęknąłem w duszy. — Czyste zburzenie Jerozolimy.”

Było cztery pokoje, dwa zamieszkałe, dwa puściuteńkie, aż cię strach zbierał, człowieku, kiedyś do nich wszedł. Po

dłoga jak święta ziemia, ściany i szyby haniebne, a jeżeliś stąpnął głośniej, echo gadało po kątach!

Gdzie Franuś popasał, było nieco ludniej i brudniej. Więc w jednej komnacie łóżko nakształt karawana stół, na którym znalazłeś tytoń i cukier, książki i świecę. Na tem krzeselku ręcznik, na owem kamizelka, — na oknie samowar i para szklanek, na stołku miska. Obok pieca pod prześcieradłem na ścianie wisiało coś; przekonałem się później, że to cała garderoba naszego kuzyna.

W pokoju drugim był kufer, paka, deską nakryta, i papierzysków jak w śmietniku; w całym zaś lokalu myszy po podłogach, a pluskwy i pająki po ścianach wielkie czyniły procesje.

Myślę sobie: „A tom wpadł!... jak Daniel do lwiej jamy, albo Jonasz do wielorybich wnętrzności” — i zrobiło mi się bardzo nijako.

Wkrótce przecież rozwaga wzięła górę i zamiast desperować, jałem się porządkować. Więc pluskwy wyparzyłem, lokaja wyczubiłem, podłogę wyskrobałem, dziury pozalepiałem, oknam poodnawiał, sprzętów ponastawiał i w tydzień u siebie było mi jak w niebie. Rzekłem więc w duchu: teraz się, już biedzie nie dam, a może potrafię z niej i Franusia wykaraskać.

A na taką rzecz był czas niemały, bo któregośkolwiek zmysłu użył dla zebrania o tym mizeraku wiadomości, zawsze znalazł tylko jedno i jedno, oto: wielkie zaniedbanie w gospodarstwie, upadek na duchu, konfuzją w stosunkach z ludźmi.

Póki gadał o historii naturalnej, a ty zamrużone oczy miałeś — rosło ci serce z radości, tak płynnie i rozumnie odzywał się. Mówisz tedy: „Ej! to chłop niczego, ma głowę nie do pozłoty i język jak sty Jan Złousty!!”

Ale jakieś oczy otworzył, wszystko ginęło, bo nie mogłeś przypuścić, żeby na takiej głowie rosły takie nieczesane włosy jak u niego,

dłoga jak święta ziemia, ściany i szyby haniebne, a jeżeliś stąpnął głośniej, echo gadało po kątach!

Gdzie Franuś popasał, było nieco ludniej i brudniej. Więc w jednej komnacie łóżko nakształt karawana stół, na którym znalazłeś tytoń i cukier, książki i świecę. Na tem krzeselku ręcznik, na owem kamizelka, — na oknie samowar i para szklanek, na stołku miska. Obok pieca pod prześcieradłem na ścianie wisiało coś; przekonałem się później, że to cała garderoba naszego kuzyna.

W pokoju drugim był kufer, paka, deską nakryta, i papierzysków jak w śmietniku; w całym zaś lokalu myszy po podłogach, a pluskwy i pająki po ścianach wielkie czyniły procesje.

Myślę sobie: „A tom wpadł!... jak Daniel do lwiej jamy, albo Jonasz do wielorybich wnętrzności” — i zrobiło mi się bardzo nijako.

Wkrótce przecież rozwaga wzięła górę i zamiast desperować, jałem się porządkować. Więc pluskwy wyparzyłem, lokaja wyczubiłem, podłogę wyskrobałem, dziury pozalepiałem, oknam poodnawiał, sprzętów ponastawiał i w tydzień u siebie było mi jak w niebie. Rzekłem więc w duchu: teraz się, już biedzie nie dam, a może potrafię z niej i Franusia wykaraskać.

A na taką rzecz był czas niemały, bo któregośkolwiek zmysłu użył dla zebrania o tym mizeraku wiadomości, zawsze znalazł tylko jedno i jedno, oto: wielkie zaniedbanie w gospodarstwie, upadek na duchu, konfuzją w stosunkach z ludźmi.

Póki gadał o historii naturalnej, a ty zamrużone oczy miałeś — rosło ci serce z radości, tak płynnie i rozumnie odzywał się. Mówisz tedy: „Ej! to chłop niczego, ma głowę nie do pozłoty i język jak sty Jan Złousty!!”

Ale jakieś oczy otworzył, wszystko ginęło, bo nie mogłeś przypuścić, żeby na takiej głowie rosły takie nieczesane włosy jak u niego,

sesji za warszawską roгатką, gdzie acana dobrodzieja codzień na kwaśne mleko zapraszam.

Ucałowaliśmy się i rozeszli, — stary mruczając pacierze, a ja zachodząc w głowę, co tu począć!... Boć interes był dobry. Żona siaka taka, ale zawsze żona i kobiecisko niezłe; dom od siedmiu boleści, ale zawsze dom. „Ha! — mówię — trza coś zrobić” — i postanowiłem od tego jeszcze wieczora zacząć nawracanie Franusia.

Przed stanowczym atakiem, zastanowiłem się chwilę nad rodzajami i przyczynami klęsk naszego kuzyna, i otóż com dostrzegł bądź na drodze

obserwacji osobistej, bądź rozpamiętywając opinie ludzkie o tym przedmiocie:

lo. Franuś nie umiał się rządzić, a wskutek tego mimo znacznej płacy cierpiał niedostatek i doznawał masę przykrości drobnych, które jednak gnębią człowieka, np. biorąc koszulę, musiał związywać rękawy sznureczkiem lub do miasta posyłać po guziki, których brakowało. Siadając do roboty, musiał pierwej pół godziny odszukiwać między papierami potrzebnych szpargałów. Pożyczając komuś pieniędzy, nie pytał, czy dłużnik jest w stanie zwrócić pożyczkę, a skutkiem tego doznawał zawodów i braków. Te drobne przeciwności, powtarzające się, gniewały go i humoru pozbawiały, lecz on, zamiast pomyśleć o przyczynie ich i sposobach usunięcia, narzekał na nieprzyjemne sobie losy i złą budowę świata.

o. Franuś nie znał form towarzyskich, nie zwracał uwagi ani na swoje postępowanie, ani na wymagania ludzkie, a skutkiem tego zjednał sobie opinią uczciwego półgłówka, — np. raz wypadły jego imieniny; — jaki taki wieszował mu, a on bez myśli zapraszał do siebie na wieczór. Nadszedł wieczór, z nim razem kilkanaście osób na ucztę, a Franuś tymczasem najspokojniej odczytywał sobie książkę. Szczęściem miał trochę pieniędzy, posłał więc po jedno i po drugie do cukierni i restauracji, i wydał około rubli na przyjęcie; mimo to jednak trzeba było od sąsiadów pożyczać szklanek

i filiżanek do herbaty, krzesel do siedzenia, trzeba było zamienić łóżko, kufer i pakę na kanapy i fotele i karmić biednych gości na brudnym nienakrytym stole. Licho szła zabawa, bo Franuś ciągle sobie coś przypominał, ciągle był przestraszony i kwaśny. Naśmieli się też z niego ludzie i drugi raz z wizytą nie przyszli. I w tym wypadku kuzyn nasz niechęć bliźnich przypisywał złej swojej doli, zamiast przypomnieć sobie, w jaki sposób inni przyjmują gości, a w jaki sposób on ich przyjmował!...

o. Franuś całe swoje mienie kładł prawie pod gołym niebem i służby nie pilnował, skutkiem czego był okradany i źle obsługiwany. Lokaj jego Kacper miał w mieście opinię łotra, a o praczce Dorocie ludzie gadali ze śmiechem i bardzo ogólnikowo. Wprawdzie ojciec panny Zofji (do której Franio cholewki smalił), opowiadał mi jakieś szczegóły, ale tak cicho i niewyraźnie, że nic a nic rozumieć nie mogłem, —mimo to jednak zmiarkowałem, że słudzy, a w szczególności Dorota, wielce szkodzą naszemu krewnemu.

o. Sam Franuś wyrzekał, że ludzie mu nie ufają, choć on nie jest kłamcą i że często prawie pod nosem śmieją się z niego, choć on nie jest głupi. Lecz jakże mu było ufać, kiedy biedak nigdy o obietnicach swoich nie pamiętał, jak się nie śmiać, kiedy skutkiem nieuwagi robił i gadał głupstwa. Raz np. składał inspektorowi szkół wizytę w rozpiętej kamizelce, drugi raz przy obiedzie serwetką nos ucierał i t. p. o. Skutkiem tych wszystkich niedorzeczności nie miał szczęścia do kobiet, choć miał wielki pociąg do żeniaczki i wzdychał na wspomnienie panny Zofji. Widzisz tedy, mój Michale, że niebadanie życia pociąga za sobą takie następstwa jak pierwszy lepszy występki: niebadający bowiem doznaje ustawicznych niepokojów, ma nieład w domu, antypatję u ludzi i dostaje arbuzy od panien i t. d. Sam teraz powiedz, czy nie mam racji zachęcać cię do podobnych badań i czy nie miałem racji skłaniać do nich

Franusia? To też za ledwie przyszedłem do domu, zacząłem z kuzynem naszym taką rozmowę:

(Franuś leży na łóżku i czyta książkę).

JA

Dobry wieczór, Franiu! W tej chwili odprowadziłem ojca panny Zofji...

(Franuś kładzie książkę).... No! ale może ci przeszkadzam?

FRANUŚ

O nie, nie... owszem, owszem!...

JA

Mówiliśmy trochę o tobie...

FRANUŚ

Uuff!. (nakłada fajkę).

JA. Trochę o panie Zofji...

FRANUŚ.

Uhum! (zapala fajkę).

JA

I gdybyś mnie nie wydał z sekretu, powiedziałbym, że radziłeś również o waszym małżeństwie... (Franuś kręci się na łóżku). No! ale może ci przeszkadzam?...

FRANUŚ

Owszem, owszem!... słucham, słucham!

JA

Powiedziałbym ci nawet, że niewiele do tego interesu brakuje (Franuś otacza się kłębamii dymu) i że uzupełnienie braków zależy od ciebie...

FRANUŚ (zrywa się)

Ode mnie?...

JA

Tak jest. I gdybyś chciał rad moich posłuchać i pewne reformy w sposobie życia swego wprowadzić, może za parę miesięcy tańcowałbym na twoim weselu (Franuś szybko chodzi po pokoju). Cała trudność zależy od spełnienia kilku kobiecych wymagań, zresztą bardzo słusznych.

FRANUŚ

Owszem... gotów jestem wiele ustępstw zrobić... słucham! słucham... wiem, że jesteś zawołany kobieciarz i że rady twoje pod tym względem są szacowne...

JA (rumieniąc się)

Zawsze uwielbiałem płeć piękną, ośmielałem się nawet twierdzić, że spełnianie i uprzedzanie wszelkich życzeń damskich stanowi moją specjalność...

FRANUŚ

Otóż właśnie wiedziałem o tem i dlatego chętnie wypełnię wszystkie rady szanownego kuzyna. Słucham, słucham!...

JA.

Panna Zofja i jej czcigodny ojciec uważają cię za człowieka uczciwego i rozumnego...

FRANUŚ (rumieniąc się)

Och!

JA

Zarzucają ci tylko parę błahostek, a przedewszystkiem to,, że mało dbasz o swoje gospodarstwo i mało zważasz na ludzi!...

FRANUŚ (wzruszony)

Nic nie rozumiem?...

JA

Mało dbasz o siebie, ponieważ licho ubierasz się, nieporządnie mieszkasz, a przytem więcej wydajesz od innych. Nie zważasz na ludzi, ponieważ nie starasz się zbliżyć do nich i nie utrzymujesz z nimi dobrych stosunków.

FRANUŚ (zdziwiony siada na łóżko).

A cóż to szkodzi panie Zofji, że nie jestem elegantem?...

JA

Nie chodzi tu o elegancję, ale o porządek. Pomyśl sam, czy zrobiłoby ci to satysfakcją, gdybyś zobaczył pannę Zofję w zabłoconej sukni i z roztarganą głową?...

FRANUŚ (oburzony)

Ach, co za myśl!... jakież porównanie!...

JA

Porównanie bardzo dobre, bo czym jest dla ciebie zabłocona suknia na pannie Zofji, tem dla panny Zofji niewyczyszczony surdut na tobie... Dalej znowu, pomyśl, czy mógłbyś pannę Zofję, wyprowadziwszy ją z saloniku o froterowanej posadzce, umytych oknach, wprowadzić tu, gdzie jest podłoga brudna, w oknach pajęczyna zamiast firanek, a zamiast krzeseł, kanap, fortepianu, stoją obrzydliwe paki, brudny stół i stłuczona miska?

FRANUŚ

No! ja przecież sam wiem o tem, że dla żony potrzeba innego mieszkania i innego ubrania, — że potrzeba sprzętów, gości i wieczorków... Ale dziś nie mam żony, niema więc racji zaprowadzać zmian tak kosztownych.

JA

A jeżeli panna Zofja bez tych zmian nie zechce wyjść za ciebie?

FRANUŚ (wzruszony)

A... a... jeżeli po tych zmianach nie zechce wyjść za mnie?...

JA

Daję ci słowo, że wyjdzie, tylko się zmień!...

FRANUŚ (rozczulony ściska mnie za rękę)

O kuzynie, Bóg... chciałem powiedzieć prawa natury... nie... chciałem powiedzieć, szczęśliwy wypadek sprowadził cię do mnie... Rozporządzaj mną, zrobię wszystko... byleby można... (wzdycha). Dziwna rzecz, taka prosta i naturalna myśl nie przyszła mi do głowy!...

JA

Czy jesteś gotów dziś nawet zacząć reformę?...

FRANUŚ

Owszem!... owszem!...

JA

Więc zacznijmy od przeliczenia twojej garderoby i bielizny.

FRANUŚ

No!... przecież ja nie jestem praczką... zresztą nie widzę gwałtownej potrzeby, ponieważ wiem o wszystkim i bez rachunku...

JA

Zobaczmy. Ile też masz sztuk ubrania?...

FRANUŚ

Zaraz ci powiem... mam płaszcz, palto... frak urzędowy...

JA

A spodni, surdutów, kamizelek i butów?...

FRANUŚ (namyśla się)

Surdutów ... nie... , bo jeden dałem Kacprowi. Spodni par... nie, pary, bo jedno dałem Kacprowi. No i kamizelki...

JA

Przeliczmy też.

Zaczynamy szukać po kątach, liczyć, i otóż pokazuje się, że Franuś ma surduty, pary spodni i kamizelki!...

JA

Więc spodnie i kamizelki zginęły?...

FRANUŚ (zmieszany)

Nie, to być nie może... Tak, gdzieś się podziały... może wziął Kacper na parę godzin, bo on czasem miewa swoje dziwactwa.

JA. Hum!. no, a butów ile też masz?... FRANUŚ (myśli). Dwie pary?... tak dwie pary, — jedną na nogach, drugą pod łóżkiem.

W istocie na Franiowych nogach była jedna para butów, ale drugiej ani pod łóżkiem, ani gdzie indziej nie znaleźliśmy. Widocznie i buty wziął Kacper, miewający swoje dziwactwa.

JA

A ile też masz sztuk bielizny?...

FRANUŚ

Od roku mam wszystkiego po sztuk! O to jestem przynajmniej spokojny, że mi nie zginie, bo bielizna zostaje pod opieką Doroty, kobiety rzadkiej uczciwości... tak, rzadkiej!...

Liczymy bieliznę i okazuje się straszliwy bezład. Z np. koszul zrobiło się tylko w ciągu roku! a i z tych dwie były cudze. Cóż mówić o chustkach, ręcznikach i t. d. Franuś okazuje wielkie zdziwienie i trwogę.

JA

Ot widzisz, Franiu, ta krótka obserwacja wykazała nam wiele ciekawych rzeczy. Naprzód, że jesteś kompletnie ubogi, powtóre, że źle robiłeś, nie dbając o swoje gospodarstwo i po trzecie, że masz w domu złodziei...

FRANUŚ (zaperzony)

Ależ zmiłuj się, kuzynie, nie mów tak! Być może że Kacper jest złodziej... ale Dorota... nigdy!... to kobieta zacna, z głową i sercem...

JA

Dość o niej gadają na mieście i stary sam oburzał się na to, że ona ci pierze bieliznę. Nie zrozumiałem tego, co mówił, ale teraz widzę jasno, że stary miał rację, bo Dorota oszukuje cię...

FRANUŚ (silnie zarumieniony zapewne z gniewu)

Stary, powiadasz? stary?... ojciec panny Zofji... Hum! trzeba służbę rozpedzić, ale bez dowodów?...

JA

Dowody już miałeś, licząc swój dobytek, mniejsza jednak o nie, ponieważ mogę dostarczyć ci nowych w ciągu tygodnia.

Franuś zgodził się na to, ja zaś, począwszy od dnia następnego, starałem się dowodzić mu, że go lokaj okrada, i tak:

Kuzyn nasz, jak ci mówiłem, nie zamykał ani cukru, ani herbaty, ani tytoniu, ani pieniędzy. Codzień tedy liczyliśmy pieniądze, wazyli cukier, tytoń i herbatę i przekonaliśmy się, że codzień coś ubywa. Nadto jednego dnia na surducie Franciszka zrobiłem plamę kredą, plama ta wciągu kilku dni na odzieży świeciła, a przecież Kacper twierdził, że czyści ubra

nie swego pana!... Był to więc niedobry służący, jak się z eksperymentów okazało, wyгнаł go też Franio w kilka dni po naszej rozmowie i przyjął innego.

Trudniejszą była sprawa z Dorotą, której Franio, zapewne przez szacunek dla płci białej, lękał się robić wyrzuty o złodziejstwo. Godzien radziłem mu, aby z nią skończył, Franuś codzień wahał się i odkładał do jutra.

Wreszcie pewnego wieczora, gdy Dorota przyniosła kilka sztuk czystej bielizny, Franuś zdecydował się na stanowczą rozprawę. Nie lubię

awantur w domu, wyniosłem się więc do miasta podczas tej uroczystej chwili.

Konferencja trwała blisko godzinę.

Kiedym wrócił, spotkałem Dorotę, wychodzącą z naszego mieszkania. Spojrzała na mnie płomiennym okiem, domyśliłem się więc, że już wie, kto jest przyczyną jej upadku. Franciszka także zastałem niesłuchanie zirytowanym: jego wzrok rzucał błyskawice, ręce mu drżały z gniewu.

— Naco się zdadzą uniesienia — rzekłem — mogłeś jej przecież toż samo z zimną krwią powiedzieć. Cóż, już się z nią obliczył?

— Tak... — odpowiedział nasz kuzyn. — Zirytowałem się trochę, mówiłem z nią dużo i bardzo energicznie, obiecałem, że na drugi raz wypędzę...

— Więc nie oddaliłeś jej?...

— No!... widzisz, biedna kobieta! Cóż będzie robić, jeżeli jej nagle wydrę ten oto lichy kawałek chleba?...

W milczeniu uściśnąłem rękę Franciszka. To, com słyszał, dowodziło niepraktyczności, dowodziło jednak i tego, że kuzyn nasz miał serce i umiał przebaczać wyrządzone sobie krzywdy.

— Piękne to jest, coś zrobił — rzekłem — albowiem powiedziano: „odpuść nam winy, jako i my naszym winowajcom odpuszczamy,” nie zapominaj jednak, że gdy się ożenisz, nie będziesz mógł tak łagodnie postępować ze służbą.

— A tak!... jest racja... — mruknął Pranul z odcieniem goryczy i legł na łóżko.

Ja zaś pomyślałem: „Mój Boże! musi to być dobre owo małżeństwo, kiedyś je postanowił, niemniej jednak zbliża ono człowieka bardziej do ziemi i stłumia niejedno szlachetne i bezinteresowne uniesienie. I czy taki Franciszek, ożeniwszy się, będzie mógł wspaniałomyślnie darować zgubionych koszul?... O jakże szczęśliwy jestem, że będąc starym

kawalerem, nie potrzebuję w sobie hamować idealniejszych popędów serca!..."

Zapomniałem ci dodać, że od rozmowy naszej o żeniaczce — w usposobieniu, postępowaniu i otoczeniu Franusia poczęły się objawiać zmiany. Jakoś w tym czasie odebrał pensję, kilku sumiennych wierzycieli odniosło mu należne pieniądze, resztę ode mnie wypożyczył i mając około r. w kieszeni przystąpił do oporządzenia się. Bogiem a prawdą, nie napotykał w tym razie wielkich trudności, bo np. stolarz i krawiec, wzięwszy kilkadziesiąt rubli zaliczki, zakredytowali mu: jeden garnitur mebli, drugi dwa garnitury ubrania. Znalazło się i płótno na bieliznę i szwaczki, gospodarz przyciśnięty zgodził się odnowić mieszkanie i odnowił je rzeczywiście. Znalazły się i firanki w oknie i parę doniczek kwiatów i dywanik nad łóżkiem, serweta na stole i sukno na świeżo zafroterowanej podłodze! Nowy też służący okazał się pilniejszym i uczciwszym od Kacpra, bo też Franuś począł uważniej i jego i siebie dozorować.

Często rozmawialiśmy wieczorami o wypadkach dnia całego, o ludziach, ich stosunkach, przymiotach i wadach; dyskursy te zbawiennie wpływały na Franciszka, który przypominał sobie niejedną własny wybryk i odtąd pilniej uważał na swoje postępowanie. To też zmieniał się szybko, prawie co dzień i godzinę; znać było wprawdzie w jego rozmowie, ubraniu, chodzeniu jakiś przymus i sztukę, które stopniowo

zmniejszały się, lecz zato nie było już wybryków, pochodzących z dziwactwa lub roztargnienia.

Ludzie, zwyczajnie jak ludzie, widząc te niemal cudowne zmiany w życiu naszego kuzyna, z początku śmieli się, potem dziwili, zawiązywali z Franusiem stosunki, oglądali jego mieszkanie i garderobę. Aż wkońcu nadeszła oczekiwana przeze mnie chwila i gruchnęło po mieście, że Franuś żeni się!...

Pogłoski te, rozumie się doszły do nas, doszły i do folwarku za warszawską rogatką. Franuś od czasu arbuza, nie składał wizyt pannie Zofji; uważałem jednak, że spotkawszy go na ulicy, w epoce reformy i pogłosek, o których mówię, panna rumieniła się coraz częściej i silniej. Myślę tedy, dobry znak i znowu zetknąwszy się z jej ojcem, począłem opinią staruszka w kwestji małżeństwa sondować, ale stary nie w ciemię bity, zbył mnie krótko, mówiąc:

— Mój acan dobrodziej, wiem ja, co się święci. Widzę, że kuzyn twój za Bożą łaską i twoją pomocą poprawia się i porządkuje, znaczy więc, że już wszedł na dobrą drogę. Z tem wszystkim jednak powiem ci otwarcie, że dotąd nie obejrzę jego nowego mieszkania, dokąd w nim Dorota gospodarować będzie. Ot co jest!

Zgłupiałem na takie dictum, nie tajno mi było bowiem, że łagodny Franuś nie zechce Doroty pozbawić kawałka chleba. Mruknąwszy więc staremu ni to, ni owo — poszedłem smutny ku domowi, nic nie przeczuwając, że nowy, niepojęty kaprys naszego kuzyna jeszcze w tym dniu miał ostatnią usunąć przeszkodę do małżeństwa.

W drodze spotkaliśmy się z Franciszkiem, a że wieczór był ładny, pochodziliśmy trochę za miastem i około już na dobre zawrócili do kwatery.

Dochodząc do mieszkania, ze zdziwieniem ujrzałem światło w pokoju Franciszka i zapytałem go:

— Czy uważasz, że się świeci w oknach... Co to być może?

— Ach to pewnie Dorota odniosła mi tak późno bieliznę.

Coprawda, lepiej późno niż nigdy, boć to przecież jutro mamy niedzielę. Nic już nie mówiąc, weszliśmy do mieszkania, lecz o dziwy!... Franuś, który szedł pierwszy, za ledwie drzwi od pokoju otworzył, krzyknął przeraźliwie:

— Co to jest!... co to znaczy!... w moim domu Dorota z człowiekiem... tak... z człowiekiem orężnym, to jest z mężczyzną uzbrojonym!?...

— Proszę łaski pana — pytlowała Dorota — to my z bratem przyszłim odnieść bieliznę...

Spojrzałem. Na środku pokoju stał wyprostowany olbrzymiego wzrostu dragon. Próżno jednak dopatrywałem przy nim oręża; widocznie kuzyn nasz przez prędkość poczytał za uzbrojenie wielkie cynowe guziki i zardzewiałe ostrogi ładnie zbudowanego wojownika.

— Kto jesteś, łotrze! — groźnie zawołał Franuś, przyskakując do dragona.

— To mój brat... mój brat... — pytlowała już płaczącym głosem Dorota.

— Tymachwiej Tymachwiejewicz Dudakow, pierwawo pierwawo eskadrona, dragunskawo półka... — rekomendował się tak po grubjańsku napadnięty kawalerzysta, ale nie dano mu skończyć:

— Jej brat!... jej brat!... ha! ha!... Jej bratem człowiek, nie znający tutejszokrajowego języka!... — wołał nawet w gniewie lojalny Franuś. Nastąpiła chwila milczenia, w ciągu której Franuś biegał po pokoju jak opętaniec, dragon stał na środku według prawideł obowiązujących wszystkie lądowe i morskie armje całego świata. Dorota zaś ronila łzy gorzkie, rysując na stole wskazującym palcem lewej ręki, jakieś niezdecydowane figury. Wreszcie kuzyn nasz znowu wybuchnął:

— Cóżto? jeszcze stoicie oboje?... jeszcze?... won z mego domu i ty i ty, albo... was skopię nogami!...

Mimowoli porównywałem kolosalne buty słusznego jeźdźca z całą osobą naszego kuzyna i przeląkłem się straszliwych następstw tak energicznie zapowiedzianej utarczki. Szczęściem, Dorota szybko wybiegła z pokoju, a za nią, zrobiwszy w lewo pół obrotu według prawideł obowiązujących, wyszedł i dragon, zwyczajem całej kawalerji chwając się na obie strony. Franuś dzikie za odchodzącymi rzucił spojrzenie i przez zaciśnięte zęby wycedził:

— Łotr!... komunista!...

Do dziś dnia pojąć nie mogę, jakim sposobem na tchnącym pogodą i regulaminem obliczu ładnie zbudowanego dragona dostrzegł nasz kuzyn

niebezpieczne cechy komunizmu, tak niezgodnego z duchem wszystkich paragrafów, we wszystkich wojskowych kodeksach. A przytem skąd ta nagła niechęć do militaryzmu, obok tak silnie rozwiniętych instynktów wojskowych?... Doprawdy, głowę straciłoby można, rozstrzygając podobne tajemnice natury ludzkiej!

W taki to niespodziewany, a tragiczny sposób zakończyła się służba Doroty u Franusia, któremu odtąd nic już nie przeszkadzało stoczyć się na dno matrymonjalnej przepaści, tyle co rok pochłaniającej ofiar! Nie będą ci opisywał, ani naszej pierwszej wizyty u panny Zofji i jej szanownego ojca, ani oględzin, dokonanych przez tego ostatniego w mieszkaniu Franusia, ani oświadczyn... Pominę również niepokój, jakiego kuzyn nasz doświadczał wyjeżdżając do ślubu, o tem bowiem z osobistego doświadczenia najlepiej się przekonasz; nie mogę jednak nie wspomnieć o zdarzeniu, które mi wyjaśniło poniekąd nagłe wypędzenie Doroty. Po ślubie i krótkiej a rzewnej i do okoliczności zastosowanej mówce pewnego duchownego, wracając do domu na weselne gody, siedliśmy do powozu we czworo: panna Zofja, jej czcigodny ojciec, Franuś i ja. Franuś, jak przyzwoitość nakazywała, siadał ostatni, lecz zaledwie postawił nogę na

stopniu, cofnął się tak gwałtownie, że o mało nie upadł na ziemię.

— Co ci się stało, Franiu!... — krzyknęła jego druga połowa, szczerze interesująca się organizmem swego ukochanego.

— Eh, nic! drobnostka... to dragon!... — szepnął wzruszony nowożeniec.

W tej chwili po drugiej stronie już ruszającego powozu, dostrzegłem znanego ci kawalerzystę, który zdawał się być silnie zajęty wykonywaniem jakiejś zuchwałej i nieprzyzwoitej pantominy, widocznie do naszego towarzystwa skierowanej.

— Więc nie lubisz dragonów? — spytała ze zdziwieniem panna Zofja Franciszka.

— O tak... nienawidzę ich!... — mruknął nasz kuzyn.

— To wszystko są łotry — wtrącił stary. — Na wsi przy nich nie upilnujesz ani kury, ani gęsi, ani sługi, ani służebnicy, ani żadnej rzeczy, która jego jest!...

— Czy dlatego ich nienawidzisz mój Franiu? — znowu zapytała oblubienica.

— Nie... nie dlatego — mówił bardzo wzruszony, zapewne szczęściem swoim Franio — ale... bo widzisz, dragoni jednego z moich dziadków zabili!...

O ile pamiętam, nie słyszałem, ażeby się który z naszych dziadków na podobne przygody narażał.

— Może twego rodzzonego dziadka? — tkliwie wyszeptała nasza nowa kuzynka.

— O nie!... Boże uchowaj!... to jednego z ciotecznych dziadków.

W oczach oblubienicy łzy zabłyśły; pochyliła się do ucha mego kuzyna i załkała.

— Dobrym mężem będziesz, Franiu, kiedy tak pamiętasz o swoich ciotecznych dziadkach!... — Poczem nastąpiło gorące uściśnienie ręki z obu stron, ja zaś na moim odcisku

uczulem parcie obcasa panny Zofji, widocznie nie dla mnie przeznaczone i pomyślałem:

Mój Boże! jak ta miłość stara się eksploatować wszelkie okoliczności na swój rachunek! I któżby się spodziewał, że niechęć Frania do wojskowych niższych stopni stanie się punktem wyjścia dla tkliwej pieśczozy ze strony panny młodej? Ja wprawdzie nie słyszałem o dziadku, zabitym przez dragonów, jeżeli jednak podobny wypadek stanowi dla naszego kuzyna jeden z artykułów wiary, to nie dziwię się ani temu, że wypędził z domu Dorotę z jeźdźcem, ani temu, że go panna Zofja uściskała.

Na tem mógłbym zakończyć pełne przygód dzieje Franciszka, sumiennosc jednak i afekt familijny zmuszają mnie do niektórych uzupełnień.

Wkrótce po weselu naszego kuzyna skończył się mój proces i ja nie bez żalu musiałem z X. wyjeżdżać. Od tej chwili zaczęło się moje tułactwo po świecie. Gdzieś był podówczas, com widział i czegom doświadczył, może ci innym razem opowiem; dość, że dopiero po latach zobaczyłem znowu miasto X. i folwark za warszawską rogatką, skąd przez cały czas moich wędrówek żadnej nie miałem wiadomości.

Dziwne jakieś uczucie ogarnęło mnie na widok tej oazy, gdzie mieszkali ludzie, którym bądź co bądź zrobiłem dobrze... Czy wszyscy żyją jeszcze?... co się tu dzieje?!... oto pytanie, jakie zadawałem sobie, dojeżdżając...

Było lato. Zaledwem wysiadł z pocztowej bryki, dostrzegłem ciągnięty przez siwego jak gołąb staruszka wózek, w którym dwoje małych dzieci siedziało. Przypatruję się pilniej... Tak, to on, ojciec byłej panny Zofji, a teść Franciszka! Poznaliśmy się odrazu i wpadłszy sobie z krzykiem w objęcia, zapłakaliśmy jak dwa bobry.

Po tkliwym powitaniu zapytałem staruszka:

— Cóżto, jegomość dobrodzieju już wnuki obwozi po świecie? Czy to bliźnięta?...

— A bliźnięta! mój acan dobrodzieju — wyseplecił starowina. — Przypatrz się im dobrze, jakie to podobne bestyjstwo, jak dwie krople wody! Jeden starszy od drugiego o minut, ot ten, co ma kokardę szafirową, to Jan Kanty — starszy, a ten, co ma niebieską, to Jan Nepomucyn — młodszy.

— Dobrzeście zrobili, przypinając im te kokardy — rzekłem — bo inaczej chybaby ich rodzona matka nie poznała!

— Ba! mój acan dobrodzieju, tak też i było nawet. Jednego razu pogubili kokardki na spacerze i ani rusz ich poznać. Wołasz... Jasiu!... idą obaj. Szukasz znamienia, obaj mają jednakowe, w formie gruszki na... (tu mi dziadek coś do ucha szepnął). Pytamy się niańki — nie poznaje, wołamy matki, a ta w krzyk!... Dopiero Franuś wywiódł nas z kłopotu, zważywszy

obu, bo widzisz acan dobrodziej ten niebieski waży łutów więcej od szafirowego, choć młodszy... tak młodszy o minut!... No, ale wejdźmyż do domu — ciągnął starzec. — Hej!... jest tam kto? znieście rzeczy pana!...

Na to wołanie ukazała się jakaś kobieta, widocznie piastunka, a przy niej dwu chłopczyków, może sześćioletnich i znowu niesłychanie podobnych do siebie.

— Czy i to bliźnięta, dziadku? — pytam już trochę zdziwiony.

— A tak, bliźnięta. Ten oto z kokardą ciemnozieloną, to Maciej, o minuty starszy od tego z jasnozielonym fontaziem, od Mateusza. Przed dwoma laty jeden zgubił kokardę i wziął braterską; jak zaczęli opowiadać i objaśniać, tak wszyscy potraciliśmy głowy, bo w dodatku chłopaki mylą się co do swoich imion. Co tu robić, jak tu poznać? zachodziliśmy w głowy, bo i znaki szczególne mają jednakowe: płomyk w formie baraniego rogu na... (tu mi stary szepnął coś do ucha). Jednym wyrazem był kłopot niemały, na szczęście jednak Franuś przypomniał sobie, że Maciej bał się jednego urzędnika, a Mateusz go lubił; trzeba jednak zdarzenia, że

urzędnika przenieśli do innej miejscowości. I cóż powiesz? musieliśmy o mil dzieciska dla sprawdzenia wozic i przez dwa tygodnie zgryzoty się najeść! Ach! Boże, daj świętą cierpliwość!...

Tymczasem ukazała się i pani domu bez męża, bo Franuś o tej porze drzemał i nie lubił, aby go budzono. Utyła, wyładniała kobiecisko i szczerze przywitała się ze mną, swoim swatem.

— A, kochany kuzyn!... a jakżem szczęśliwa!... żeś też o nas nie zapomniał po tylu lecich!... — i tak wykrzykując, rzewnie płakała. Uściskałem ją i ucałowałem, a w trakcie tego nadeszła i trzecia para bliźnięt w wieku lat dziewięciu. Zdumiałem na ten widok, matka westchnęła, a dziadek ręką kiwnąwszy, rzekł:

— Z temi mamy największe zmartwienie, bo nie wiemy, który z nich starszy, a który młodszy, który Piotr, a który Paweł! Różnica ich wieku wynosi minut; do piątego roku nosili kokardy, jeden różową, drugi amarantową, ale imion ich nikt na pewno nie wiedział, tem więcej oni sami. Trafiło się, że poczęli raz zamieniać między sobą kokardy, wreszcie pomieszało się im w głowinach i z płaczem przyszli do matki. Nieszczęście chciało, że różowy miał tego dnia dostać od ojca wnyki, oba więc przyznawali się do amarantowego koloru i to jeszcze bardziej zaplątało sprawę. Próbowaliśmy wszystkich środków, ale wszystko naniec, bo i te dzieci mają znaki szczególne jednakowe, po palców u prawej nogi. Przyszło wtedy ojcu na myśl, że amarantowy lubił świeże poziomki, a różowy ich nie lubił; że to jednak była zima, a sok i suszone poziomki jedli obaj jak najęci, trzeba więc było sprawdzenie odłożyć do wiosny. I cóż powiesz, moje serce? nadeszła wiosna, ale obaj chłopcy tak się przyzwyczaili do soków i suszków, że potem jedli świeże poziomki bez róż

nicy w apetycie, a przez te kilka miesięcy niepewności doreszty zapomnieliśmy o różnicy między nimi!...

Tu umilkł dziadek głęboko wzruszony, a kuzynka Zofja dodała:

— Dzięki Bogu, że Franio rozstrzygnął wątpliwość przynajmniej co do tych czterech młodszych, inaczej dopiero mielibyśmy w domu Sodomę i Gomore!...

A na to wchodzący Franuś rzekł:

— Tobiem winien, kuzynie, i tę oto żonę kochaną i te skarby moje i to nareszcie, zem po dwakroć zdołał tak ważne sprawy familijne rozwikłać. Tyś mi bowiem pokazał drogę do badań życia codziennego i odtąd zwracam uwagę nietylko na ubranie, rozmowę i postępowanie człowieka, ale nato: ile waży, jaki ma wzrost i upodobania. Dzieci moje — dodał ze łzami, zwracając się do trzech par otaczających nas bliźniąt, — oto wasz

wujaszek; upadnijcie mu do nóg na powitanie, bo gdyby nie on, to... to... wy zapewne nie oglądałybyście bożego świata!...

Przy tej części mowy naszego kuzyna zrobił się w domu ogromny lament, w którym i ja czynny przyjąłem udział; poczem udaliśmy się na przekąskę.

Cóż ci mam mówić więcej o Franciszku? chyba to, że był szczęśliwy i jego rodzina przy nim, że zawsze uwielbiał swoją żonę i był od niej nawzajem wielbiony. Raz, siedząc na ganku z nimi i przypatrując się igrzyskom dziatwy, która mnie już nudzić zaczynała, zwróciłem uwagę, że na stodole znajdują się aż dwa gniazda bocianie i rzekłem:

— Pomyślcieno, moi państwo, czyby to już nie czas wypędzić bociany z folwarku, bo za drugie dziesięć lat, chyba już naprawdę rady sobie nie dacie z konsolacją?...

Na to małżonkowie nie odpowiedzieli mi nic, ale Franuś puścił taki kłęb dymu z fajki, a pani Zofja tak prędko zaczęła robić pończoszkę, że mi się już odechciało na drugi raz zaczepiać podobnych kwestyj.

Każdy z nas w tem życiu doczesnem stawia sobie jakieś plany, stara się o jakieś rezultaty, zależne od pozycji, zajmowanej w społeczeństwie, od ukształcenia, charakteru, środków, jakimi rozporządza i t. d. Jeżeli jesteś obywatelem ziemskim, myślisz o tem, w jaki sposób uniknąć subhastacji, jak wykręcić się z procesu, gdzie pojechać na polowanie, a gdzie na bezika? Gdy jesteś podpasieczem, myślisz jak zostać pastuchem, później fornalem, a zczasem może i szynk na własną rękę założyć? Będąc literatem, zastanawiasz się, co wypisać z tej, a co z owej książki, w jaki sposób od redaktora wytumanić zgóry pieniądze na rachunek pracy, o której nie miałeś i nie masz pojęcia?

Będąc niezamożnym studentem, rozważasz od kogoby pożyczyć pieniędzy, gdzie znaleźć kredyt na obiady, czy sprzedać, czy też zastawić palto i mundur, jak wykpić się na egzaminie i t. d., i t. d.

Wszystkie te rezultaty zależą od pewnych przyczyn, które trzeba znać dobrze, aby nimi kierować, tem więcej, że ich jest częstokroć bardzo wiele, i że do tych samych wyników różnemi można dojść drogami. Gdy chcesz np. zjeść obiad, niekoniecznie musisz iść do restauracji z dwuzłotówką w kieszeni, bynajmniej! Możesz jadło dostać na kredyt, umizgając się do gospodyni lub jej córeczki, chichotając z usługującymi dziewczętami, ściskając markierów za rękę. Nikt ci również nie zabroni w ostateczności złożyć wizytę jakiejś znajomej familji, w czasie antraktu chwalić dzieci, sprzęty, psy, kwiaty, podziwiać rozum pana, uwielbiać piękność pani domu, a wszystko na rachunek posiłku.

Lecz, o synu mojej siostry! skądże się dowiesz o tem wszystkim, gdzie nabierzesz wprawy, jeżeli zechcesz unikać ludzi, zamykać oczy i uszy na ich słowa i postępy i grzebać nadal w książkach, nie mających żadnego związku z życiem?...

Sztuka zabijania czasu, zawracania głów kucharkom i szwaczkom, pożyczania pieniędzy, zjadania obiadów na kre

dyt lub darmo, zjednania sobie opinji uczonego, uczciwego, lub dowcipnego człowieka, stanowią ogólne ukształcenie światowe. Jest jednak i specjalne, przywiązane do pewnego stanowiska, a mające na celu wyciągnąć wszelkie korzyści i unikać wszelkich przykrości, jakie owo stanowisko nastrecza. I ten rodzaj ukształcenia tylko na drodze obserwacji uzyskać można.

Jeżeli więc jesteś aplikantem, dowiaduj się, jakim sposobem inni zostali kancelistami, a za co ich wypędzono z biura. Jeżeli jesteś obywatelem ziemskim, badaj, dlaczego podobne tobie indywidua zyskują lub tracą majątki. Jeżeli jesteś studentem, wypytuj się innych, na jakiej drodze znaleźli korepetycję, uwolnienie od wpisu, lub pożyczkę?

Do wykonywania wszystkich operacyj życiowych potrzebne są pewne okoliczności, pewne uzdolnienia i wprawa, pewne środki. Do wizyt trzeba jakiegoś interesu, odpowiedniego garnituru i pewnej biegłości w

przelewaniu z pustego w próżne. Do nauki potrzeba zamięłowania lub nadziei zysku, książek, czasu i wiadomości przygotowawczych. Krótko mówiąc, całe życie nasze składa się z wielkiej liczby niby równań niewyznaczonych, w których po prawej ręce znajdują się rezultaty, po lewej ilości zmienne w postaci człowieka, zajmującego się ich rozwiązywaniem, jego środków, rozumu, serca, pragnień, nałogów, wad, przymiotów — wreszcie w postaci ludzi i wypadków, otaczających jednostkę główną.

Starajże się, mój kochany, poznać te równania odnośnie do siebie samego, staraj się poznać ich elementa, badaj między nimi związki, a wszystko na drodze chłodnej obserwacji, porównywania siebie z innymi ludźmi, porównywania dnia dzisiejszego ze wczorajszym i onegdajszym.

Wielką ci w tej pracy usługę odda dziennik systematycznie ułożony i porządnie prowadzony, w którym na właściwym miejscu powinieneś mieć spis twoich ruchomości, stosunków, celów, obowiązków; notatki, dotyczące wydatków

bieżących, zobowiązań, przeczytanych książek, pragnień, przykrości, przyjemności, a w końcu uwagi nad życiem. Takie rachunki wykonywaj codziennie, odczytuj co tydzień, co miesiąc, wreszcie co rok, nigdy nie spuszczaaj z uwagi tego, co się dzieje w tobie i około ciebie, a wówczas przekonasz się, że życiem kierują niewzruszone, nieugięte prawa. Dura lex, sed lex!...

NIC NIE GINIE!

I

Wybieram się w daleką drogę i na tych kartkach piszę sobie paszport do kraju ludzkiej pamięci.

Oto mój rysopis.

Lat — około pięćdziesięciu, twarz — żółta i zapadnięta, włosy — siwiejące. Stan — wolny, zajęcie — nauczyciel prywatny, przyrodnik.

Gdzie się wybiera?...

Tam — gdzie odchodzą światła wygasłych ognisk, dźwięki prześpiewanej pieśni i spełnione czyny. Idę do Tego, który na widowisko życia przysłał mnie pomimo mej woli i odwołuje wbrew instynktom.

Trzymając nogę na stopniach tajemniczego wozu, oglądam się za siebie jak podróżny po ukochanej okolicy, nim dadzą sygnał odjazdu. Ten punkcik, który tam het! iskrzy się tak, że od blasku oczy zachodzą łzami, to epoka dzieciństwa. Droga, nad którą miejscami świeci słońce, miejscami kłębi się smutek, to — moje życie. Odnogi, co tu i ówdzie wybiegają z głównego gościńca i toną w pomroce, to — ścieżki, którymi mogłem iść na prawo albo na lewo i — nie poszedłem. Tam — miłość krzyżuje się z obowiązkiem; tu — droga do majątku i stanowiska — z przyszłością mego rodzeństwa. Tam sumienie spycha mnie ze ścieżki dobrobytu. Dalej — rozstajne drogi, gdzie należało wybierać między

przywiązaniem do siostry i — jej szczęściem; tu znowu miłość, która tak gdzieś znikła, że ledwie znalazłem po niej ranę w sercu.

A te groby — te groby!...

Co zostało?... Poza mną — fakta, które w świecie zakreślają coraz szersze kręgi; we mnie — żal na dziś, a na jutro — rezygnacja.

Marne życie! a przecież tak drogie, że go człowiek wskrzesza i drugi raz przebiega, choć we wspomnieniach.

II

Od kilku lat wynajmuję pokój w klasztorze, w którym dogorywa obecnie kilku zakonników i ja z nimi.

Gmach zbudowany jest w czworobok; środek zajmuje kwadratowe podwórze. W lecie zieleni się na nim kilka kęp trawy, jest parę karłowatych drzewek, a parę kamieni, zapewne grobowych, porasta pleśnią i mchem. Wzdłuż jednego boku dziedzińca stoi kościół; trzy inne tworzą się z klasztornych zabudowań, ustawionych w podkowę.

Przez długość tej podkowy ciągną się korytarze. Po jednej, stronie są wielkie okna wychodzące na dziedziniec, po drugiej — wiszą na ścianach obrazy, niby znowu okna wybite do innego świata. Przedstawiają one sceny ze Starego i Nowego Testamentu, Wygnanie pierwszych ludzi z raju, potop, męki Maehabeuszów, a dalej ukrzyżowanie Piotra, widzenie Jana, męczeństwo Wawrzyńca I wiele innych. Obrazy w 'dzień są bohomazami ; ze starych płócien. zwieszają się strzępy i opada wyblakła farba. Ale noc nadaje

im charakter wzniosły. Przy blasku księżyca albo migotaniu zakopconych lampek sklepienie odlatuje w górę, a korytarze wyciągają się jakby w nieskończoność. Cisza potęguje najmniejszy szmer. Każdemu stąpnięciu odpowiadają tysiączne echa; każdy wyraz powtarzają głosy pod posadzką, nad sklepieniem, w ogromnych salach i we framugach zasnutych pajęczyną. A gdy i to umilknie, słyszysz — cichą rozmowę biblioteki z refektarzem, szepty pustych cel i wzdychanie grobów. Niekiedy jeszcze z kościelnego chóru dolatuje stłumiony śpiew. To — modlą się zakonnicy. Wtedy na obrazach niknie poszarpane płótno, a farby stają się żyjącymi istotami. Przedmioty odzyskują bryłowatość. ludzie — ruch. W rękach

katów błyszczą stal, krew męczenników płynie jak niegdyś i zmartwychwstaje odwieczna walka ducha z przemocą za wolność. Jak oni dawno zmarli ci bojownicy, a przecie — ich zwycięstwa żyją po dziś dzień w myślach, ustawach i w historii pokoleń. Nawet łzy ich — nie wyschły, i jak źródło opokę, wciąż przebijają ludzkie okrucieństwo. Klasztor stoi na górze, a mój pokój jest narożny. Jedno okno patrzy na miasto, drugie na rozległe łąki, jeszcze pokryte śniegiem. W kącie izby znajduje się moje łóżko, na środku — stół i parę krzeseł. Szafy i półki są wpuszczone w ściany; mury mają kilką łokci grubości; zakratowane okna wznoszą się nad ziemią na jakie trzy piętra. Póki mogłem zajmować się lekcjami, byłem tu tylko gościem, ale dziś całe dni schodzą mi w klasztornej celi. Prócz starego ekszakrystiana, który rano czyści odzież, a w południe przynosi mi obiad, nie widuję nikogo. Nim się dobrze rozwidni, grzeję sobie mleko na maszynie, potem

układam książki, czytam albo rozmyślam. Jestem panem swego czasu i pracy; mam wakacje, do których wzdychałem od wielu lat, i może byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie chwilowe ataki rozdrażnienia. Wtedy dręczy mnie samotność, przygniatają mury, a widok śniegu napęlnia rozpaczą. Przy widu je mi się, że we framudze okna czyha śmierć jak gotujący się do skoku wąż, który mnie zatruje jadem i zdławi zimnym cielskiem. Zrywam się i chcę uciekać tam — gdzie jest lato, a przynajmniej gdzie są ludzkie twarze. Zdaje mi się, że najmniejszy objaw współczucia ukoiłby strwożoną duszę. Prędko ubieram się, chwytam za klamkę i — przypominam sobie, że nie mam do kogo pójść!... Moi są daleko, a obcych cóż ja obchodzę?...

Dzisiejszej nocy śniło mi się, że jestem wyrostkiem. Bawiłem się z młodszym rodzeństwem, a gdy jedno z nich rzuciło kapelusz na drzewo, wlałem po niego bez utrudzenia. Dziwiłem się swojej zręczności i temu, że twarze braci i siostry są niewyraźne, jakby nie znane mi.

Ocknąłem się, ale nie otwierał oczu, aby nie spłoszyć . marzeń. Niechże choć we śnie przypatrzę się tym, których nie zobaczę nigdy.

Jak tu pusto, jakże mi strasznie w tej celi!

Czy wśród takiej ciszy nie upływa wieczność? Czy śmierć nie jest wiekuistym marzeniem o nicości między przedmiotami, w których wygasła myśl, czucie, nawet ruch?...

Nagle usłyszałem stłumiony dźwięk. Na dachu śnieg tajał, a krople jego, padając na blachę pod oknem, wybijały trzy różne tony: smutny, smutniejszy i jeszcze smutniejszy...

Otworzyłem oczy. Nad łąkami weszło słońce i czerwonym światłem zalało sklepienie izby, rysując na nim wizerunek kraty w oknie.

Stopniowo czerwoność bladła, krata

posuwała się coraz dalej, w końcu zeszła na ścianę, a na dworze — zaświergotały ptaki.

Za oknem krople wciąż uderzają w blachę, dzwoniąc trzema tonami: żal... żal... żal!... jakby płakały nade mną.

Nie — w naturze nie ma rzeczy martwych ani nieczułych. Są tylko różne formy życia, jedne więcej, drugie mniej dostępne dla rozumu i zmysłów. Dopiero na granicy istnienia człowiek spostrzega nowe widnokreśli i cały świat bytów w tym, co uważał za nicość i próżnię...

W takim dziwnym miejscu znalazłem schronienie ja — rozbitek. Jestem odcięty od ludzi, od ich anielskich złudzeń i zwierzęcych popędów.

Otacza mnie przeszłość i nieśmiertelna natura. Tu wiatr jest oddechem, kropla wody żyjącą istotą. Z pustek płyną fale wrażeń i myśli, cichość przemawia ogromnym głosem, samotność — uczy. Zaorana cierpieniami dusza okrywa się plonem nowych idei. Na życie, które minęło, i na śmierć, która już do drzwi puka, patrzę z innego punktu niż wszyscy. Jestże to rozwiązanie zagadki bytu czy ostatnie złudzenie?

Tydzień temu, wybierając się na ceremonialną wizytę, dobyteń najlepszy surdut, który od roku nie tknięty wypoczywa w szafie. Ale kiedym go przymierzył, opanowała mnie nagła trwoga: surdut — wisiał jak worek! Przez chwilę myślałem, że go odmienił mój zakrystian. Spojrzałem na nazwisko krawca — ten sam. Kiedyś przy klapie oderwał mi się guzik, który naprędce przyszyłem białą nitką i zaczerniłem atramentem. Po sprawdzeniu okazało się, że nic jest ta sama, tylko atrament wyblaknął.

W końcu — znalazłem w kieszeni zmiętą kartkę, na której przed laty zapisywałem godziny lekcji i nazwiska uczniów.

Nie ma wątpliwości, to mój surdut; a nie przystaje do figury dlatego, że od roku strasznie schudłem...

Teraz dopiero przyszedł mi na myśl mój kaszel, gorączka i ciągły upadek sił. Widocznie nurtuje mnie ciężka niemoc, na którą wśród zajęć nie zwracałem uwagi.

Ale czy dziś nie będzie już spóźnioną troska o zdrowie?...

Spojrzałem w lusterko i dla pewności wydobyłem swoją fotografią robioną przed dziesięcioma laty. Okropna zmiana. Wówczas wyglądałem jak olbrzym, bah! nazywano mnie pięknym mężczyzną, a dziś — wyglądam jak szkielet...

Nie mogłem się łudzić. Tak gwałtowne zmiany, w połączeniu z okolicznościami, które sobie teraz dopiero przypomniałem, w moim wieku — znaczą śmierć. Oby tylko nie poprzedziło jej długie konanie!...

Oslabiony, upadłem na krzesło. Pomimo właściwego mi stoicyzmu uczułem obawę i chęć ratowania się. Chciałem pisać do siostry, do brata, który jest lekarzem, i prosić o pomoc.

Ale wkrótce ocknął się rozsądek. Moja siostra mieszka w innej części świata z mężem i dziećmi; brat także posiada własną rodzinę i pomimo obszernej praktyki nie zbiera majątku. Godziż się burzyć ich spokój i narażać na koszt, któ. re ani o jedną godzinę nie opóźnią mego losu?

Z kolei przemówiła sprawiedliwość. Prawda, że oni zawdzięczają mi obecne stanowiska i szczęście. Wiem, że oboje z radością spłaciliby dług zaciągnięty w dzieciństwie.

Ale czy wypada mi przyjmować spłatę, zatruwać im życie i psuć własne dzieło?...

Zbudziło się we mnie uczucie skapca. Społeczność jest skarbnicą, do której i ja przecie złożyłem grosz i nie cofnę go dla chwilowej słabości.. Bądźcie tam szczęśliwi!... Niech wasze siły i troskliwość zwrócą się do tego, co zaczyna żyć, nie uszczuplone przez człowieka, który dziś lub jutro będzie tylko trupem. Gdybym przyjął waszą opiekę, stanąłbym jak wyrodek wobec tych członków rodziny, którzy poświęcili się dla innych. Takie myśli zapanowały mi w duszy; tylko w głębi, na dnie, wiło się coś, jakby — żal i obawa.

Człowiek jest zawsze człowiekiem!

Poszedłem do najlepszego doktora, nie tyle po radę, w której skuteczność nie wierzyłem, ile dla dowiedzenia się, na jak długo wystarczy mi życia. Doktor ów jest trochę dziwak, ale zdatny. W jego przedpokoju tłoczy się pełno ludzi, których leczy za małe pieniądze, i. jeżeli hałasują, wymyśla im przez drzwi gabinetu.

Niedługo czekałem, bo mnie spostrzegł między pacjentami i zaprosił. Jest to człowiek niski, tusty, zadyszany. Gdy wszedłem do gabinetu, posadził mnie na szezlongu i poczęstował cygarem mówiąc:

— Cóż tu profesora sprowadza?... O ile pamiętam, unikałeś pan doktorów jak morowego powietrza i — słusznie!... My nic nie wiemy, chyba to jedno, że Żydzi są największe łajdaki. Mam rację czy nie mam racji?...

Wlepił we mnie latające oczki i wziął za puls.

— Musisz profesor — mówił dalej — mieć liche apetyt, sen diabła wart, w nocy pocisz się, kaszlesz, a może i trochę krwią plujesz?... Wyobraź pan sobie, jak te łajdaki szachrują...

Pochylił mnie na szezlongu, osłuchując płuca i serce.

— Właśnie dziś byłem u jednego, który ma sklep z mosiądzem i galopujące suchoty. Wierzy osioł jak w talmud w to, że mogę mu przedłużyć życie, ale swoją drogą, gdym wszedł, trzymał on już w jednej ręce rubla, a w drugiej — pół rubla na honorarium... Zapisałem mu dwie recepty i spostrzegłem, że chce mi dać rubla. Ale później rozmyślił się i bojąc się, ażebym go nie zbeształ, dał dla mnie pół rubla w niezawodne ręce swojej małżonki.

Doktor siadł przy biurku i opowiadał dalej, pisząc receptę:

— Wyobraź sobie, profesor, że stara czarownica z tego półrubla ukradła dziesiątkę i oddała trzy złote zięciowi. Ten kajdaniarz ukradł znowu dziesiątkę i wręczył mi — dwa złote groszy dwadzieścia... Gdyby rodzina szanownego pacjenta była liczniejsza, może bym nie dostał nic, a może — musiałbym dołożyć. Masz profesor Żydów, oni tacy zawsze!...

Podał mi receptę i zaczął informować:

— Musisz profesor brać te proszki, porzucić lekcje i położyć się do łóżka. Za parę dni będę u pana, a wtedy zobaczymy, co dalej robić.

— Za pozwoleniem! — odezwałem się. — Doktor wie, że ja utrzymuję się z lekcji, a mam ledwie czterysta rubli oszczędności. Otóż chciałbym wiedzieć, czy moje środki pozwolą na długi wypoczynek...

Doktor zamyślił się.

— A ileż profesor wydajesz dziennie na życie?... — spytał.

— Rubla.

— Rubla życie — mruzczał doktor — lekarstwa liczymy dwa złote...

Nagle zawołał głośno, klepiąc mnie:

— Bądź profesor spokojny. Pański fundusz wystarczy na... trzy kuracje!... Dowiedziałem się tedy, czego mi było potrzeba. Pożegnałem oryginalnego doktora i na odchodne chciałem mu wręczyć honorarium. Ale on wziął mnie lekko za ramię i wyprowadził za drzwi, mówiąc:

— Razem!... razem zapłacisz pan, jak skończymy kuracją... Ale prawda, że mosiężnik gałgan?... Oni tacy wszyscy!...

Doktor jest w naszym mieście nie tylko najzdolniejszym lekarzem, ale także najlepszym muzykiem i w uroczyste święta grywa w kościele na organach. Sam pochodzi z Żydów i jeszcze się nie ochrzcił.

Wyszedłem od niego w dziwnym nastroju.

Miałem pewność, że umrę najpóźniej za kilka miesięcy; doświadczeni lekarze nie myślą się co do takich pacjentów, jakim ja jestem... Mimo to nie czułem trwogi, tylko wrażenie — jakby coś we mnie skamieniało.

Spokojnie myślałem, że porzucę lekcje, aby którego z uczniów nie zarazić suchotami, ale że — nie będę się kładł do łóżka. Nie warto przedłużać takiego zdrowia!

Szedłem przez ulicę z zaciśniętymi rękami, pewnym krokiem, jak idą na rusztowanie skazańcy, którzy nie chcą okazać słabości ducha. Gdyby mi się otworzył grób pod nogami, wstąpiłbym tam bez wahania. Dziwiłem się tylko (śmieszne pretensje!), że pomimo tak wielkiej zmiany w mojej duszy, w mieście nie zmieniło się nic.

Gromada uczniów biegnie ze szkoły, potrącając się z krzykiem. Kilku Żydków rozprawia o interesach z takim zajęciem, jak gdyby nikt na świecie nie umierał. Dzień jest

piękny, młodzi urzędnicy z wielką energią kłaniają się uśmiechniętym kobietom. Przez okna cukierni widzę ludzi znacznie starszych ode mnie, którzy grają w szachy albo czytają gazety...

Widok zwykły. A przecież wydał mi się nadzwyczajnym. Moja tłumiona boleść była tak wielka, iż zdawało mi się, że napelnia cały świat. Gdy wszedłem do klasztoru, korytarze jaśniały od słońca. Niebo było czyste, a przez wielkie okna wlewała się złota powódź blasków. Można by sądzić, że jest już maj, a był dopiero początek marca. Naprzeciw jednego okna stał, grzejąc się w słońcu, dziewięćdziesięcioletni zakonnik, a gdym się zbliżył do niego, odezwał się z wybuchem szczerego śmiechu: — Patrz asan dobrodziej... cha! cha! cha!... za parę tygodni będzie wiosna. Widziałem pączki na krzakach... Nie pamiętam, com mu odpowiedział, i spiesznie pobiegłem do swojej izby. Tu znowu pełno słońca. Z podwórza dolatuje odgłos rąbanego drzewa i cichy świergot wróbli. Ale na łąkach, daleko, leży jeszcze śnieg. Drogą od miasta wlecze się chłop sankami zaprzężonymi w jednego konia, a na sadzawce, na której lód już taje, ślizga się kilku chłopców. Ścigają się, krążą wkoło, jeden upadł... Tak samo i ja bawiłem się niedawno... Nawet zdaje mi się, że jeszcze powinien być między nimi... O Boże! czy życie nie jest... szyderstwem? I otóż stoję przed tobą — widmo moich lat młodzieńczych — złamany, zużyty, samotny i zapomniany. Wielu drwiło ze mnie, niektórzy litowali się, a wszyscy mówili, że zmarnowałem zdolności i siły. Nie spowiadam się przed Bogiem, bo On, jeżeli jest, osądzi mnie lepiej, niżbym ja sam potrafił. Nie spowiadam się

przed ludźmi, ci bowiem już wydali na mnie wyrok, nie czytając skargi i nie słuchając obrony. Zdaję tylko rachunek przed tobą, przeszłości moja — i — przed sobą.

Tak wygląda miejsce, w którym dogorywa moja nicość. Zdaje mi się, że przed wiekami, w epoce młodości świata, istniał olbrzymi twór: Ascetyzm, po którym dziś została tylko skorupa — klasztor. Tu znalazłem schronienie ja, rozbitek czy maruder. Otacza mnie przeszłość i

nieśmiertelna natura. Tu kropla wody jest istotą żyjącą, a wiatr oddechem. Z pustek płynie powódź wrażeń i myśli, a cichość przemawia głosem ogromnym. Jestem odcięty od ludzi, od ich anielskich złudzeń i zwierzęcych zabiegów. Przeciagam się na łożu samotności. Dusza moja, zorana cierpieniem, zasiana doświadczeniem i nauką, pokrywa się plonem nowych idei. Na życie, które minęło, i na śmierć, która idzie, patrzę dziś z punktu całkiem różnego niż dotychczas.

W takim otoczeniu i pod takimi wpływami chcę pisać własny życiorys i przedstawić tych wszystkich, o których, jak i o mnie, mówiono, że się zmarnowali.

Życie jest jak promień słońca. Gdy raz upadło na ziemię, musi albo odbić się od czegoś, albo w coś wsiąknąć.

Gdy promień odbija się, a szczególnie od złota, orderów, jaskrawych barw lub pięknej twarzy, wówczas jest widzialny, zwraca powszechną uwagę i zdobywa sławę.

Lecz gdy promień słoneczny wsiąknie w coś, wtedy znika dla oczu, a pospólstwo mówi o nim, że się zmarnował. On tymczasem budzi rośliny z zimowego snu, daje zieleń

ich liściom, zapach kwiatom. Podtrzymuje wszelkie istnienie, zapala uczucia, nadaje polot myślom.

Był czas, żem wzdychał do rozgłosu i żałował zmarnowanego życia. Lecz jeżeli, o Duchu świata, znowu rzucisz mnie w gromady istot goniących za szczęściem, wybacz nierozsądne narzekania i spraw, abym na drugiej stacji był także promieniem, który zniknął, nie zaś tym, który się odbił.

IV

Ojciec mój był drobnym szlachcicem. Miał pięćdziesiąt morgów ziemi, na niej chatę i budowle gospodarskie. Sam robił w polu, a matka w domu.

Jeszcze teraz zdaje mi się, że widzę na wzgórku wielką sosnę z rudym pniem, z gałęzmi jak zielony parasol, a pod nią ojca, który podkasawszy granatową kaptę, idzie za pługiem ciągnionym przez dwa woły gniade. Za nim skaczą wrony polujące na pędraki w świeżych skibach. Gdybym zaś słuch lepiej wyteżył, może z odległości czterdziestu lat doleciałoby mnie echo śpiewu skowronków i nawoływań: byś kso! kso!...

Matka pracowała wraz ze sługami. Ale że było ich tylko dwie na duży dom, więc pracowała ciężko. Piekła chleb, gotowała obiady, prała naszą bieliznę z grubego płótna, doiła krowy i zbierała pokrzywy w rowach albo pod płotem.

Przez dziesięć lat byłem jedynakiem. Później urodził się brat, po nim siostra i znowu brat.

Nie mieliśmy zbytków, lecz mierny dostatek. Piękny chleb razowy, i pszenne bułki piekły się co tydzień. W spiżarni ciasno było między workami kaszy, mąki, połciami słoniny, kręgami sadła. Znajdował się tam jeszcze miód, powidła i różne suszeniny. W lochu naprzeciw okna matki stały hladysze kwaśnego mleka. W spichrzu bywało zawsze dosyć ziarna.

Kilka razy na rok przychodziły do nas Żydki z miasteczka. Jeden garbaty i łysy, który szył odzienie z domowego albo kupnego sukna, drugi wysoki i kaprawy robił dla nas obuwie, a uprząż dla koni. Co uszyli, to szło do komory, gdzie już i tak wisiało pełne kapot, czapek, kozuchów, kaftanów i spódnic. Widziałem tam i pałasz w kącie. Ale klinga jego zardzewiała, a skórzaną pochwę coś objadło, bo ojciec mój po sejmikach nie jeździł, a za czasów Napoleona — z karabinem obszedł Europę.

Dzielny to był starzec. Miał tęgi wzrost, twarz rumianą, oczy siwe i bystre. Kiedy wrócił z wojska, nie poszedł na cudzy chleb, choć go zapraszali, ale wziął się do pługa. Własnej ziemi nie posiadał, więc najął się do służby, do sąsiada swoich rodziców. Pracował jak parobek. Za to po kilku latach szlachcic dał mu córkę i grunt.

Ja, syn najstarszy, przeznaczony byłem na dziedzica tej fortuny, którą ojciec miał zamiar zaokrąglić. W tym celu składał nawet pieniądze do malowanej skrzyni.

Na szczęście czy nieszczęście rodzicielskie plany nigdy się nie spełniły. Dokoła nas mieszkali sąsiedzi, ubożsi i bogatsi. Ten, który siedział najbliżej, miał pięćset morgów i żył po pańsku. Trzymał ekonoma, bił chłopów, a syna, mego rówieśnika, oddawał do szkół.

Z paniczem tym znaleźliśmy się od dziecka. W święta jeździliśmy razem konno: on na siodle, a ja oklep. W dzień, powszedni łowiliśmy raki w rzece albo wypatrywaliśmy gniazda w lesie.

Gdy jednak chłopiec wstąpił do szkół, zaraz w pierwszym roku nauczył się dumi, choć nie dostał promocji. Po czął chodzić między opłotkami w mundurze z kołnierzem czerwonym, a ze'mną już nie bawił się.

— Nie wdaję się z tobą! — powiedział mi raz — bó twój ojciec orze jak chłop, a ty świnię pasiesz.

Ja świń nie pasłem. Tylko jak wleli im żarcie w koryto, odpędzałem psy, które włąziły tam z nogami i łbami i same zjadały wszystko. Swoją drogą, gdy dawny przyjaciel na zwał mnie świniopasem, rozbeczałem się tak, że ledwie konwulsji nie dostał.

Aż zląkł się ojciec, który z drzewem przyjechał z lasu. Gdym mu zaś opowiedział o moim wstydzie, wpadł w zadumę. Siadł na pniu przed domem, oparł brodę na rękach i długo rozmyślał. A potem z matką radzili w izbie do późnej nocy, aż się w kaganku cały knot wypalił.

Na drugi dzień wydobył ojciec ze skrzyni nasz dyplom szlachecki i parę worków rubli srebrnych. Uważnie odczytał dyplom, przerachował pieniądze, a potem mnie zawołał.

— Widku! — rzekł — pójdziesz i ty do szkół i będziesz nosił mundur, ażeby cię byle kto nie wyzywał od świniopasów.

Eozplakałem się i upadłem ojcu do nóg. Całowałem go tak serdecznie, że kiedym wstał, musiałem pójść do kuchni i umyć się, bom sobie nos o buty powalał.

Gdym wrócił, ojciec znowu począł mówić:

— Słyszysz, Wieku? Na twoją naukę pójdzie grosz ciężko zapracowany. Zbierałem go na posag dla reszty dzieci. Pamiętaj więc, żebyś to zwrócił, jak skończysz cztery klasy i zostaniesz księdzem, bo tak chce matka. Nie mnie zwrócisz, bo ja już w grobie będę za osiem lat (ojciec na każdą klasę przeznaczał mi dwa lata!), ale matce i młodszym. Chleb im dasz i opiekę, gdy będą w potrzebie. Pamiętaj!

Ojciec, zwykle milczący, spracował się tak, że otarł pot

rękawem. Ja płakałem, aż mi oczy zapuchły. Upomnienie ojca, wzruszyło mnie jak największe zakłęcie, bom przywykł każde słowo jego uważać za doniosły wypadek. Prosty ten człowiek wobec ludzi przemawiał czynami. Wyrazów używał tam tylko, gdzie czyny nie sięgały:— najczęściej w rozmowie z Bogiem.

Takim sposobem wszedłem do szkół. Ale dawny mój przyjaciel, choć go już w drugiej klasie dogoniłem, a później prześcignąłem, wciąż dawał mi przewisko świniopasa. Ustatkował się dopiero, gdy mu raz siostry, kąpiąc się w rzece, tonęły, a mój ojciec wyciągnął je narażeniem własnego życia. Kiedym ukończył cztery klasy prędzej, niż się spodziewano, spytała mnie matka, czy zechcę wstąpić do seminarium. Milczałem — patrząc w ziemię, gotowy spełnić rozkaz i rozpocząć wypłatę zaciągniętego długu. Ale ojciec wyczytał widać z mojej twarzy wahanie się, bo odciągnął matkę na bok i znowu złożyli radę.

Rezultat był ten, że miał wrócić do szkół i pracować na patent z siedmiu klas. Ojciec wydobył ze skrzyni nową sumę pieniędzy i rzekł tylko te słowa:

— A pamiętaj, że to dług! Szkoły ukończyłem z nagrodą, mając lat dziewiętnaście.

Byłem zdrow i silny, właśnie jak syn człowieka, który chodził za pługiem. W piersiach coś mi się paliło, ale nie uderzało do głowy, w której panował rozsądek. Rwałem się do życia, ale zaciągnięty u rodziców dług gotów byłem spłacić, Tylko matce, gdy zobaczyła, że tak wyrósł, zrobiło się żal oddawać mnie do seminarium. Więc ucałowała mnie w głowę (łzy jej dziś czuję na twarzy!) i rzekła cicho do ojca:

— Kaziu! chyba go nie oddamy do księży?... Ojciec spojrział na nas, wzruszając ramionami.

— A on tam po co? — odparł.

Od tej chwili mogłem sam wybierać zawód. Obijało mi się nieraz o uszy słówko: uniwersytet, więc postanowiłem wstąpić do uniwersytetu. Nie chcąc jednak nadużywać łaski rodziców, pojechałem wprzód na guwernerkę.

Byłem tam dwa lata. Za moje pieniądze oddałem młodszego brata do szkół, sprawiłem matce salopę, a ojcu barany. Przy ostatecznym jednak rachunku okazało się, że na dalszą naukę mam tylko pięćdziesiąt rubli. Ojciec znowu przyszedł mi z pomocą. Nie wspominał o tym, że już trzeci raz u niego dług zaciągam, ale przed wyjazdem szepnął mi do ucha:

— Wicusiu! ja myślę, że Jasiowi te szkoły nie są potrzebne.

Wstyd mnie ogarnął, bo to moja zarozumiałość wypchnęła chłopca w świat i przysporzyła wydatków ojcu. Więc dla uspokojenia się powiedziałem, że za rok, a za dwa najpóźniej, na wychowanie młodszych dzieci — ja będę przysyłał pieniądze.

— Ja skończyłem szkoły — rzekłem — byłoby więc sprawiedliwie, ażeby nie skończyli ich młodszy, z mojej winy?

A ojciec na to:

— Jesteś dorosły i masz więcej rozumu niż ja. Rób, jak chcesz. Niechaj wszyscy idą do szkół, jeżeli ma to być szczęście.

W owej epoce najbliższy uniwersytet był w Kijowie. Jechało się tam furami żydowskimi, bez mała tydzień i dłużej. Podróże były kosztowne,

więc choć niekiedy zatęskniłem do domu, nie odwiedzałem go przez cztery lata.

W początkach zastałem dużo biedy. Wstąpiłem na wydział prawny i dopiero po upływie roku przeszedłem na wydział fizykomatematyczny, który najlepiej odpowiadał memu usposobieniu i zamiłowaniu.

W uniwersytecie kształciło się mnóstwo młodzieży z różnych okolic kraju. Wszyscy oni z łatwością zawiązywali stosunki i żyli gromadą, na wspólny koszt. Ja tylko nie miałem towarzystwa. Nędza zrobiła mnie nieśmiałym, praca — odludkiem, żarty kolegów — opryskliwym. Przez całe tygodnie nie rozmawiałem z nikim, przez miesiące karmiłem się razowym chlebem i herbatą. Może bym i umarł z wyczerpania sił, gdyby nie drobne zasiłki z domu. Ojciec domyślał się z listów, że mi źle w Kijowie, więc przysyłał, ile tylko mógł, nie wahając się zaciągać długów.

Dopiero egzamin złożony na pierwszym kursie w nieoczekiwany sposób wpłynął na zmianę mojej doli. Zwrócił on uwagę profesorów i zjednał przyjaźń kolegów. W ciągu dwu tygodni ja, okrzyczany za dziwaka, zyskałem sławę najzdolniejszego ucznia, znalazłem przyjaciół i kilku protektorów. Mój pokój na Padole pod strychem, gdzie był tylko stół i drewniana paka, napełnił się gośćmi. Oni podziwiali moją nędzę i naukę, a ja — żem tylu życzliwych zobaczył w swym mieszkaniu.

Od tego czasu jak grad spadały na mnie wykrzykniki pochwalne, zaproszenia, lekcje. Pewien bogaty szlachcic ukraiński ofiarował mi posadę dozorczy swoich synów, zbytckowne mieszkanie, życie i kilkaset rubli pensji, nie licząc podarunków.

Nagle przejście od niedostatku do nadmiaru zachwiało moją równowagę duchową. Byłem młody, pieniędzy miałem

dość, więc — zbudziła się we mnie chęć używania. Wpadłem w odmęt znajomości, zabaw i wydatków. Nie przeszkadzało mi to w naukach, ale do pewnego stopnia zatarło wspomnienia o rodzinie. Byłem tak szczęśliwy, że mi przez głowę nie przeszła myśl o kłopotach w domu. Toteż w owej epoce, gdy mój ojciec, skutkiem wydatków na brata i klęsk w gospodarstwie, musiał zaciągać długi coraz większe, ja trwoniłem pieniądze. Czasami tylko ogarniał mnie nieokreślony niepokój, a wtedy wysyłałem do domu — pakę bakalijskich i suszonych konfitur kijowskich. Pożyczki na edukację, wzięte z rodzinnego kapitału, poszły w niepamięć. Chwilowo zapomniałem o obowiązku spłacania ich. Był to ciężki błąd, za którym niedługo nastąpiła pokuta.

Gdy złożyłem egzamin na czwarty kurs, zdawało się, że przyszłość mam już w kieszeni. Byłem przedmiotem pewnego rodzaju licytacji dla profesorów. Jeden zachęcał mnie do wyłącznego zajęcia się botaniką. Drugi zapewniał, że tylko w dziedzinie chemii znajdę pole dla swoich zdolności. Trzeci twierdził, że popełniłbym zdradę, gdybym nie poświęcił się geologii. Wszyscy trzej obiecywali wyrobić mi stypendia i ułatwić wyjazd za granicę.

Takie zachęty i obietnice pochlebiały mojej dumie. Nie myślałem jednak o szukaniu przyszłości w nauce teoretycznej, mając przed sobą ponętniejsze widoki.

Szlachcic, u którego byłem guwernerem, miał ogromne dobra w okolicy żyznej, posiadającej wyborne środki komunikacji. Był to człowiek wykształcony i przedsiębiorczy, zakładał cukrownie, dystylarnie, olejarnie, browary i mnożył majątek.

Fabryk tych było już siedem, a miało być dwa razy więcej. Procent przynosiły dobry, mogły jednak przynosić jeszcze lepszy. Główną zawadę w ich rozwoju stanowił brak kierowników, czemu szlachcic postanowił zaradzić przygotowując specjalistów na własny koszt.

Między innymi zwrócił się do mnie. Ofiarował mi tysiąc rubli rocznie, z warunkiem, że po skończeniu uniwersytetu wyjadę na trzy lata za granicę dla obeznania się z dystylatorstwem i cukrownictwem. Potem miałem zostać u niego naczelnym dyrektorem kilku fabryk, ze znaczną pensją i procentami od czystych zysków. Szlachcic twierdził, że gdyby mi się udało wprowadzić choćby niewielkie ulepszenia do jego zakładów, po pewnym czasie mógłbym zarabiać od piętnastu do dwudziestu tysięcy rubli rocznie. Ludzie fachowi potwierdzali jego rachunek.

Rozumie się, że propozycją przyjąłem bez wahania. Wprawdzie czekało mnie znowu kilka lat pracy i zależności. Wiedziałem jednak, że potem dla całej rodziny będę miał zapewniony byt, o jakim ani ja, ani ojciec nie mogliśmy marzyć przed laty.

Na wakacje, wzięwszy od innego dobroczyńcy urlop i paręset rubli, pojechałem do rodziców — ekstrapocztą.

Po kilkudniowej forsownej podróży stanąłem w domu o północy. Księżyc nie świecił. Przy słabym migotaniu

gwiazd wieś nasza wydała mi się ubogą, a gościniec — węższym niż dawniej.

Rodzice uwiadomieni o moim przyjeździe czuwali, dzieci spały od kilku godzin. Na odgłos trąbki pocztyniońskiej ojciec i matka wybiegli przed dom. Zastałem ich u wrót, które rozpadły się ze starości.

Kiedym wysiadł z bryczki, matka zapytała: kto to? i nie czekając odpowiedzi objęła mnie za szyję, a po niej ojciec.

Nie mówiliśmy nic, nie mogliśmy nawet przypatrzeć się naszym twarzom. Czułem tylko, że moja nauka, sława, dochody i świetne widoki topnieją wobec przywiązania dwojga ubogich ludzi.

Weszliśmy do izby, gdzie paliła się łożowa świeca w mosiężnym lichtarzu z wysuwką. Nasz dom zapadł się głębiej w ziemię, do sufitu dostawałem ręką, pokoje wydawały się ciasne, w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Ojciec zupełnie osiwiiał i zmizerniał, matka zgarbiła się. Odzienie na nich było wytarte.

Na widok mój matka zapłakała. Płacz jej niebawem przeszedł w szlochanie takie smutne, że opanowała mnie obawa i nieopisana tęsknota. Aż ojciec oburzył się:

— Ładnie go witasz po czteroletnim niewidzeniu! — rzekł do matki.

— To nic! to nic! — mówiła siląc się na uśmiech. Przez parę minut oczy jej były suche. Po chwili przecie tak się zaniósła od płaczu, że nie chcąc robić mi przykrości, wybiegła na dziedziniec.

Stopniowo uspokoiliśmy się. Matka chciała mnie poczęstować kurczęciem z mizerią, alem podziękowałem. Wtedy ojciec poradził nam, abyśmy spać poszli.

Odprowadzili mnie do pokoiku, którego okno, okiennicą

zamknięte, wychodziło na ogródek. Sufit był tak niski, że musiał głowę schylać. Pod ścianą, naprzeciw okna, stał tapczan, na którym dawniej sypiałem. Przy tapczanie stół i krzesło, oboje małe i niewygodne. Ucałowany i pobłogosławiony, zdjąłem prędko odzienie i ległem spać. Kołdra wyciągnięta na ukos ledwie mi sięgała po szyję, a z tapczanika nogi mi wystawały. Stary nasz pies, Bryluś, zbudzony światłem wymykającym się przez szpary okiennicy, począł szczekać i wyć. Później ułożył się pod ścianą i cicho skomlił.

Pomimo zmęczenia sen nie przychodził. W sercu moim burzyła się dziwna mieszanina szczęścia i smutku. Coś rwało mnie do góry i przybijało do ziemi, może rażąca sprzeczność między moimi nadziejami a ubóstwem rodziców.

Skrzypnęły drzwi. Weszła matka, na palcach.

— Spisz? — spytała, całując mnie. — Spij, śpij, ja cię nie budzę... Żebyś ty wiedział, jak ja cię dawno nie widziałam!... Masz takie cieniutkie koszule... chwała Bogu!... Tylko nie wiem, czy ja to potrafię uprać?... Spij, śpij...

I odeszła szepcząc pacierz:

— Pod Twoją obronę uciekamy się... Jak on wyrósł!... święta Boża Rodzicielko...

W drugim pokoju, za ścianą, brat mój piętnastoletni, Jaś, przewracał się niespokojnie i mówił coś przez sen.

Zgasilem świecę i wkrótce straciłem świadomość.

Rano zbudził mnie ruch za oknem. Przetarłem oczy. Przez szpary i kółko wycięte w okiennicy wlewał się do pokoju dzień. Za okiennicą słychać było szeptanie trzech dziecięcych głosów.

— Ludka! nie zaglądaaj, bo zbudzisz! — mówił cienkim tenorem Jaś.

— A może Wicuś nie śpi — odparła Ludka mająca teraz dziewięć lat.

— Jaki to Wicuś?... Czy to starszy Jaś?... — pytał pięcioletni Kazio.

— Nie Jaś, tylko braciszek — poprawiła go Ludka.

— Nie braciszek, tylko brat! — odezwał się Jaś i dodał: — Braciszek to taki, co jeszcze leży w kołysce.

Odeszli parę kroków dalej. Wkrótce usłyszałem hałas stołka ciągnionego po ziemi i głos Ludki:

— Cicho! cicho!... Ja zobaczę, czy śpi. A jeżeli obudził się, to mu przyniosę wodę i ręcznik.

— Nie ty, tylko ja! — odezwał się Jaś.

— Nieprawda, bo ja!... Ty pójdziesz w pole i dasz znać tatkowi, że Wicuś wstał... Kaziu! nie baw się piaskiem, bo powalasz sukienkę i w niedzielę nie pójdziesz do kościoła.

Dźwigany stołek uderzył o ścianę... Nagle zniknęło światło wchodzące przez szpary, a w kółku okiennicy ukazały się dwie rączki przeświecające i — ciemne oko Ludki.

— Widzisz? — pytał Janek.
— Widzę! — odparła.
— Śpi?..
— Nie wiem, ale na stoliku leży czapka z daszkiem i z niebieskim lampasem — szepnęła Ludka.
Potem zeskoczyła ze stołka i wkrótce odeszli wszystko troje.
— Czy Wicus jest taki duży jak tatko? — zapytał Kazio przed odejściem.
— Wicus jest mądrzejszy od Jasia! — odpowiedziała mu Ludka.
Dla tych dzieci przyjazd mój był ważnym wypadkiem. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że w Kijowie nie pomyślałem o nich i nie przywiozłem im najmniejszego podarunku, ja, bogacz, ukochany brat! Gdym się nieco ogarnął i wyszedłem na podwórko, Jaś i Ludka z krzykiem przybiegli do mnie i zaczęli całować po

rękach. Witając się z nimi, uczułem, że coś chwyta mnie z tyłu za nogi. Był to Kazio.

Potem Jaś pokazał mi cenzurę, rzeczywiście dobrą, którą na mój przyjazd od kilku dni trzymał w kieszeni, a Ludka wyniosła z pokoju swoje kajeta i była gotowa zdawać egzamin na dziedzińcu, obok studni z żurawiem. Kazio zaś, nie chcąc, aby go zaćmiły zasługi starszych, potoczył się na krótkich nóżkach do ogrodu i — przyniósł mi zieloną żabę!

Odtąd po całych dniach wszyscy troje chodzili za mną, strofując się wzajemnie za natrętność. Ich przywiązanie do mnie było pełne podziwu, ślepej wiary i nieograniczonego poświęcenia. Zdaje się, że na mój rozkaz dwoje starszych skoczyłoby w ogień, a Kazio poszedłby za nimi — dla towarzystwa. Było to ubóstwienie.

Po obiedzie Ludka znikła na parę godzin. Gdy przed wieczorem wszedłem do mego pokoju, znalazłem nad tapczanem wianek, a na stoliku dwa bukiety z polnych kwiatów, osadzone w małych garnuszkach. Od tej pory siostra co dzień ozdabiała mi pokój kwiatami.

Po zachodzie słońca ruch gospodarski zmniejszył się. Siedliśmy z rodzicami na kłodzie przed domem i zaczęliśmy rozmowę o sobie. Nie pytałem ich o nic. Kilka godzin wystarczyło do przekonania się, że nad rodziną naszą ciąży ubóstwo. Budowle pochyliły się; w dachach i ścianach były dziury. W spichrzu i spiżarni — pustka. Krowy i konie zmizerniały, a na odzieniu rodziców znać było ślady naprawek. Zwiększone wydatki i parę lat nieurodzaju podkopało skromny dobrobyt. Kiedym ubolewał nad takim położeniem i sobie przypisywałem winę, ojciec odparł ze szczerym śmiechem:
— Facecje! Zetrze bieda zęby, nim staruchom dokuczy. Nie trzeba nam innego szczęścia nad powodzenie dzieci. Nie jesteśmy chyba nic warci, kiedy pod naszym okiem wyrasta

młodzież zdrowa i chętna do nauki. Już ty i Jaś będziecie czymś lepszym między ludźmi aniżeli ja albo mój ojciec. W waszych osobach rodzina wzmogła się. To dosyć!

Ojciec był człowiekiem, który przez całe życie więcej dbał o szczęście innych aniżeli o przyjemności własne. Potrzeby miał małe, siły ogromne, więc znaczną część ich poświęcał na ofiarę. Był to hojny bogacz — w odzieniu biedaka.

Teraz opowiedziałem rodzicom historią czterech upłynionych lat. Gdym opisywał mój niedostatek, matka ocierała łzy, a ojciec kiwał głową. Gdym mówił o powodzeniu późniejszym, matka składała ręce na znak radości, ojciec ze zdziwieniem słuchał. Kiedy nareszcie przyszła kolej na propozycje szlachcica i na to, że za kilka lat mogę mieć piętnaście tysięcy rubli rocznego dochodu — oboje rodzice spojrzeli po sobie. Matka była jakby zalękniona, a ojciec pochmurny.

— Nie strach tobie, Wicusiu, zostać wielkim panem? — spytała nagle matka żegnając się.

— .Phy! — mruknął ojciec — Napoleon był większym panem, a także powstał z niczego. Szlachcic może być i królem.

Uważałem jednak, że moje świetne widoki obudziły więcej niepokoju i zdziwienia aniżeli uciechy.

W najbliższą niedzielę przypadał odpust. Do kościoła było kilka wiorst. Jeden nasz koń zakulał, więc my, starsi, poszliśmy na nabożeństwo piechotą, a Kazia i Ludkę oddaliśmy na wóz sąsiadowi.

W kościele stanęliśmy przy drzwiach, zwyczajnie jak biedacy. Kapota mego ojca i chustka matki nie dawały nam prawa do ławek przed ołtarzem.

Wszelako mój mundur z szafirowym kołnierzem i złożonymi guzikami zrobił wrażenie. Ubodzy sąsiedzi usuwali się z miejsc, bogaci ściskali ojca za rękę, kobiety nie spuszczały ze mnie oczu.

Nabożeństwo trwało kilka godzin, po czym wróciliśmy do domu, a z nami mniejsze dzieci, bo sąsiad, który je tu przywiózł, pojechał w inną stronę. Nie uszliśmy stu kroków za wieś, gdy Kazio zaczął płakać ze zmęczenia i głodu. Ludka także ociągała się i pobladła.

Tedy ojciec wziął na ręce Kazia, a ja Ludkę, pomimo jej oporu i zapewnień, że dojdzie sama.. W połowie drogi dziewczynka oparła głowę na moim ramieniu i twardo zasnęła. Słońce piekło, droga była nierówna, Ludka dość ciężka. Pomimo to nie oddałbym jej nikomu. Mała ofiara, jaką dziś po raz pierwszy zrobiłem dla niej, sprawiła mi duże zadowolenie.

Byłem szczęśliwy czując, że jestem użyteczny.

Zdaje mi się, że w czasie powrotu z kościoła uczułem silniejsze niż dawniej przywiązanie do Ludki. Wtedy przemknęła mi myśl, że tym mocniej będę kochał moje rodzeństwo, im więcej oddam mu usług.

Wieczorem poszedłem wcześniej do swego pokoiku i leżąc na tapczanie czytałem książkę. Za ścianą, stojącą w głowach, była sypialnia rodziców. Około jedynastej usłyszałem tam ciekawą rozmowę.

— Wiesz, Kaziu! — odezwała się matka. — Mnie się zdaje, że Wicuś nie mówi już pacierza klęczący...

— Ja żadnego nie mówiłem, kiedym był w wojsku — odparł ojciec.

Długie milczenie. Na pobliskim gościńcu słychać było turkot przejeżdżającej bryczki.

— A co myślisz, Kaziu, o tych fabrykach i nadziejach Wicusia? — mówiła matka. — Mnie czegoś strach ogarnia. Wicusiovi, kiedy rozpowiadał o tym, aż oczy świeciły z radości. Widać on nieborak pragnąłby mieć dużo pieniędzy,

a nie wie o tym, jak trudno wejść bogaczowi do Królestwa Niebieskiego...

— Kto zgadnie, co z tego jeszcze będzie?... — odparł ojciec. — Cieszy się, zwyczajnie jak młody.

— Ale my powinniśmy go reflektować — rzekła matka.

— At!... — mruknął ojciec. — Tyle jego szczęścia, ile sobie rachuje na dzień jutrzejszy. Co my go mamy dręczyć perswazjami, kiedy to robi świat prędzej czy później. Każdy młody myśli, że będzie Bóg wie czym. Ja przysiągłbym, że zostanę chorążym, a nie zostałem nawet podoficerem. Jakub Dąbrowski mówił, że będzie generałem, a Wąsowicz chwalił się, że awansuje na króla, jak zabraknie kandydatów... Starsi młodym nie wytłomaczą nic. Dopiero świat ich przekonywa!

Knot świecy pokrył się grzybem wielkości orzecha. Zdmuchnąłem światło.

Więc z mojej sławy, dochodów i stanowiska ma być to, co z jeneralstwa Dąbrowskiego i korony Wąsowicza?...

Nie. Zbyt wiele czuję w sobie sił, abym nie złamał przeszkód, jakie mi świat postawi!

Swoją drogą podsłuchana mimo woli rozmowa utkwiała mi w sercu jak gwóźdź. Odtąd za słońcem mojej wiary w siebie niby cień włóczyła się wątpliwość, oparta na gorzkim doświadczeniu człowieka, co znał marzycieli i sam kiedyś marzył.

Wakacje prędko przeleciały. Czytałem książki, uczyłem Jasia i Ludkę, niekiedy doglądałem robót w polu. W obojgu dzieciach spostrzegłem niezwykle zdolności, z cechami wprost przeciwnymi.

W Ludce przeważał nastrój poetyczny — w Janku pociąg do matematyki i ścisłych badań. Wspólnymi własnościami obojga była silna wyobraźnia i wielkie współczucie.

Trudno opowiedzieć, w jaki sposób oddziaływał na te dzieci krzyk cierpienia albo czyjeś łzy. Ta ich wrażliwość była fatalnym piętnem. Z pieniędzy przywiezionych ze sobą posprawałem rodzeństwu odzież i książki. Jankowi dałem na wpis i chciałem kilkadziesiąt rubli zostawić ojcu. Kiedym wspomniał o tym, twarz jego oblała się krwią. Pierwszy raz spojrział na mnie z wyrazem dumy. Umilkłem zawstydzony, ucałowałem go w rękę, a pieniądze oddałem Jasiowi na opłacenie stacji.

— Mnie nie potrzeba — wymawiał się hardy chłopiec — ja idę do szóstej klasy i będę dawał korepetycje.

— A dużo ci płacą? — spytałem.

— Oho!... Z dziesięć złotych na miesiąc.

I znowu bryka żydowska zawiozła mnie do Kijowa, bo ekstrapocztą wstyd mi było wracać.

Pobyt w domu przywrócił mi do pewnego stopnia równowagę moralną. Osłabił pychę, wzmocnił przywiązanie do rodziców i zaszczerpił miłość dla rodzeństwa. Jeżeli mnie z niskiego stanowiska wydzwignęła praca i zdolności, to Jaś nie mniej pracował ode mnie, a zdolności miał większe. Jeżeli ja chlubiłem się szlachetnością uczuć, to Ludka była przy mnie aniołem. Jaka zaś przepaść istniała między ich uwielbieniem dla mnie, a moim początkowym chłodem dla nich!

V

Świetna przyszłość zbliżała się ku mnie ogromnymi krokami. Po Nowym Roku otrzymałem złoty medal za rozprawę o związkach węgla. Profesor chemii coraz natarczywiej nalegał, abym poświęcił się badaniom teoretycznym. Rektor zapewniał, że otrzymam stypendium na studia za granicą, a później — katedrę na uniwersytecie.

Mój szlachcic zgodził do synów innego nauczyciela, prosząc mnie, abym nadal mieszkał w jego domu, lecz wyłącznie zajął się własną nauką.

Postanowiono, że zaraz na początku wakacji udam się w podróż, a rozprawę kandydacką napiszę za granicą. Plenipotent majątku szlachcica, jego rządcy i dyrektorowie fabryk składali mi wizyty, obsypywali pochlebstwami i prosili o łaskawą pamięć dla swoich kuzynów.

Uniżoność tych ludzi robiła na mnie wielkie wrażenie. Odurzało mnie poczucie władzy, choć jeszcze nie miałem jej w rękach.

Skończywszy egzamin, stosownie do umowy opuściłem Kijów. Na odjeźdnym szlachcic wręczył mi tysiąc rubli, dodając, że za pół roku otrzymam nową sumę.

Za miastem pocztowa trójka ruszyła w cwał. Owiało mnie powietrze wiejskie, serce uderzyło prędeej, myśli zmieniały się z niezwykłą szybkością. Jak na dłoni widziałem moje ubogie dzieciństwo, pracę rodziców, dumę sąsiadów. Odżyła w pamięci nędza pierwszych lat pobytu w uniwersytecie i owe ciągle niepokoję: czym też ja będę?... czy dojdę do czego?...

A dziś — jakże prędko czas przeleciał i jakie przyniósł mi niespodzianki!... Władza, niemarzone dochody, podźwignięcie rodziny, możliwość zajmowania się nauką, stosunki

z najświetlejszymi ludźmi. Poza tym wszystkim gdzieś w dali — piękna kobieta w bogatych salonach i — miłość!... O życie!... życie ludzkie —

jakim ty jesteś skarbem... I co mi po nieśmiertelności duszy, jeżeli istnienie doczesne . zejdzie mi w podobnym szczęściu?...

Kiedym się znużył i zdrzemnął wśród nocy, na dygoczącym w biegu tarantasie zdawało mi się, że terażniejszość moja to sen.

— "Jak to — mówiłem — więc ja, syn zagrodowego szlachcica, ja, który spędziłem młodość w zgrzebnej koszuli, mam być wielkim panem, uczone, rozkazodawcą?... To chyba przywidzenie!..."

Tarantas podskoczył, ja zbudziłem się i dotknąłem ręką piersi. Nie — to rzeczywistość! Tu leżą banknoty, a tu — półimperiały w trzosie... Ja istotnie skończyłem uniwersytet z odznaczeniem. Ja naprawdę mam pieniądze, jadę po to, aby nasycić się zdobyczami cywilizacji zachodniej i wrócić na wysokie stanowisko.

Pomyślałem, że mi skrzydła wyrosły i że się wzbił nad innych ludzi. Iluż to świat liczy — podobnych, mi? Ilu jest takich, którzy z nicości doszli tam, gdzie ja będę?...

Poznałem słodcze zwycięstwa i rozkosz pychy. Możnaść przyznania sobie wartości i zasług jest największym szczęściem na ziemi. W upojeniu myślałem, że na gniazdo drobnych przepiórek upadł z nieba promień geniuszu i stworzył — sokoła. Tym sokołem ja jestem!...

Jeszcze w Kijowie będąc umyśliłem wstąpić na pożegnanie do domu. Odgadywałem, że zastanę biedę. Miałem jednak zamiar powiedzieć rodzicom:

— Ufajcie w moją gwiazdę!... Za parę lat doczekacie

wielkich zmian. Będziecie opływać w dostatku, o jakim nie słyszano w tej okolicy. Tymczasem zaciągajcie długi, sprzedajcie grunt, byle ten krótki czas przetrwać. Przyszłość wynagrodzi wszystko!

Na granicy Królestwa zatrzymałem się w jakiejś karczmie. Byłem głodny, więc wszedłszy do pierwszej izby, zapytałem, co mogę dostać do jedzenia.

— Nic! — odparła służąca.

— Jak to nic? — spytałem, oburzony. — A gdzie gospodarz?

— Nie ma. Wczoraj oboje zmarli. Chociaż obcy tym ludziom — struchlałem.

— Na co umarli?...

— Na cholereę...

— U was jest cholera?... Od kiedy?...

— Już będzie ze dwa tygodnie.... Wsiadłem na bryczkę, czując, że nogi moje są zimne i ciężkie jak kamień. W owej epoce straszny to był wyraz: cholera!...

Do domu miałem jeszcze kilkanaście mil. Podwoiłem pocztylionowi napiwne i kazałem fechać co koń wyskoczy. Na każdej stacji szeptano o cholery. Niektórzy pocztmajstrowie nie chcieli ze mną rozmawiać, inni prosili, abym pieniądze, należne za ekstrapocztę, kładł na stole.

Bano się mnie, a ja bałem się nieszczęśliwego kraju. Zdawało mi się, że ze słonecznych okolic wpadł do trupiarni. Kiedym patrzył na ludzi, widziałem trwozę, a gdym wszedł w samego siebie, czułem ukąszenia smutku.

Z rana dojeżdżałem do domu. W drugiej wsi od nas zobaczyłem chatę zabita deskami; we wsi sąsiedniej spotkałem pogrzeb. Strach padł mi na nerwy.

Dla oprzytomnienia się zapytałem o coś pocztyliona. Gdy odwrócił głowę, zobaczyłem, że ma usta sine — także z bojaźni.

Do domu mieliśmy pół mili. Bryczka wjechała w las znany mi od dawna.

(Poszukawszy, może bym znalazł ślady wydeptane w dzieciństwie.)

Słońce stało niewysoko, rzucając na gościniec długie cienie drzew. Na trawie, na paproci, na listkach krzaków, zielonych igłach sosen błyszcząły krople rosy. Czerwone wiewiórki ciekawie przypatrywały się nam z gałęzi. Turkot bryczki, śpiew szczygłów, makolągów i kucie dzięciołów napęniało las radosnym hałasem. Aż pocztylion weselej huknął na konie, a i w moim duchu błysnęła nadzieja.

Wyjechaliśmy znowu w pole. Już widać naszą wieś. Na ugorze pasą się, krowy, a dwaj pastusi, odziani w worki, wyprawiają gonitwy.

Odzyskałem dobrą myśl. Widać, że tego kąta za lasem I nie dosięgnęła kłeska. Wszystko jest, jak było. Na łące kosiarze koszą trawę. Nad chatami i dworkami niebieski, dym bije w górę jak strzała. Zamiast trumny; spotykam wóz znajomego chłopa, który, zdjawszy czapkę, wita mnie słowami: "Niech będzie pochwalony!"

Parę bezsennych nocy, trwoga powszechna rozstroiły mnie. Szczęściem widok spokoju rodzinnej wsi przywrócił mi panowanie nad sobą.

Widziadła pierzchły, a ja znowu odzyskałem wiarę w moją gwiazdę.

"O, gdybym już wracał z zagranicy! — pomyślałem. — Ale i to przyjdzie.

Przed pięcioma laty jechałem dopiero do , uniwersytetu. Zdawało mi się, że go nigdy nie skończę, jednak czas przeleciał jak błyskawica..."

Do domu było ledwie paręset kroków. Nigdy nie wydawał mi się piękniejszy. Strzechę porastał aksamitny mech, ściany były świeżo pobielone, okna pootwierane, w kuchni na kominie palił się ogień. Obok stodółki parobek, siedząc

okrakiem na belu, obciosywał tyczki. Około studni kręciły się niespokojnie wieprzki. Na śmietniku za lodownią grzebało parę kur, na płocie kogut zatrzepotał skrzydłami i zapiał, jakby na powitanie.

Odpowiedziała mu trąbka poczytliona fałszywie, ale wesoło.

W oknach pokazało się parę głów...

Zatrzymaliśmy się przed wrotami, po których już tylko dwa słupy zostały. Zeskoczyłem z bryczki. W tej chwili z domu wybiegł na przeciw mnie Jaś, a za nim Ludka — nieuczesa.

Chłopiec rzucił mi się na szyję. Chciał coś przemówić, ale zatchnął się i patrzył na mnie z otwartymi ustami. Ludka całowała mnie po rękach, płacząc.

Chciałem odsunąć brata i wejść do domu. Ale Jaś oplątał się koło mnie tak, że kroku ruszyć nie mogłem.

— Jak się macie! — rzekłem wesoło. Nie odpowiedzieli nic.

— Cóż tu słyszeć?...

— Tatko chory... — wyjąkał, Jaś.

— Chory?... Co mu jest?... — pytałem starając się uwolnić z uścisków chłopca, które wydały mi się jakieś nienaturalne.

— Co jest ojcu?... gdzie matka?...

— Mama... umarła!... .

Odepchnąłem dzieci i przewróciłem Kazia, który wyszedł naprzeciw mnie z kuchni.

Wbiegłem do pokoju ojca.

Ojciec leżał na łóżku nieprzytomny. Mruczał coś i miał kołdrę wychudłymi palcami.

Przy łóżku siedział Żyd felczer.

Od progu nie mogłem kroku ruszyć. Oparłem się o futrynę i patrzyłem, słuchałem — nie myśląc. Gdy dziś przypominam sobie te rzeczy, dziwię się, że nie oszalał.

Zapadłą twarz ojca porosła broda biała jak mleko. Pod rozdartą koszulą widać było skórę szarą, upstrzoną sinymi plamkami. Pierś wznosiła mu się i opadała prędko. Oczy miał szklane, zwrócone do sufitu. Charczał i ściągał kołdrę, odsłaniając nogi wychudłe jak u trupa.

Gdy felczer poprawiał kołdrę, ojciec schwycił go za rękę i mówił głucho, z naciskiem:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj... Do łóżka zbliżył się Jaś i rzekł:

— Tatku!... Wicusz przyjechał... Ojciec i jego ujął za rękę, mruczając:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj...

Potem zaczął ruszać ustami jak człowiek, którego dręczy pragnienie.

Felczer podał szklanekę z jakimś wywarem. Ojciec pochwycił szklanekę, lecz zamiast pić ścisnął ją obu rękoma i mówił:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj...

Zrozumiałem, do kogo on mówił i kogo nie kazał opuszczać. Odwróciłem się i wybiegłem do kuchni. Żal szarpał mi serce, w gardle czułem takie dławienie, że myślałem, że umieram. Upadłem na ławkę i zacząłem płakać w głoś. Otoczyły mnie dzieci i służące i wszyscy szlochali ze mną. Wtedy przyszedł felczer, wziął mnie pod ramię, zaprowadził do pokoiku Jasia i ułożył na jego pościeli. Płakałem wciąż i we łzach usnąłem jak dziecko.

Zmęczenie w podróży uratowało mnie. Spałem z godzinę. Tymczasem pocztylion popasł konie i z odkrytą głową czekał pod oknem na obiecany tryngield. Wyrzuciłem mu parę złotych. Felczer usłyszał ruch w moim pokoju, zostawił

ojca pod opieką Jasia, a sam przyszedł do mnie z opowieścią o naszych nieszczęściach.

Mimo pozornego spokoju, jaki zauważyłem wjeżdżając do wsi, cholera była tu. Przed dziesięcioma dniami zapadli na nią oboje rodzice. Matka zmarła tydzień temu, ojciec wyszedł z cholery, ale dostał zwykle następującego po niej tyfusu. O wypadkach tych jeden z sąsiadów napisał do mnie list do Kijowa, ale się z nim w drodze minął. Kiedy zapytałem felczera, jaki jest stan, pokręcił głową, mówiąc — że nic nie wie. Nająłem konie i wysłałem je do miasta po doktora. Jakoż doktor przyjechał na drugi dzień rano, a mój ojciec tej samej nocy umarł nie odzyskawszy ani na chwilę przytomności.

Pamiętam, że włożyli go natychmiast w trumnę i przed południem wywieźli na cmentarz. W tej chwili jeszcze widzę w kącie pod parkanem dół, do którego Ludka chciała się rzucić. Jaś odciągnął siostrę, a dół zasypano wapnem i ziemią. Chowano tu zmarłych na cholere.

Przed ośmioma laty byłem w tamtych stronach. Z naszego domu i budynków nie zostało nawet drzazgi. Studnia zasypana, ogródek wycięty, dziedziniec, po którym niegdyś biegałem boso, zasiano burakami.

Na wzgórzu, gdzie stała sosna, gdzie widziałem ojca z pługiem, dziś —
wznosi się fabryka.

Za to pod parkanem, w kącie naszego cmentarza, urósł
pagórek. Stoi tam krzyż spróchniały i pochylony, z napisem:

Wieczny odpoczynek

Zmarłym na cholere w r. ...

Drzewo na niego wzięto z lasu, w którym dzieckiem będąc zbierałem
jagody.

Na klęczkach dowlokłem się do świętego wzgórza i stary, objąłem rękami
starsze ode mnie drzewo — przyjaciela. Do szorstkiego mchu
przycisnąłem czoło i modliłem się — o trochę łez...

Po pogrzebie ojca zachorowałem.

Kiedy pociąg drogi żelaznej wyjdzie z szyn, jego olbrzymia siła biegu
cofa się do wewnątrz. Pękają osie, gną sztaby, łamią ściany, ludzie są
miażdżeni, tu i ówdzie zapala się płomień. Machiny, które chwilę temu
były przedmiotem podziwu, stają się ruiną.

Lata całe zeszyły mi na wznoszeniu się i prześciganiu innych. I w chwili
kiedy miałem przebyć najpiękniejszą część toru, kiedym wyteńczył siły, a
los przypiął mi jakby skrzydła, wówczas — na mojej drodze stanęły dwa
groby i trzy sieroty.

Miałem do wyboru albo — rozbić się, albo — stratować zaklęcia ojca,
pamięć matki, przyszłość rodzeństwa i własne serce.

Rozbiłem się.

Wpadłem w gorączkę. Przez kilka dni nie jadłem, nie spałem, nawet nie
rozbierałem się i nie wychodziłem z pokoju. Rozsądek opuścił mnie,
ustępując miejsca — ekstazie w jakiej Dante zwiedzał trzy zaświatowe
królestwa. Zdawało się, że duch mój rozszerzył się jak widnokrąg i że

w tej niezmierności toczyły walkę wszystkie instynkta ludzkie. Miłość, pycha, egoizm, obowiązek, nałogi, wspomnienia, żal, wiadomości naukowe, wszystko to mieszało się, popychało, żarło, przybierając symboliczne kształty i sprawiając mi niewymowną boleść.

Marzyło mi się, że ze świata drobnej szlachty, chłopów, wyrobników, kobiet z grubymi rękoma i obdartych dzieci wyrosła góra, której szczyt ginął w obłokach.

Biedacy drżeli z zimna, wydrapywali rękoma chleb z ziemi, zabijali się o każdy kęsek. Sen ich był krótki i twardy, czuwanie wypełnione pracą. Modlili się do słońca i padali na twarz przed piorunem: Wielogłowa natura patrzyła na nich jednym tylko obliczem, które było groźne i martwe.

W tej ciżbie siedziałem ja i cała moja rodzina. Zatopieni w ubóstwie, kiedy niekiedy słyszeliśmy odgłosy radości płynące ze szczytu góry. Ktoś mi powiedział, że tam jest Olimp i mieszkają bogowie.

Nagle siła jakaś porwała nas i rzuciła do stóp góry, wypychając mnie naprzód. A kiedy zrobił pierwszy krok, ojciec kazał mi zrobić drugi, ja zaś zrobiłem jeszcze dwa kroki i — już chciałem iść coraz wyżej. Więc gdy mi mocy zabrakło, rodzice poczęli sprzedawać odzienie swoje i dzieci, swoją pracę, przyszłość młodszego rodzeństwa i własny spokój na starość.

Dzięki ofiarom dostałem się między obłoki, na szczyt, obiecując tym, co na dole zostali, że im podam rękę i wciągnę za sobą. W zamian za słowa obietnicy oni dawali mi krew i pot, które tam, wysoko, ceniły się jak purpura i klejnoty.

Wszedłem do bogów ziemskich. Mieszkałem w ich pokojach, z których każdy był większy od naszej chaty. Piłem

nektar i jadem ambrozją, której kęs nabywał się za cenę stu bułek chleba. Kwiaty, które na dole miały tylko łodygi i ciernie, tu — na górze, składały w dani swoje, barwy i zapachy.

Stąd widzieliśmy cały świat. Stąd słońce wyglądało jak płomień życiodawczy, gwiazdy jak słońca, a planety — jak mieszkania istot posiadających potrzeby, ruch i czucie. Tu zdejmowaliśmy pioruny z nieba i za ich pomocą nad głowami szarego tłumu przesyłaliśmy wiadomości. Siła ognia zastępowała nam miliony rąk, a kombinacja kół i sprężyn — zręczność i czujność ludzką.

Z naszego szczytu widzieliśmy świtanie cywilizacji i zgadywaliśmy, o czym myślały ludy dawno zmarłe.

Gdy zmęczyła nas mądrość, zwracaliśmy się do rozkoszy. Piliśmy natchnienie z oczu najpiękniejszych kobiet, całowaliśmy ich usta. A jeżeli nam sił zabrakło, odwróciwszy się od natury, przypatrywaliśmy się utworom cudownej fantazji geniuszów.

Było mi dobrze z bogami, a im ze mną. Niektórzy chcieli mnie obdarować swoją władzą i szczęśliwym dziedzictwem. Lecz w chwili, kiedy miały pęknąć więzy łączące mnie ze światem wyrobników, usłyszałem głos z dołu:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj...

To mówił ojciec zapadający się w grób. Ci, o których miałem pamiętać, patrzyli na mnie smutnymi oczyma, obdarci, zgłodniali, rzućeni na pastwę sieroctwa.

Wybiła ciężka godzina. Zobowiązano mnie, abym rzucił kraj nadziemski i zszedł na padół nędzy. Kazano wyrzec się szczęścia, wiedzy, stanowiska, oblec siermięgę robotnika, zmieszać się z półdzikim tłumem i — wydrapywać chleb z ziemi, nie tylko dla siebie, ale dla trojga innych.

Zeszedłem, bo głos ojca rozlegał się tak mocno, że stłumił wszystkie inne dźwięki. Ta sama zresztą siła wewnętrzna, która parlał mnie coraz wyżej, nie pozwalała wyzyskiwać ani krzywdy rodzeństwa, ani łaski dobroczyńców.

Kiedym po kilku dniach wyszedł do dzieci, przekonałem się, że Jaś w gospodarstwie zastępował ojca, a Ludka — matkę. Oni doglądali robót, dysponowali obiady i czuwali nade mną.

Drobny ten fakt orzeźwił mnie. Wstyd mi było nurzać się w bezsilnej rozpacz wóczas, gdy dzieci — pracowały!...

Przy pomocy sąsiadów rozejrzałem się w interesach. W ciągu pięciu lat ojciec zaciągnął tyle długów, że zagroda z tytułu ledwie była naszą własnością. Po sprzedaniu jej mogliśmy ocalić co najwyżej kilkadziesiąt rubli.

W czasie tych zatrudnień przyjechał do mnie pewien kolega uniwersytecki, skończony lekarz. Opuścił on Kijów w parę dni po mnie i odebrał list pisany z domu, a korzystając z mojego upoważnienia odpieczętował. Z niego dowiedział się o chorobie ojca i śmierci matki. Domyślił się, że może to oddziaływać na mój los, i nie mówiąc nikomu, wpadł do mnie.

W uniwersytecie zwali go „narwanym”. Był to najszlachetniejszy człowiek, jakiego znałem. Opowiedziałem mu nasze nieszczęścia, kończąc tym, że już nie pojedę za granicę, ale zostanę z dziećmi.

"Narwany" skoczył z krzesła.

— Tyś wariat! — krzyknął biegnąc po izdebce. — Tego się właśnie obawiałem!...

I począł targać włosy.

— Cóż więc mam robić? — zapytałem go.

— Jechać natychmiast za granicę! — odparł. — Wiedz, że ledwie siadłeś w Kijowie na kibitkę, już te łajdaki, twoi przyjaciele, zaczęli ci szyc buty, a co gorsze, stręczyć kandydata na twoje miejsce! Mówili szlachcicowi,

żeś wielki pan, że zanadto przywykłeś do towarzystw, żeś genialny teoretyk, ale nie masz za grosz praktycznego zmysłu... Jeżeli zawahasz się teraz — dokończył kolega — to lepiej powieś się! Ja sam kupię ci powróż. Wiadomość o intrygach umocniła mnie tylko w powziętym zamiarze. Ale "narwany" pienił się z gniewu.

— Nie wariuj! — krzyczał. — Zaraz jutro siadaj ze mną i jedź do Warszawy...

— A z dziećmi co zrobię?...

— Zostawisz im trochę pieniędzy i oddasz pod opiekę. Trzy lata niewielki czas.

— Niezawodnie! — odparłem. — Wystarczy do ogłupienia ich.

Nagle kolega uderzył się w czoło.

— Wiesz co? — rzekł — mam myśl!... Oddaj mi twoje dzieci.

Ucałowałem go serdecznie. Szlachetność tego człowieka goiła rany mojej duszy.

— Posłuchaj mnie — odparłem. — Twoje słowa są potwierdzeniem mego planu. Jeżeli ty, człowiek obcy, chcesz przygarnąć moją rodzinę, to jakież ja byłbym podły, gdybym ich porzucił?... Zresztą pomyśl, czy wydołałbyś obowiązkom? Czy ty, ubogi, świeżo upieczony doktor, miałbyś czas pilnować ich, karmić, uczyć? A gdybyś nawet wypełnił wszystko, to czy zastąpisz im brata, którego kochają?

Nie odpowiedział mi wprost, ale zawołał:

— Człowieku, zastanów się... Tam jest kariera!... — Albo hańba! — odrzekłem.

Kolega posiedział u mnie jeszcze jeden dzień, zasypując prośbami i namowami. Wreszcie, na ostatni argument, kazał zajechać bryczce i zawołał:

— Daję ci kwadrans czasu do namysłu. Zostaw mi dzieci i trochę pieniędzy, a sam siadaj i jedź...

— Nie.

— A więc zmarnujesz się, ośle! — wrzasnął i plunął mi pod nogi. W tej samej chwili rzucił mi się na szyję, oparł głowę na ramieniu jak niegdyś matka i — zapłakał. Odtąd nie spotkaliśmy się. Tylko w siedem lat później widziałem jego zwłoki poszarpane kulami. Po odjeździe zaciego przyjaciela przystąpiłem do regulacji interesów. Zagroda nasza została sprzedana. Jeden z sąsiadów udzielił mi na parę lat bezprocentową pożyczkę, przy pomocy której przenieśliśmy się z dziećmi do Warszawy. Do mego dobroczyńcy, do Kijowa, napisałem list opowiadając mu o wszystkim, co zaszło. Dziękowałem za wyświadczone łaski i zwróciłem tysiąc rubli, dane mi na wyjazd za granicę.

Szlachcic uznał powody mego wycofania się i robił mi wymówki za zwrot pieniędzy, które, wedle jego słów, powinienem był zatrzymać. Swoją drogą wysłał za granicę innego. Był to także mój kolega uniwersytecki, odznaczający się wielkim sprytem. Zająwszy opuszczone stanowisko wnet doszedł do majątku i sławy. Gdy zaś przejeżdżał teraz przez miasteczko, w którym dogorywam, zamiast wstąpić do mojej klasztornej celi, opowiadał ludziom, że miałem kiedyś wielkie zdolności i — żem się zmarnował!

Jednocześnie podałem prośbę o ofiarowanie mi posady nauczyciela w Warszawie. Napisałem także do rektora uniwersytetu, prosząc go o poparcie. Dzięki tym zabiegom i pomocom uzyskałem od wakacji miejsce przy szkołach publicznych i jak na owe czasy, wcale dobrą pensją. A ponieważ zajmowałem się i lekcjami prywatnymi, więc nowe położenie moje było znośne. Miałem fundusze na wychowanie dzieci i na spłacenie zaciągniętego długu. Robiłem nawet oszczędności.

W rok później jedenastoletnia Ludka wstąpiła na pensję, siedmioletni Kazio uczył się w domu, a siedemnastoletni Jaś ukończył gimnazjum. Ponieważ okazywał ochotę i zdolności do mechaniki, wysłałem go do

szkoły technicznej, za granicę. Bawił tam cztery lata. Wykształcił się i rozwinął. Jeżeli nie zaślepią mnie przywiązanie, to Janek mógł zostać najzdolniejszym mechanikiem u nas. Jego rozprawy, umie szczane w fachowych pismach francuskich i niemieckich, zdradzały naukę i praktyczność w pomysłach. Ofiarowywano mu posady w fabrykach zagranicznych; on jednak wolał wrócić do ubogiego kraju, dla niego pracować i za swoich głowę położyć.

VI

Od chwili objęcia posady przez pięć albo sześć lat byłem o tyle szczęśliwy, o ile może nim być nauczyciel. Był miałem zapewniony. Przystawałem z ludźmi niebogatymi wprawdzie, ale — światłymi. Rodzeństwo moje chowało się zdrowo i między innymi dziećmi (o ile mogłem zauważyć) odznaczało się przymiotami umysłu i serca. Kiedym patrzył na ich ubiór przyzwoity, rodzaj zabaw, towarzystwo, na miłość i szacunek, jakimi ich otaczano, i — kiedym przypomniał sobie własne dzieciństwo, czułem zadowolenie. Im było pewniej i — weselej na świecie aniżeli mnie przed laty. Pieniądze, dane mi przez ojca, przyniosły procent.

Ale i ta epoka mego życia nie była wolna od goryczy. Nie miałem pola do zużytkowania większej części zdobytej wiedzy naukowej. Nie miałem czasu na dalsze kształcenie samego siebie, i przeglądając specjalne czasopisma, widziałem, że z każdym miesiącem nauki przyrodnicze, osobliwie chemia, idą naprzód, a ja zostaję w tyle. Było to nad wszelki wyraz smutne. Straciwszy możliwość zdobycia sławy i majątku, czułem, że dziś — nawet sława ucieka mi z rąk!

Pocieszałem się jednak myślą, że za jakie dziesięć lat Ludka wyjdzie za mąż, Jaś stanie na mocnych nogach i rozciągnie opiekę nad Kaziem, a ja — człowiek trzydziestosześcioletni — wrócę do przerwanych studiów i...

może zrobię jakie odkrycie, a przynajmniej literaturę ojczystą wzbogacę użyteczną książką.

Nadzieja ta dodawała mi sił i humoru. Więc choć w owej epoce obijało mi się niekiedy o uszy słówko: zmarnował się! — drwiłem z tego. Dziesięć lat to przecie nie wiek, a bądź co bądź nawet nieprzyjaciele oddawali mi sprawiedliwość, że posiadam duży zapas wiedzy i niezwykle zdolności. — Coś jeszcze zrobię! — mówiłem w duchu.

Najwięcej, zmartwień sprawiał mi mój zawód i ogólny stan kraju. Uczniów miałem zdolnych, ciekawych i pełnych życia. Nie posiadali oni jednak najmniejszej rutyny naukowej, nie

byli wciągnięci do pracy, nie mieli uczyć się z czego, bo ówczesne dziełka naukowe stały niżej krytyki.

Z tych powodów młodzież odnosiła mało korzyści z nauk. A że duch w niej grał, więc robiła awantury i wyrządzała nauczycielom dużo zgrzyot. Nieraz zapytywałem z obawą, co będzie, gdy wyrosnie to bujne a płóche pokolenie. Bo siły miało potężne, tylko wiedzy i rozwagi było brak. Przyszłość zapowiadała się ponuro. Duch społeczeństwa był jak sprężyna, którą od wielu lat zwijano. Nadeszła chwila, że dalsze zwijanie stało się niemożliwe; należało więc albo sprężynę powoli odkręcić, albo dać jej do wykonania jakąś pracę. Tymczasem do pracy nie było ani instytucji, ani głów przygotowanych, ani wyrobionych obyczajów. Nauka nie posiadała zakładów wyższych i fachowych, przemysł i rzemiosła były w pogardzie, urządzeń społecznych brakło. We wszystkich warstwach nagromadzały się siły niezajęte, uczucia niezaspokojone, umysły niedojrzałe.

Jako fizyk rozumiałem, że siły te zużyć się muszą. Ale ponieważ nie znałem sposobu owego zużycia, więc — strach mnie przejmował. W chwilach rozstroju: ogarniały mnie przeczucia jakiejś katastrofy, która pochłonąć mogła szczęście moje i rodziny.

W pięć lat po objęciu przeze mnie posady nauczycielskiej Janek wrócił z zagranicy i otrzymał miejsce naczelnego inżyniera w fabryce machin i

narzędzi rolniczych. Dotychczas mieszkaliśmy w środku miasta; dla Janka przenieśliśmy się w okolicę dalszą, do domu leżącego o kilkadziesiąt kroków od zakładu. Z naszych okien widać było dziedziniec fabryki. Głos dzwonka budził nas, a szmery, łoskoty i gwizdania machin niepokoiły przez cały dzień. Później przywykliśmy do hałasu, a gdy w niedzielę wszystko ucichło, czuliśmy jakiś brak.

Na działalność brata patrzyłem z bliska; mogłem więc ocenić jego pracę i moralną wartość.

Janek służył w fabryce niecałe dwa lata. Kiedy tam wszedł, dziedziniec zawałały stare kotły, zardzewiałe żelastwa, połamane obręcze, gnijące rusztowania. Istny Pocijów. Mechanizmy wykonawcze były zużyte i niedokładne. Robotnicy źle płatni, wyglądali nędznie, obdarto i wolny czas przepędzali w szynkowniach.

Smutno było patrzeć, jak w dzień dwutygodniowych wypłat cisnął się do bram fabryki tłum szynkarzy i sklepikarzy. Na wychodzącego z kasy robotnika rzucało się kilku wierzycieli. Każdy wołał o pieniądze i nieledwie sięgał do kieszeni. Nim rzemieślnik przestąpił próg fabryki, już z dwutygodniowego zarobku nie zostało mu nic albo niewiele.

Wyroby fabryki były drogie, nietrwałe i wykonywane według przedpotopowych modeli.

Kilkanaście miesięcy pobytu Janka wystarczyło do wytworzenia gruntownych zmian w zakładzie. Oczyszczono podwórze, sprzedano maszyny stare, a na ich miejsce ustawiono nowe, nierównie silniejsze.

Najgorszych robotników wydalono; innym zaczęto płacić od sztuki, co korzystnie wpłynęło na zarobki, a także na jakość produkcji.

Wprowadzając ulepszenia do przedmiotów wyrabianych w fabryce, brat zajął się jednocześnie losem robotników. Urządził im gospodę i czytelnia, zaprowadził kasę wsparć dla chorych, zachęcił kilku inteligentniejszych praktykantów, ażeby uczyli robotników czytania, pisania i rysunków.

Niewielu korzystało z tych urządzeń, lecz kilkudziesięciu

pilniejszych garnęli się do Janka i słuchali jego wskazówek. Z czasem wyszło im to na dobre.

Janek cały zatopił się w fabryce. Dnie przepędzał w biurze technicznym lub w warsztatach, wieczory — nad książką, święta — między robotnikami. Zdaje mi się, że w tej chwili widzę go przed sobą, tęgiego, w grubych butach i szaraczkowej kurtce. Obliczem i usposobieniem przypominał ojca. Miał twarz śniadą, białe czoło, oczy duże, śmiał się rzadko i mówił niewiele. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie człowieka ogromnej siły i anielskiej łagodności.

W rok po przybyciu Janka w licznym towarzystwie oglądaliśmy fabrykę. Byli między nimi ludzie fachowi, którzy wielkie oddawali pochwały nowoustawionym mechanizmom wykonawczym i wyrobom fabryki. Istotnie każdy pług, brona, młynek, sieczkarnia, kocioł — nosiły piętno ulepszeń. W warsztatach panował wzorowy porządek, na twarzach robotników malował się dobrobyt, wesołość i poczucie godności.

— Tu z każdej śruby wygląda rozum i ład — odezwał się pewien stary inżynier.

— Twój duch wygląda! — szepnąłem do Janka.

— Nie, to, twoje poświęcenie dla nas! — odparł ściskając mnie za rękę. Ta chwila była najszcześniejszą w moim życiu.

Pierwszy raz (ze wstydem to wyznaję!) zrozumiałem nieśmiertelność dobrych czynów ludzkich.

Od tej chwili polubiłem fabrykę jak członka własnej rodziny. Nieraz zmęczony pracą siadałem wieczorami w oknie, patrzyłem i słuchałem. Z kominów buchały iskry, nad gisernią drgała różowa zorza, z machin wylatywały kłęby pary. A gdy wśród huku młotów, dudnienia kół i zgrzytu pilników rozległ się wesoły śpiew ludzki, myślałem:

— To echo mojej ofiary...

Może to samochwalstwo. Ja wiem przecie, że nie zrobiłem nic wielkiego. Lecz wiem i to, że w naturze nic nie przepada i że w ogromie dzieł stworzonych przez geniusz i pracę mas tlą się jak iskry — małe cnoty jednostek

W początkach naszego wspólnego gospodarstwa mieszałem z Jankiem sprzeczki. Ja wciąż uważałem się za głowę rodziny i z tego tytułu chciałem łożyć na utrzymanie całego domu. Ale brat nie pozwalał. Przedstawił mi, że jego praca jest łatwiejsza, dochody znacznie większe od mojej pensji i że — byłoby niesprawiedliwością, gdyby on teraz nie przyjął na siebie ciężarów rodzinnych.

— Tyś zrobił swoje — mówił mi — dając nam byt i naukę przez lat pięć. Obecnie wypada mój dyżur, a ty jesteś gościem w moim domu!...

Ten pogląd Janka robił mi przykrość. Zdawało mi się, że ja tylko mam prawo być opiekunem rodziny, że do brata należy przyszłość, a do mnie dzieci. Ale poczciwy chłopiec tak męczył mnie prośbami, że w końcu uległem. Stała się ugoda, mocą której koszta utrzymania domu mieliśmy ponosić na wspólnie.

Raz Janek podsunął mi taki projekt.

— Wiesz co, Wicusiu! Ja za rok albo dwa będę miał pięć do sześciu tysięcy rubli rocznie, Kazio przejdzie do czwartej klasy, a Ludka, która kończy pensję, zostanie już panną dorosłą. O dzieci więc możesz być zupełnie spokojny... Czy tak?..

Kiwnąłem głową, nie wiedząc, o co chodzi, a on mówił dalej:

— Otóż mam taki plan: ażebyś ty zbierał sobie pieniądze, a potem... wyjechał na kilka lat za granicę.

Nie mogłem powstrzymać wybuchu radości i rzuciłem się bratu na szyję. Zgadł on najgorętsze moje życzenia! Od tej pory znowu marzyłem o wyjeździe za granicę, o pracach naukowych i sławie. Straconego liiegdyś stanowiska nie było mi żal, bom widział, że podobne, jeżeli nie świetniejsze, zdobywa Janek. Dziwiłem się tylko niezbadanemu porządkowi, który nie zabija żadnej idei dobrej, ale w innej formie i w innym miejscu wskrzesza to, co upadło w walce z losem.

Ja chciałem być naczelnikiem zakładów fabrycznych.

I otóż te same wypadki, które mnie zepchnęły z drogi, postawiły na niej Janka!... Idea nie zginęła.

Takie było nasze szczęście, oparte na pracy, zgodzie rodzinnej i nadziejach. Nasz byt nie pozostawiał nic do życzenia. Zajmowaliśmy wygodne mieszkanie, które Jaś przyozdabiał pięknymi meblami, ja — obrazami i posążkami, a Ludka — firankami, serwetkami i kwiatami. Mieliśmy kucharkę; młodszą i służącego. Każdej niedzieli bywali u nas goście: technicy i nauczyciele z rodzinami, a co dzień ktoś łaskawy zasiadał z nami do stołu.

W ciągu dnia mieszkanie stało pustką. Ja i Kazio byliśmy w szkole, Ludka na pensji, Jaś w fabryce. Nad wieczorem ściągaliśmy wprawdzie do domu, ale że my, starsi, byliśmy znużeni lub zajęci, więc zwykle Janek krył się do swej kancelarii, a ja w biblioteczkę.

W taki sposób przepędzaliśmy wieczory, rozdzieleni pod jednym dachem, kochający się, lecz małomówni i nieskłonni do wylewu uczuć. Ale łączyła nas Ludka. Ona — odrobiwszy lekcje — obiegała całe mieszkanie: Jankowi rozrzucała cyrkle i rysunki, mnie mówiła, że ją nudy trapią, i uciekała do salonu, a my za nią. Nad uczone książki i formuły matematyczne milszą nam była wesołość i pusta rozmowa tej dziewczyny.

Zabawne dziecko! Miała szesnaście lat, a trzęsła domem. Ona wydawała rozkazy służbie, mnie wyciągała na zamiejskie wycieczki, a Janka

namówiła, ażeby się uczył tańcować! Prawda, że owe lekcje tańca trwały bardzo krótko.

VII

Tymczasem w społeczeństwie zaszły gwałtowne zmiany. W domach, sklepach, szkołach, warsztatach zapomniano o chlebie, obowiązkach codziennych, nawet rozrywkach — dla idei. Zdawało się, że zginął rachunek i rozsądny egoizm i że wszystkie zdolności ludzkie utonęły w uczuciu. Nad krajem unosiło się już widmo z mgły i żelaza, które przeczuwał każdy...

NOWY ROK

Onegdaj był wielki ruch w Warszawie, że nie powiem w całej Europie. Gdyby wizyty, listy i bilety wizytowe notowano na giełdzie, mielibyśmy przykład wartości, która w dniu go stycznia każdego roku podskakuje przynajmniej o tysiąc procent. Później spada do zera.

W dniu tym stosunkowo najwięcej niszczy się kaloszy, zawiasów u drzwi, farby na podłogach, rączek od dzwonek i śliny. Każdy ma kogoś do odwiedzenia. Przytem nikt na cudze słowa nie zwraca uwagi i ani innym, ani sobie nic wierzy.

Krótko mówiąc, tworzy się zamęt, podczas którego rej wodzą nogi, języki, puste karety, litografowane kartki i posłańcy. Zato w sercach jest zupełnie cicho, a w głowach ciemno.

Chaos ten nazywa się składaniem życzeń noworocznych. Tylko dzieci, którym ofiarowano nieoczekiwane podarunki, patrzą na podobne widowisko z dobrą wiarą. Dorośli są w usposobieniu dość pesymistycznym. Przyjmujący odwiedziny tłumią ziewania, goście pracują nad tem, aby nie wzruszać ramionami, wypłacający kolędę nie mają

humoru, i ledwie obdarowani doświadczają nieco żywszych uczuć, klnąc, albo wyśmiewając ofiarodawców.

Niektórzy, aby uwolnić się od szczerych i błogosławieństwo ściągających życzeń, uciekają z domów, albo okładają się dobrowolnym podatkiem dla ubogich. Na widok rubryki „W miejsce składania powinszowań noworocznych” mimowoli chce się zapytać: czy rs. pana X., albo rs. pana Y. są dowodem jego współczucia dla biednych, czy też nienawiści dla przyjaciół i znajomych?

Cóżto za siła przemienia w owym dniu ludzi na wędrowną szarańczę? Stary obyczaj — mówiono, i przez jakiś czas zadawalniano się tem objaśnieniem.

Dziś wyraz „obyczaj” stał się tak bezbarwny i pozbawiony treści, jak sama rzecz, którą ma pretensją objaśnić. Z tego powodu uczony mój przyjaciel, dr. Ochorowicz, wynalazł inny termin, a mianowicie: „szczątkowe zjawisko w rozwoju życia społecznego”.

Termin ten wzięty został z dziedziny zoologii i anatomji. W naukach tych „organem szczątkowym” nazywa się taki organ, który niegdyś pewnemu gatunkowi zwierząt oddawał usługi rzeczywiste, lecz obecnie nie oddaje żadnych.

Organami szczątkowymi są naprzykład dwa tylne palce, niedostające do ziemi — pewnego gatunku zwierząt gruboskórnych, albo skrzydła u bezlotka i strusia, które to ptaki latać już nie umieją. Włosy na ciele ludzkim są organem szczątkowym z owej epoki, kiedy przodkowie nasi uważali odzież za przesadę, kontentując się własną sierścią. Włosy na głowie u człowieka dorosłego nie mają również wartości praktycznej, tylko wywołują zbyteczne koszta, podczas gdy w wieku pacholęcym były one tym organem użytecznym, za pomocą którego światli nauczyciele wlewali w serca i umysły nasze, idee — prawdy, piękna i dobra. Z tego powodu ludzie mądrzy łysieją, ponieważ im włosy już bezwzględnie na nic się nie zdały.

Wreszcie nasz uroczysty frak, bez którego niepodobna być dobrze widzianym w towarzystwie, jest organem szczątkowym z tej epoki, kiedy

ród ludzki począł wstydzic się ogonów i zasłaniał je zapomocą trzech ćwierci łokcia tkanin.

Zrozumiawszy, co jest „organ szczątkowy”, łatwo już pojmiemy, co znaczy ochorowiczowskie „szczątkowe zjawisko w rozwoju społecznym”.

I tak:

Dlaczego służący chodzi za swoim panem?

Oto dlatego, że w epoce wojen wszystkich przeciw wszystkim, rycerz zaatakowany od frontu mógł się sam bronić, ale oficyny musiał ubezpieczać zapomocą służby. Wówczas taki tryb chodzenia miał racją bytu, dziś jest — „zjawiskiem szczątkowym.”

Dlaczego mężczyzna podaje kobiecie prawą rękę?

W czasach barbarzyńskich mężowie niekiedy bijali żony. Gdy więc który z nich chciał okazać swej połowie usposobienie przychylne, wsuwał jej prawą rękę pod ramię, jakby mówiąc: „Widzisz przecież, że ci teraz nic nie zrobię.”

Dlaczego kochanek klęka przed ubóstwioną?

Dawniej penitent, skazany na ucięcie głowy, klękał, aby swemu oprawcy zrobić wygodę. W czasach liberalnych kochankowie zużytkowali to na własną korzyść, dając do zrozumienia pannom, że już dla nich całkiem stracili głowy.

A dlaczego gospodarz wychodzi za gośćmi?

Jest to znowu zjawisko szczątkowe, jasno dowodzące, że ongi gospodarze wobec przyjaciół byli mniej pewni swoich naczyń i garderoby w przedpokoju.

Widzimy więc, że były epoki, w których dzisiejsze „zjawiska szczątkowe” posiadały treść pełną życia. Zdaje się, że i wiele dzisiejszych treściwych faktów staną się kiedyś tylko szczątkowemi. Umysły wyższe przewidują tę ewentualność, i z tego powodu mamy ludzi, którzy już w naszych czasach płacenie — naprzykład weksli w terminie — uważają za zjawisko szczątkowe.

Najmniej domyślny czytelnik odgadnie teraz, że powinszowania noworoczne należą do zjawisk szczątkowych i są tylko odbłaskiem wypadków, przy których ludzie wypowiadali słowa: „Bóg ci daj szczęście!” — z pulsem przyspieszonym, temperaturą podniesioną, okiem iskrzącem się, pod wpływem wezbranego uczucia.

Ale jakie to były wypadki, jacy ludzie, jakie uczucia?... Kto dziś wie! Gdyby można zebrać ich rozsypane popioły,

ocucić zastygłe życie i zapytać... Usłyszelibyśmy może niejedną ciekawą historją, niejedną pożyteczną naukę.

Jeżeli kiedy, czytelniczko, napotkasz młodego człowieka, którego twoje oczki, twoje dołki na twarzy, twój zresztą biust — przyprawią o lekki zawrót głowy i inne chorobliwe przypadłości... Jeżeli znajdziecie się kiedy sami w altance... Jeżeli on zacznie mówić zwięźle, krótko i bez sensu...

Wówczas pozwól, aby cię wziął za rączkę, i zapytaj go, niech ci wyjaśni: w jakim to dniu wszelakie życzenia miały cechę szczerości?

Później zapisz sobie ten dzień, abyś wiedziała i w zgrzybiałej starości wnukom swoim objaśnić potrafiła: kiedy się to zaczął nowy rok dla świata? Nie ten nowy rok, który zasuszeni astronomowie oznaczają zapomocą lunet południkowych i zegarów, wybijających sekundy, ale ten, w którym można było wierzyć słówkom, choćby przesadnie życziwym.

Trwa to bardzo krótko. Optyczna oś południkowej lunety i noworoczna gwiazda ledwie przez mgnienie oka formują jedną linją prostą, ale pamięta się takie rzeczy, ach! jak długo. Dzięki właśnie temu — ludzie posiadają kalendarz.

Nim jednak dla ciebie nadejdzie nowy rok, zechciej tymczasem posłuchać niżej przytoczonego wyjaśnienia życzeń.

Twój zakochany zrobiłby to niezawodnie dokładniej, no — ale co on, to nie ja...

Najdawniejszym bogaczem świata był Ofir. Ziemię jego na tydzień drogi ciągnęły się wzdłuż Tygru. Miał dwa tysiące niewolników, nad nimi stu ekonomów i włodarzy, i wielką moc bydła.

Działo się to wkrótce po wygnaniu człowieka z raju. Słońce, które z orszakiem planet uchodzi około sześćdziesięciu milionów mil rocznie, biegnąc wciąż naprzód, nie zdążyło jeszcze wyjść za obręb przestrzeni pierwotnej. Nie widzieli już ludzie ówczesni tego miejsca, skąd przylatują i dokąd odlatują dusze, i wielu z nich przestało wierzyć w życie wiekuiste,

a także w nagrody i kary. Miejsce to skryło się już za gwiazdami. Ale przy dniu pogodnym jeszcze można było widzieć w niebie Jehowę, siedzącego na tronie złotym z jaspisowymi kolumnami. Dokoła — wyżej i niżej (tak się zdawało patrzącym z ziemi) wisiały wagi zasług ludzkich. Gdy kto umierał, wagi jego znikwały. Gdy się kto rodził, wagi jego zawieszano, a wtedy talerz, na którym leżały skarby doczesne, i ten, na którym były skarby wieczne — stał w równej mierze. Dopiero z biegiem życia jeden albo drugi talerz przeważał.

Ponieważ jednak życie wiekuiste stracono z oczu, a życie doczesne w owych czasach było piękne, więc każdy modlił się o skarby znikome i tem więcej był rad, im bardziej szala jego na stronę doczesną przeważała. Tylko ubodzy, którzy ani jednej palmy nie posiadali na własność, i niewolnicy, których bito, widzieli na niebie wielką obfitość skarbów wiecznych — i — płakali nad sobą.

Waga Ofira co rok mocniej pochylała się w stronę majątku doczesnego, i wszyscy mu zazdrościli, a Ofir sam był kontent.

Jednego dnia (miał Ofir już lat sto dwadzieścia i chodząc, opierać się musiał na prawnukach), ekonomowie i włodarze jego złożyli mu rachunki ostatnich zbiorów.

Było dwadzieścia tysięcy owiec, dziesięć tysięcy bydła, cztery tysiące wielbłądów, trzy tysiące niewolników, pięćset osłów, sto tysięcy miar ryżu, dziesięć tysięcy miar oliwy i nieprzebrane mnóstwo innych rzeczy.

Każdy sykl wypożyczony przynosił bogaczowi sto syklów, a kto procentu nie płacił, stawał się jego niewolnikiem.

Kupcy z Zachodu, którzy u Ofira kupowali ryż, deski cedrowe i szerść zwierząt, zeznali pod przysięgą, że takiego jak on bogacza nie było jeszcze na ziemi.

I Ofir cieszył się. A gdy słońce zaszło, wsparty na dwu

prawnukach, poszedł spać do izby, która zamiast dachu miała szkarłatny namiot nad sobą.

Był to dla Ofira dzień wielki, lecz dla niewolników taki jak inne.

Gdy powiał gorący wiatr od południa i rozsunał makaty, bogacz widział zdaleka ognie zapalone przy młynach, które stu mocno okutych niewolników obracało. A jeżeli który ustał albo chciał wody zaczerpnąć z kałuży dla zmoczenia warg spiekłych, włodarze siekli go tęgimi batami od stóp do głów. I całą noc słyhać było w tamtej stronie turkot młynów, szcęk łańcuchów, chlustanie batami i wycie niewolników. Czasem tylko młyn nagle stawał, co było znakiem, że jakiś niewolnik wyzionął ducha, a wtedy jego wagi zdjęto z nieba.

Gdy powiał chłodniejszy wiatr od północy i rozsunał makaty, bogacz widział w tamtej stronie długi szereg jaskiń, gdzie spali niewolnicy.

Stamtąd dolatywały go chrapania znużonych pracą, płacz matek i kwilenie niemowląt. Czasem który człowiek, przywalony innym, bo było ciasno w jaskiniach, zrywał się ze snu i wydobywał na wierzch, a wtedy klęli go i potracali inni, że im spać nie daje. Czasem spadał który w obrzydłą wilgoć i — topiąc się — ryczał. Innym złe robactwo zasnąć nie pozwalało, i ci, siedząc, rozmawiali między sobą o lepszych czasach.

Niekiedy na niebie ukazywały się nowe wagi, na których skarby wieczne i skarby doczesne stały w równej mierze. Wtedy Ofir wiedział, że mu przybywa jeden niewolnik. Rozpamiętując zaś, co widział i słyszał, rzekł do siebie, że wszystko jest dobrze.

Chciał się modlić za tyle dobrodziejstw i podniósł oczy ku niebu. Tam na złotym tronie z jaspisowemi kolumnami siedział wielki Jehowa, z obliczem spokojnem, i patrzył daleko, daleko, aż gdzie błyskawice spojrzeń jego stwarzały nowe piętra nieskończoności i światy przeogromne.

Wtedy pomyślał Ofir:

„Co będzie, jeżeli Pan na mnie spojrzy? Czy pod jego wzrokiem nie rozpadłaby się w proch ziemia cała?”

Wtedy zobaczył nad głową Wszechmocnego wagi z napisem: Wagi fira. Jeden ich talerz, ze „skarbami wiecznymi”, był tak lekki, że unosił się wgórę aż tam, gdzie już nic nie było. Drugi talerz, ze „skarbami doczesnymi”, zdawał się wciąż pochylać nad zamyślonem czołem Stwórcy. Ile razy który niewolnik jęknął, albo bat chlustał, albo kobieta zapłakała, — tyle razy talerz „skarbów doczesnych” pochylał się mocniej, aż gięła się belka wagi.

Jeszcze chwila, a wagi Ofirowe potracą Przedwiecznego...

Bogacz struchlał i uczuł straszny ból. Zdawało mu się, że najmocniej poraniony niewolnik, przysypany w swojej kałuży mrowiskiem robactwa — jest szczęśliwszy od niego.

A tymczasem młyn turkotał, dzwoniły łańcuchy, wyli ludzie, i wagi Ofirowe spadały wciąż niżej.

Na wschodzie ukazał się biały rąbek. Słońce nie mogło wejść nad ziemię, z obawy, aby nie zobaczyć, jak Pana potracą wagi bogacza. Drzewa stuliły liście, ptactwo upadło na ziemię, a dzikie zwierzęta kryły oblicza swoje w piasku pustyni.

Cały świat czekał na jakieś wielkie nieszczęście.

Wtedy Ofir szepnął zsiniałemi ustami:

— Całoroczny dochód mój oddaję niewolnikom!...

Na niebie waga drgnęła, i talerz skarbów doczesnych poszedł nieco wgórę, choć daleko mu było do skarbów wiecznych.

Świat odetchnął i pokazał się skrawek słońca.

Ofir zwołał ekonomów i kazał wszystkie roboty na dzień dzisiejszy wstrzymać, a potem sprowadzić niewolników przed siebie.

Waga podniosła się znowu w górę.

Gdy przyszli zdziwieni i zatrwożeni niewolnicy, Ofir rzekł do nich:

— Będziecie wykapani dziś w wodzie czystej, a rany wasze będą wytarte oliwą...

Wagi szły w górę.

— Zamiast świńskiej żołądki jeść będziecie mąkę. Łańcuchy zdejmą z was i bić przestaną. Dostaniecie płótna dla siebie i żon waszych i po dwa sykle pieniędzy.

Wagi szły w górę.

Niewolnicy z początku milczeli z bojaźni: czy ich pan nie zwarjował? Ale gdy poczęto rozdawać im: mąkę, oliwę, płótno i po dwa sykle pieniędzy, rozległ się okrzyk trzech tysięcy poranionych ludzi:

— Niech cię Bóg błogosławi!... Niech ci da szczęście!... Wagi wciąż szły do równej miary, i już widać było talerz

„skarbów wiecznych" — choć jeszcze bardzo wysoko.

Niewolnicy rozbiegli się do bliskiego miasteczka i poczęli kupować zabawki dla dzieci. Ten chwycił batożek, inny świstawkę glinianą, inny papierowego kozaka, albo grzechotkę.

Gdy zaś wrócili do swoich jaskiń, usłyszano rzecz niezwykłą. Oto zamiast płaczu niewiast i kwilenia niemowląt rozległy się śmiechy, krzyki, świstania, strzelania z batożków i grzechotanie.

Waga Ofira spadła nagle do równej miary, i bogacz stał się jak dziecko, które przychodząc na świat, tyle posiada skarbów doczesnych, ile wiecznych.

Aż Jehowa, którego uszu dolatywały tylko płacz i skargi, usłyszawszy w ziemi Ofira śmiechy, błogosławieństwa, świstanie i grzechotanie dzieci, — zadziwił się.

I oderwawszy wszechmocny wzrok swój od nieskończoności, w którą był zapatrzony — spojrzął na Ofira.

Starzec padł, jakby w niego sto gromów uderzyło, i już nie podniósł się. Duszę jego, niewinną jak dziecko, porwał wichur nadziemski i odniósł w odległą krainę, gdzie Adam z Ewą zażywają wiekuistej młodości, i gdzie litościwy Abel tuli na własnej piersi łzami zalanego bratobójcę Kaina.

Przygoda Ofira stała się sławną na cały świat i przez długi czas panowała po nim na ziemi bojaźń boska.

Na pamiątkę zaś synowie, wnuki i prawnuki Ofira, każdego roku po zbiorach i rachunkach, dawali niewolnikom swoim dzień wypoczynku i obsypywali ich darami, przyjmując wzamian modlitwy, błogosławieństwa i życzenia wszelkiej pomyślności.

Ale słońce z orszakiem planet biegnie wciąż naprzód z prędkością sześćdziesięciu milionów mil rocznie, skutkiem tego ludzie stracili z oczu miejsce, skąd przychodzą i dokąd wracają dusze, ale co gorzej — nie widzą już Jehowy i onych wag ze skarbami doczesnymi i wiecznymi.

Wieść o przygodzie Ofira, biegnąc przez tysiące pokoleń, ucichła. Jego zaś dary dla niewolników, z miłości ku Jehowie rozdane, stały się później „zjawiskiem szczątkowem w życiu społeczeństw”.

Bogaci gratyfikują i dziś na Nowy Rok, odtrąciwszy poprzednio właściwą sumę z zarobków. Niewolnicy i dziś błogosławiają ich, w duszy przeklinając.

A jak się tam dzieje z wagami na niebie? Który talerz mocniej przeważa? Kto to wie!...

Wszechmocny też, do którego uszu dolatuje mało okrzyków radosnych, lecz dużo klątw i płaczu, nie spogląda już na ziemię. Dał przecie światu prawa niezawodne, ludziom przebiegły rozum i współczucie, — czegoż więc chcieć od Niego?

Siejcie na ziemi, co wam lepiej do smaku przypadnie, pamiętając o przyszłych zbiorach. Miejcie jednak tyle rozsądku i wstydu, ażeby nie dziwić się kiedyś owocom własnej pracy i pożądań,

O IDEALE DOSKONAŁOŚCI

I

Przede wszystkim pozwolę sobie na mały zbytek w formie „wstępu”.

Jak to zawoła czytelnik więc teraz piszą się wstępy nawet do jednogodzinnych konferencji, czyli stawia się dużą kropkę nawet nad małym, nad bardzo małym i ?...

Tak jest! Niekiedy trzeba nie tylko stawiać duże kropki nad i, ale jeszcze podpisywać, że to jest prawdziwe i — i że nad nim postawiono prawdziwą kropkę. Zdarza się to szczególnie wówczas, kiedy autor przedstawia czytelnikowi jakieś nowe pojęcie, a jeszcze bardziej gdy do oznaczenia nowego pojęcia używa starych i niby znanych wyrazów.

Wtedy bowiem musi walczyć nie tylko ze stronnikami dawnego wyrazu i jego uznanej treści, ale jeszcze z przeciwnikami nowych pojęć, z ludźmi, którym tak dalece obmierzła jest wszelka nowość, że woleliby nawet stary grzech aniżeli nową cnotę.

Rozumiem odpowie czytelnik. Któż mi jednak zareczy, że sprawa, o której mówi autor, że nowe pojęcie czy wyraz zasługuje na to, ażeby nie tylko poświęcić mu cały odczyt, ale jeszcze i słowo wstępne?...

Otóż zdaje mi się, że kwestia, którą poruszam, jest w rzeczy samej ważna, przynajmniej o tyle ważna, o ile wyraz „doskonały” i podobne do niego cieszą się niezwykłą popularnością.

Bo tylko zastanówmy się.

Jakiś człowiek, doskonale wypawszy się i zjadłszy doskonale śniadanie, myśli o tym, ażeby w najdoskonalszy sposób przepędzić czas. W tym celu czyta doskonale książki, ogląda doskonale malowane obrazy, szuka doskonałego towarzystwa i wraz z nim doskonałymi końmi jedzie na spacer. Wróciwszy ze spaceru idzie do doskonałego krawca, ażeby zamówić doskonały garnitur z doskonałego materiału, a wieczorem udaje się na jakiś doskonały koncert albo do teatru, gdzie grają doskonałą sztukę.

W tak doskonały sposób człowiek ten przepędza życie, w ciągu którego stara się o doskonale mieszkanie i doskonałą służbę, kupuje doskonale sprzęty, doskonale żeni się albo doskonale wychodzi za mąż, a gdy jego domowe ognisko nawiedzi bocian, wówczas stara się o doskonałą niańkę, potem o doskonałą bonę i wreszcie o doskonałą szkołę dla swoich potomków.

Nawet kiedy umrze (pomimo opieki doskonałych lekarzy i medykamentów z doskonałej apteki), jeszcze nie porzuca go doskonałość. Jego bowiem spadkobiercy powierzają zwłoki najdoskonalszemu kantorowi pogrzebowemu i zapraszają na cmentarz doskonałego kaznodzieję. A rozumie się, że i pomnik zamawiają u doskonałego rzeźbiarza.

Wobec tego rozkładu zajęć ludzi szanujących się nikt już chyba nie będzie wątpił, że wyraz: doskonały, należy do najbardziej używanych w ludzkiej mowie, w myślach i pragnieniach.

Gdyby wyrazy stanowiły o bogactwie i potędze narodów, my, Polacy, bylibyśmy chyba najmędrsi, najbogatsi i najpotężniejsi: nie tylko bowiem posługujemy się nadzwyczajną obfitością wyrazów, ale jeszcze posiadamy mnóstwo najsubtelniejszych odcieni. Na nieszczęście wyraz jest to dopiero szkatułka, prosta, piękna lub niepospolicie piękna. Więc o bogactwie umysłowym wyrazy decydują tylko o tyle, o ile są wypełnione

treścią jak o majątku swego właściciela szkatułka decyduje tylko o tyle, o ile jest pełna złotych i srebrnych monet.

Lękam się (nikomu zresztą nie uchybiając), że ludzie, szczególnie ci, którzy posługują się najbogatszym i najwytworniejszym językiem, że oni są właścicielami prawda że wielu i pięknych, ale też i niezbyt pełnych szkatulek... Naród, obowiązek, poświęcenie, odwaga cywilna, piękno, prawda, dobro, wiedza, praca, tolerancja i setki, setki innych tym podobnych wyrazów są to pudełka, w których jest albo dziwnie mało, albo chaos.

Teraz już mogę wytłumaczyć się z niniejszej konferencji: chciałem w niej określić pojęcie doskonałości, czyli szkatułkę oznaczoną wyrazem: „doskonałość”, wypełnić treścią.

Rzecz szczególna. Wskazałem, że wyraz: „doskonałość”, zajmuje dużo miejsca w naszych myślach, uczuciach i działaniach, z czego wynika, że wyraz taki powinien być dokładnie zdefiniowany. Tymczasem wyraz ten znalazłem tylko w małej i dużej encyklopedii Larousse'a, a z naszych tylko w Encyklopedii Kościelnej.

Według Larousse'a „doskonałym” jest taki przedmiot, który posiada wszystkie zalety, a żadnej wady; albo taki przedmiot, który posiada najwyższe zalety w swoim rodzaju. „Doskonałość” jest to coś absolutnego i zupełnego, czemu nie można nic dodać i nic odjąć. A dalej, że tylko do wyrazu „Bóg” można stosować przymiotnik „doskonały”.

Encyklopedia Kościelna znowu dzieli doskonałość na bezwzględną i względną, istotną i nabytą, całkowitą i cząstkową itd. I znowu według niej tylko Bóg jest bezwzględnie doskonałym, a doskonałość znaczy to samo co „dobro”.

Co jest doskonałym jest dobrym, a co jest dobrym jest doskonałym. Jeżeli czytelnik przypomni sobie, że na tym świecie istnieje kilkanaście albo i więcej definicji piękna (a każda rości pretensję do najdokładniejszej), chyba zgodzi się, że i określeń doskonałości może być

więcej aniżeli jedno, a w dalszym ciągu może nie będzie się gniewał, gdy powiem, że definicja doskonałości, którą ośmielam się przedstawić, jest różną od tych, jakie podają encyklopedie.

Moim zdaniem doskonałość jest to plan, najogólniejszy plan, według którego zbudowane są wszystkie dzieła ludzkie i utwory przyrody, od najprostszych do najbardziej złożonych, plan, który w najwyższym stopniu uwydatnia się w istotach organicznych i duchowych.

Dalej, moim zdaniem, doskonałymi mogą być nie tylko rzeczy dobre, ale i złe (na przykład: choroba, występki, klęska), nie tylko piękne, ale i brzydkie, byle były zbudowane według planu, o którym powiem obszerniej. A nareszcie mojej „doskonałości” nie stosowałbym na przykład do wyrazu: Bóg. Albowiem Bóg nie jest to jakaś doskonałość pojedyncza, choćby absolutna, ale raczej jest to doskonałość złożona z nieskończonej liczby doskonałości, nieskończenie wielkich.

W tym miejscu wypada mi powiedzieć słówko o metodzie wykładu.

Kto chce na przykład objaśnić słuchaczom: co to jest zegarek, może podzielić swoje objaśnienie na dwa momenty. W pierwszym pokaże koperty, skazówki, kółka, śrubki, czyli każdą cząstkę zegarka, i w dodatku wytłumaczy, jakim sposobem wszystkie te części są powiązane? W drugim zaś momencie objaśni jaką rolę odgrywa zegarek w życiu ludzkim: w biurach, szkołach, fabrykach, koszarach, na pocztach, kolejach, przy łóżu chorego itd.

Tak samo i ja postąpię z ideałem doskonałości. Naprzód opowiem, z jakich części składa się ten ideał, a następnie, jaką rolę odgrywa on w naturze i w dziełach ludzkich, mianowicie: w wynalazkach technicznych, odkryciach naukowych i artystycznych, w wiedzy, sztuce, a nawet w utworach najzupełniej fantastycznych.

Posługiwać się będę przykładami najprostszymi, „prostymi do naiwności”, przez pamięć o wielkich popularyzatorach nauki, jak H. Spencer, H. Taine, J. Tyndall i im podobni, których „naiwnym” przykładom czytelnicy i słuchacze zawdzięczali, że tak dokładnie rozumieli nawet najtrudniejsze przedmioty, iż prawie każdy mógł powiedzieć:

Ależ ja to wiem od dawna!... Ależ tu nie ma nic nowego!...

Wykład taki jest może dzisiaj niemodny, ale w nauce musi zostać, dopóki rozum ostatecznie nie pokłóci się z logiką.

I jeszcze słówko.

Pracę niniejszą poświęcam tym, którzy zechcą naprzód uważnie ją przeczytać, a po wtóre zechcą ją zrozumieć. Gdyby zaś (o czym nawet nie myślę) znalazł się czytelnik, który, zrozumiawszy zasadę, sam, na mocy własnych obserwacji i przykładów, zechciałby stwierdzić, że: doskonałość jest naprawdę planem świata, życia, duszy i wszelkich czynów ludzkich, gdyby znalazł się taki, wówczas zasłużyłby na mój szczerzy podziw, a nawet uwielbienie...

II

Do niepowszednich rozrywek należą wycieczki górskie, podczas których miłośnicy wrażeń z wielką pracą i niebezpieczeństwem wdzierają się na najwyższe, o ile można, wierzchołki.

Dlaczego oni to robią?... W jakim celu niszczą ubranie, kaleczą ręce i nogi, gorączkują się, a niekiedy giną w przepaściach? Oto w tym celu, ażeby choć przez kilka minut z wierzchołka góry przypatrzyć się horyzontowi tak rozległemu, tak wspaniałemu, że mieszkańcy równin nie mają o nim pojęcia.

W naszym na przykład kraju człowiek zwykłego wzrostu znalazłszy się na równym i otwartym polu ma dookoła siebie horyzont, którego najdalsze punkty, leżące niby na granicy nieba i ziemi, są oddalone od widza na cztery wiorsty.

W porównaniu z małością człowieka nawet i ten widnokrąg wydaje się ogromnym; zresztą obejmuje on około pięćdziesięciu wiorst kwadratowych powierzchni. Na tej przestrzeni mieszka od trzech do czterech tysięcy ludzi, którzy skupiają się w dziewięciu lub dziesięciu wioskach, zwykle ukrytych między drzewami i falistością gruntu.

Lecz wyobraźmy sobie, że na owym otwartym polu nagle wyrosła niezbyt wielka góra, mająca na przykład czterysta metrów wysokości. Jakich wrażeń doznałby człowiek patrzący z jej wierzchołka?

Oto jego horyzont powiększyłby się w ogromnym stosunku. Najdalszy punkt, który przed chwilą leżał o cztery wiorsty od widza, odsunąłby się

na siedemdziesiąt wiorst, a krąg ziemi, zawarty w tak rozszerzonych granicach, miałby piętnaście tysięcy wiorst kwadratowych powierzchni. W tym widnokregu można by widzieć (rozumie się przy bardzo czystym powietrzu) ogromny obszar pól, kilkanaście lasów, rzeki, stawy, gęstą sieć gościńców, a wśród tego wszystkiego dwa do trzech tysięcy wsi i ze dwanaście miasteczek, kędy żyje przeszło milion mieszkańców, których dopiero przy pomocy silnych szkieł należałoby wypatrywać.

Spoglądanie na świat z wysokości nie tylko rozszerza widnokrąg, nie tylko pokazuje rozleglejszą powierzchnię kraju.

Gdy na przykład patrzymy z równiny na miasteczko, widzimy kilkanaście drzew najbliższych i ściany kilkunastu domów stojących z brzegu, które właściwie zasłaniają nam miasteczko leżące w głębi. Lecz gdy znajdziemy się na wzniesieniu, nad miastem, zobaczymy nie tylko wszystkie jego domy, ale ich podwórka, ogrody, a także ulice i place. Słowem poznamy całe wnętrze miasteczka, którego nie mogliśmy dojrzeć z równiny.

Podobne wysokości, o jakich mówiliśmy w znaczeniu fizycznym, istnieją w dziedzinie ducha i wdzierającym się na nie oddają dwie usługi. Po pierwsze odsłaniają bardzo rozległy widnokrąg duchowy, po wtóre dają możliwość poznać plan i wewnętrzną budowę naszych pojęć o przedmiotach i zjawiskach świata zarówno duchowego, jak i zmysłowego.

Takie duchowe szczyty, z których niby spoglądamy na świat, nazywają się ideałami, a jednym z nich, jednym z najwyższych, jest ideał doskonałości.

Spróbujmy wejść na tę wyżynę, poznać jej budowę wewnętrzną i formę zewnętrzną, a także spróbujmy z tej wysokości spojrzeć na świat zmysłowy i duchowy, w którym jesteśmy pogrążeni.

W tym miejscu proszę o pobłażliwość dla przykładów, które będą niewykwintne, a niekiedy pospolite. Przykłady te jednak są potrzebne, ażeby odróżnić doskonałość od piękna i pokazać, że doskonałość istnieje nie tylko w rzeczach wielkich, ale i w małych, nie tylko w przyjemnych, ale i w przykrych, a nawet wstrętnych.

Nade wszystko chodzi o to, ażeby czytelnik dokładnie zrozumiał pojęcia wcale niełatwe. Gdybym używał przykładów trudniejszych, nie oddałbym przysługi ani samej rzeczy, ani czytelnikowi.

Kto widział urwisko, czyli rozdarty skłon góry, ten mógł zauważyć, że góra jest niekiedy zbudowana z rozmaitych materiałów, ułożonych warstwami. Na samym dole może leżeć warstwa na przykład kamienia wapiennego, na niej warstwa piasku, na tym warstwa gliny i tak dalej. Otóż ideał doskonałości tym także przypomina górę, że, jak ona, składa się z pewnych pojęć, niby warstw, które wnet poznamy.

Ale jeszcze małe zboczenie. W naszym języku obok rzeczownika: doskonałość, istnieją wyrazy pokrewne: przysłówek doskonale, przymiotnik doskonały, i słowo doskonalić albo doskonalić się. Wyrazy te będą niby stacjami w naszej podróży na górę ideału doskonałości. Pierwszą stacją będzie przysłówek: doskonale, drugą przymiotnik: doskonały,

trzecią, jeszcze wyższą, słowo: doskonalić się, a samym szczytem będzie rzeczownik: doskonałość. Rozumie się, że owe stacje są porównaniami, za pomocą których pragnę uzmysłwić czytelnikom treść bardzo oderwaną. A teraz idźmy w podróż ku pierwszej stacji i zobaczymy, czego nas uczy przysłówek: doskonale?

Co to na przykład znaczy: doskonale czarny albo doskonale przezroczysty? Doskonale czarny oznacza przedmiot czarniejszy od węgla, aksamitu, sadzy. Jest to taki przedmiot, który cechę, zwaną kolorem czarnym, posiada w najwyższym stopniu. A doskonale przezroczysty oznacza ciało przezroczystsze od wody, od alkoholu, od czystego szkła, czyli znowu oznacza ciało, które posiada własność przepuszczania jak największej ilości promieni świetlnych.

I otóż, niechcący, dowiedzieliśmy się, że pierwszym elementem ideału doskonałości jest to, ażeby: cecha zwana doskonałą miała wielkie nateżenie.

Rozpatrzmy zdanie: ten człowiek doskonale ślizga się. Przede wszystkim przypomnijmy sobie, jak wygląda złe ślizganie się? Kto ślizga się źle, ten jeździ albo wyłącznie na prawej, albo wyłącznie na lewej nodze, albo przez dziesięć sekund na prawej, a przez pięć sekund na lewej, przy czym jego łyżwy zakreślają na lodzie figury bardzo chaotyczne. Lecz kto ślizga się doskonale, ten kolejno posuwa się na prawej nodze, na lewej nodze, na prawej, na lewej przez jednakową liczbę sekund na każdej nodze. To kolejne używanie jednej i drugiej nogi w równych odstępach czasu nazywa się rytmem; więc w doskonałym ślizganiu musi panować rytm. Dalej kto ślizga się doskonale, ten łyżwami zakreśla na lodzie kształtne figury, więc nowym elementem doskonałości jest jakaś prawidłowa forma. I otóż w tej niby wędrówce pod górę ideału już poznaliśmy trzy elementy doskonałości: wysoki stopień jakiejś cechy, rytm i formę. Nie potrzebujemy dodawać, że ten porządek cech jest zupełnie przypadkowy. Posuńmy się wyżej, do stacji oznaczonej przez przymiotnik: doskonały. W tym miejscu pozwolę sobie użyć przykładu bardzo pospolitego, ażeby dowieść, że pojęcie „doskonałość” nie lęka się najskromniejszych zestawień. Co na przykład znaczą wyrazy: doskonały rosół?... Jest to taki rosół, który posiada najlepszy smak, zapach, kolor tudzież własność chwilowego wzmacniania organizmu. Możemy więc sformułować prawidło, że przedmiot do

skonały jest takim, w którym wszystkie jego cechy istotne posiadają wysoki stopień. Doskonały rosół nie potrzebuje być na przykład najgorętszym, wysoka bowiem temperatura nie należy do istotnych cech rosółu.

A jakim sposobem wytwarzamy w rosole owe wysokie cechy? Oto za pomocą kombinacji bardzo wielu przedmiotów, które można by nazwać

częściami rosółu. Są nimi: woda, mięso kurze i wołowe, pietruszka, marchew, pory, selery, cebula, angielskie ziele, bobkowe liście, sól... I otóż mamy nowy element doskonałości. Przedmiot doskonałości musi być jakimś jednym przedmiotem, ale zarazem musi składać się z wielu rozmaitych części. Doskonałość jest to jedność urozmaicona.

Ale czy doskonałemu rosółowi wystarcza to, że składa się on z bardzo rozmaitych części? Nie wystarcza. Gdybyśmy do rosółu dodali jeszcze innych rzeczy, na przykład cukru, octu, oliwy, zrobiłoby się coś wstrętnego; do warunków bowiem doskonałości należy, ażeby rzeczy rozmaite wchodzące w skład jakiejś całości wspierały się, harmonizowały z sobą.

W rzeczy doskonałej musi istnieć harmonia jej części.

Lecz i harmonia nie wystarcza. Rosół nie byłby doskonałym, gdybyśmy użyli do niego zbyt małej ilości mięsa albo zbyt wielkiej ilości soli. Więc nowym warunkiem doskonałości jest proporcja, czyli ilościowa zgodność rozmaitych części.

Słowem na stacji oznaczonej przymiotnikiem doskonały poznaliśmy, że przedmiot, mający być doskonałym, musi tworzyć jedną całość, która składa się z rozmaitych części harmonijnych, czyli wspierających się między sobą i proporcjonalnych, czyli odpowiadających pewnym liczebnym stosunkom.

Posuńmy się niby o stację wyżej i zbadajmy słowo: doskonalić się.

Co znaczy na przykład wyrażenie: folwark doskonali się?

Folwark doskonali się, jeżeli powiększa się w nim ilość pól uprawnych, jeżeli powiększa się ilość bydła, ilość płodów zbieranych z jednego morga, wreszcie jeżeli powiększa się czysty dochód roczny.

Więc stopniowy wzrost pewnej rzeczy jest cechą jej doskonalenia się.

Dalej, folwark doskonali się, jeżeli tworzą się w nim nowe gałęzie gospodarstwa, na przykład hodowla ryb albo pszczelnictwo; jeżeli przybywają nowe odmiany żyta, kartofli, owiec, krów; jeżeli przybywają nie używane dotychczas rodzaje machin i narzędzi rolniczych tudzież nawozów. Słowem folwark doskonali się, jeżeli zwiększa się w nim różnaitość jego części, co nazywają różniczkowaniem.

Ale nowe narzędzia, nowe odmiany roślin i zwierząt, nowe rodzaje nawozów, gdyby tylko były sprowadzane do folwarku i trzymane w składach, nie wpływałyby na jego doskonalenie się. Ażeby folwark doskonalił się, jego nowe narzędzia muszą być używane do obróbki ziemi czy materiałów, nowe nawozy do zwiększania wydajności ziemi, a nowe rośliny do podniesienia dochodów z majątku. Wzrastać więc musi nie tylko różnaitość części, składających folwark, ale jeszcze wzajemne wspieranie się, harmonia tych części, co nazywają całkowaniem się. W rezultacie przedmiot doskonalą się, jeżeli wzrastają jego wymiary, zwiększa się różnaitość jego części i zwiększa się wzajemna harmonia między częściami. Innymi słowy: jeżeli rośnie, a jego części różniczkują się i całkują wewnętrznie. Te zaś zjawiska, jak wzrost, różniczkowanie i całkowanie, nazywają się prawem rozwoju.

Zbliżamy się do szczytu naszej góry, czyli ideału doskonałości. Zanim jednak wejdzimy tam i zaczniemy oglądać się wokoło, musimy poznać jeszcze jedną warstwę, jeszcze jedną cechę doskonałości, mianowicie prawo.

Cóż to znaczy prawo, ten wyraz, z którym nieustannie spotykamy się w naukach ścisłych, a osobliwie w fizyce ogólnej?

Przypomnijmy sobie ludzi ślizgających się doskonale. Jeden z tych panów ma zwyczaj zakreślać łyżwami elipsy, drugi woli ósemki, trzeci przekłada prosty kierunek i wielką szybkość, czwarty, gdy jest sam, jeździ niedbale, lecz wobec widzów lubi popisywać się zręcznością. Słowem każdy z tych panów ma swój charakterystyczny sposób jeżdżenia na łyżwach, a ten sposób, o ile jest wyraźnym i stałym, nazywa się: prawem ślizgania się danej osoby.

Praw znamy mnóstwo: każda dziedzina zjawisk mechanicznych, chemicznych, biologicznych, psychicznych, społecznych ma swoje prawa. A każde takie prawo oznacza sposób, w jaki odbywa się zjawisko, i jest jednym z elementów doskonałości. Rozwój, o którym dopiero co wspominaliśmy, jest także jednym z praw biologicznych, czyli życiowych. I otóż znaleźliśmy się na szczycie ideału doskonałości, gdzie możemy uprzytomnić sobie warstwy, czyli elementy tego ideału. Należą do nich przede wszystkim jakaś cecha ważna, czyli posiadająca wysoki stopień n a t ę ż e n i a. Cecha ta tkwi w jakimś przedmiocie i nadaje mu jedność, lecz

zarazem cecha ta wynika z połączenia się, ze związku jakichś, wprawdzie rozmaitych części, ale wspierających się wzajemnie, czyli harmonijnych i proporcjonalnych. Ów zaś jeden przedmiot, złożony z rozmaitych części, powinien mieć wyraźną formę.

Przedmiot doskonały nie ukazuje się nagle, nie wyskakuje na świat jak Minerwa z głowy Jowisza, ale rodzi się z jakiejś mniej doskonałej postaci za pomocą rozwoju, to jest: różniczkowania, czyli powstawania coraz to nowych części, i całkowania, czyli coraz silniejszego wspierania się owych części.

Wreszcie jeżeli w przedmiocie zachodzą jakieś zmiany czy ruchy, to zmiany te, ażeby były doskonałymi, powinny być rytmiczne i dokonywać się w pewien określony sposób, który nazywamy prawem.

Wyliczyłem dziewięć najważniejszych cech doskonałości. Muszę jednak ostrzec, że jest ich daleko więcej i że nawet nie myślę o ich zupełnym wyliczeniu. Muszę też dodać, że jakkolwiek w naturze i dziełach ludzkich jest mnóstwo przedmiotów zasługujących na nazwę mniej lub więcej doskonałych, czyli przedmiotów posiadających prawie wszystkie wyliczone cechy, to również wiele znajduje się i takich przedmiotów, w których widzimy zaledwie parę cech doskonałych, a innych brakuje. Takie przedmioty nazywają się niedoskonałymi.

Przykładem bardzo wysokiej niedoskonałości będzie następujący: weźmy posąg, zegar, cegłę, potłuczmy to na proch, zmieszajmy i utwórzmy bezkształtną masę. W tym zbiorowisku materiałów nie będzie żadnej cechy wydatnej, nie ma jedności ani różnorodności, nie ma żadnych części, a tym bardziej nie ma harmonii ani proporcji.

Bezlądna mieszanina najsprzeczniej szych elementów, oto jest obraz jeżeli nie najwyższej, to przynajmniej wielkiej niedoskonałości.

Zobaczmy teraz kilka przykładów doskonałości, przede wszystkim w naturze, gdzie spotyka się ona bardzo często.

Największą co do rozmiarów doskonałością jest system planetarny, czyli owe ciała niebieskie, które pospołu z ziemią krążą naokoło słońca.

Czy system planetarny posiada jakąś ważną cechę? Tak jest. Cechą tą jest ruch dokonywany pod wpływem siły zwanej przyciąganiem powszechnym. Cecha ta posiada bardzo wysoki stopień natężenia, ponieważ na przykład prędkość ziemi naokoło słońca dosięga trzydziestu wiorst na sekundę.

W systemie planetarnym istnieje różnorodność: składa się on bowiem z ośmiu planet wielkich, jak: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn,

Uran, Neptun, mnóstwa planetek małych, kilkunastu księżyców i pewnej liczby komet. Ale obok tego w systemie planetarnym jest jedność: władcą bowiem wszystkich planet jest słońce, wszystkie planety krążą naokoło słońca, z zachodu na wschód, każda obraca się naokoło swej osi itd.

W ruchach systemu planetarnego mamy rytmy, które na przykład na naszej ziemi objawiają się jako ciągłe następstwo dnia i nocy tudzież jako pory roku: wiosna, lato, jesień i zima. Istnieją także prawa, na przykład: czas obrotu planety naokoło słońca trwa tym dłużej, im planeta leży dalej od słońca.

W systemie planetarnym widzimy harmonię: każda bowiem planeta wpływa na ruchy wszystkich innych i ulega ich działaniu. Istnieje proporcja, dwa bowiem ciała niebieskie przyciągają się tym silniej, im są większe, a tym słabiej, im dalej leżą od siebie. Proporcje te i prawa wypowiadałam w sposób bardzo niedokładny, aby uniknąć niezrozumiałych wyrazów matematycznych.

Dalej w systemie planetarnym uczeni, a wśród nich filozofowie Kant i Spencer, nade wszystko zaś astronom Laplace, domyślają się istnienia biologicznego prawa rozwoju. Przypuszczają oni, że przed milionami

wieków obecny system planetarny tworzył chaotyczną mgławicę, z której drogą stopniowych różniczkowali powstały dzisiejsze planety i ich księżycy.

Dodajmy wreszcie, że system planetarny posiada formę. Można by go zamknąć w pudle okrągłym, dosyć płaskim, mającym około czterech miliardów mil w obwodzie. W środku owego pudła znajdowałoby się słońce.

Rozpatrzmy inne zjawisko - pożar. Jego cechą zasadniczą jest płomień o wysokiej temperaturze, który niszczy rozmaite materiały i przedmioty. Przebieg, czyli prawo pożaru, jest następujące: zaczyna się od małego płomienia, który szybko rośnie, osiąga najwyższej potęgi, potem z wolna zaczyna słabnąć, przygasać i wreszcie gaśnie. Rozwój i różnorodność polega na tym, że zapalają się coraz to nowe przedmioty. Naprzód firanka, od niej papiery na stole, ramy okna, stół, krzesła, fortepian, potem ogień przenosi się do dalszych pokojów, na strych, ogarnia cały dom, przeskakuje na budynki sąsiednie i zalewa całą ulicę. Gęsty, biały dym wydobywa się z płonącej słomy, niebieskawy płomień znaczy miejsce, gdzie zapaliła się beczka spirytusu. Słychać pęknięcie szyb, trzask łamiących się belek. Nagle wystrzelił do góry snop jaskrawego światła i rozległ się huk: to wybuchnął proch ukryty w jednym z mieszkań.

W pożarze jest harmonia: rozmaite palące się przedmioty wspierają się wzajemnie i podtrzymują swoją wysoką temperaturę. Jest także ptopot

c j a : każdy bowiem materiał: drzewo, słoma, nafta, szmaty, skóry - płonie inaczej. Jest wreszcie i rytm polegający na tym, że każdy przedmiot, jeden po drugim, zapala się dość szybko, płonie coraz silniej i z wolna przygasa. Zobaczmy inne zjawisko - miłość. Cechą panującą jest uczucie przywiązania do osoby innej płci; jest to cecha ważna, stanowi bowiem źródło nowego życia.

Prawo przebiegu normalnej miłości jest dosyć proste: poznanie, zakochanie się, staranie się o wzajemność i małżeństwo. Różnorodność i

rozwój polegają na tym, że gdy pierwsze wrażenie mógł zrobić na kimś na przykład głos jego ideału, to później zaczęły mu się podobać oczy, rysy, włosy, ruchy, zwyczaje, poglądy, tak że w końcu nie mają ani jednej cząstki osoby czy jej charakteru, która nie budziłaby przywiązania. Człowiek zaczyna kochać wzrokiem, słuchem, pamięcią, wyobraźnią, zaczyna myśleć o osobie wybranej w każdej porze dnia, marzyć o niej we śnie, traci humor, spokój, apetyt, a bywają też wypadki, że zakochany kończy na obłąkaniu lub samobójstwie.

Rytm miłości polega na kolejnym następowaniu po sobie: nadziei i rozpaczy, zaufania i zazdrości, szalu i pozornej obojętności. Harmonia objawia się tym, że każda władza duszy, potracona przez ukochany przedmiot, rozbudza wszystkie inne władze. Proporcja wyraża się w taki sposób, że na przykład rozmowa wywiera większy wpływ aniżeli spojrzenie, dotknięcie działa silniej aniżeli rozmowa, a pocałunek jeszcze silniej. Lecz gdy miłość stanie się szaloną namiętnością, wówczas, jak we wszystkich namiętnościach, proporcja znika.

Na koniec, aby zrozumieć, że doskonałość panuje w rzeczach brzydkich i przykrych, przypatrzmy się doskonałemu obrazowi suchot. Zasadniczą cechą tej choroby są laseczniki suchotnicze, ważnością jej zniszczenie organizmu. Prawo przebiegu objawia się w taki sposób, że na przykład w płucach tworzą się małe gruźelki, te rozrastają się, ulegają rozpadowi i drażą jamy w płucach, które stopniowo stają się niezdolnymi do oddychania, co wywołuje śmierć.

Rozwój suchot i rozmaitość ich polega na osiedlaniu się laseczników w rozmaitych organach: w płucach, krtani, kiszki, gruczołach limfatycznych, kościach, błonach mózgowych. Rytm istnieje w codziennym pojawianiu się gorączki nad wieczorem, a kaszlu i silnych potów w nocy. Harmonię widzimy w tym, że stopniowy upadek oddychania, odżywiania i nienormalne wydzielanie zgodnie przyczyniają się do wyczerpania organizmu; zaś proporcję w tym, że im jakiś organ jest bardziej osłabiony, tym więcej można w nim znaleźć laseczników.

A teraz na chwilę zatrzymajmy się z przykładami i obejrzyjmy za siebie. Wstępując pod górę ideału doskonałości odkryliśmy, że ideał ten składa się z pewnej liczby elementów, niby warstw, którymi są: cecha zasadnicza, jej wysoki stopień, rozmaite części, ich wzajemne współdziałanie sobie, a dalej proporcja, rytm, prawo, rozwój... Następnie zbadaliśmy: system słoneczny, którym zajmuje się astronomia; miłość ulubiony temat poezji; pożar, o którym bardzo często mówią sprawozdania dziennikarskie; na koniec suchoty należące do zakresu patologii. Przykłady te nauczyły nas, że w każdym z tak niepodobnych, tak dalekich od siebie przedmiotów istnieje ideał doskonałości, a przynajmniej niektóre jego części.

W podobny sposób moglibyśmy przebiec wszystkie dziedziny natury: gwiazdy stałe, ruchy atmosfery, wielkie krążenie wód między oceanami, powietrzem, górami i rzekami, dzieje skorupy ziemskiej od uformowania się skał ogniowych aż do naszych czasów, życie roślin i zwierząt, wychowanie dziecka, historię cywilizacji, a dalej burze, trzęsienia ziemi, wielkie epidemie, i przekonalibyśmy się, że wszędzie tkwi ideał doskonałości: wszędzie istnieje zjednoczona różnorodność, harmonia i proporcja części składowych, rozwój tudzież rytm.

Podobno Pitagoras utrzymywał, że świat jest wcieloną liczbą. Słuszniej można powiedzieć, że świat jest wcieleniem rozmaitych ideałów, między którymi jedno z najpierwszych miejsc zajmuje doskonałość. Świat jest nią nasycony. Jest ona prawie tak powszechna w naturze jak na naszej planecie pewien pierwiastek chemiczny zwany tlenem, który istnieje w wodzie, ziemi, powietrzu, roślinach, zwierzętach i ludziach.

Z powyższego widzimy, że ideał doskonałości jest bardzo, ale to bardzo powszechny. Czymże jednak jest on sam?... Odpowiedź nasza będzie bardzo prosta ideał doskonałości jest to plan, według którego świat jest zbudowany, i nie tylko zbudowany, ale jeszcze według którego kształtuje się i wciąż ulepsza. Świat o tyle, o ile jest doskonałym i doskonali się, przynajmniej w niektórych swoich częściach.

Oto szczyt góry, na którą wdrapaliśmy się, oto pierwszy widok, jaki odsłonił się przed naszymi oczyma.

Lecz jakim sposobem człowiek odkrył doskonałość i poznał jej składowe części? Kto dokonał tak ważnej pracy?

Rzecz szczególna: badacze natury ciągle odkrywają w niej coraz to nowe rzeczy doskonałe; wynalazcy nieustannie stwarzają narzędzia i maszyny,

czyli doskonałości sztuczne, jakich nie wydaje natura. Mimo to wyliczone przez nas elementy doskonałości określili nie uczeni i nie wynalazcy, ale filozofowie, a

szczególniej ci spośród nich, którzy pracowali nad estetyką, czyli „nauką o pięknie”.

Nie jestem przygotowany do wyczerpującego przedstawienia tej sprawy, więc ograniczę się na jednym, ale dosadnym fakcie. Proszę wziąć Estetykę Karola Lemckiego, profesora sztuk pięknych w Amsterdamie, a w rozdziale IV znajdziemy te same elementy: jedność, różnorodność, rytm itd., o których tu mówimy ciągle. Lecz gdy Lemcke elementy te nazywa składnikami piękna, my widzimy w nich składniki doskonałości: gdy on wskazuje na nie w dziełach sztuki albo w przedmiotach pięknych, my widzimy je w całej naturze i wykażemy je w całej działalności ludzkiej. „Jeżeli powiem twierdzi Lemcke że każda prawidłowość jest piękną, popadnę w sprzeczność, gdyż niejednokrotnie zupełna prawidłowość wydaje mi się brzydką. Jako przykład zauważmy węża lub stonogę. Wąż powinien być ideałem węża czemuż ja mam wstręt, a przynajmniej żadnego zadowolenia estetycznego nie czuję wobec grzechotu lub pełzania wielonożnego robaka?”

Słowa te pozwolą nam wykazać różnicę między doskonałością a pięknem. Doskonałą może być każda rzecz lub zjawisko: posąg Wenery, Madonna Sykstyńska, dąb, człowiek, symfonia, lokomotywa, stonoga, wąż, poemat, suchoty, zbrodnia itp. Każda z tych rzeczy może być doskonałą, o ile składa się z takich elementów, jak: jedność, różnorodność, rytm itd. Ale piękną może być taka rzecz, która nie tylko jest zbudowaną według planu doskonałości, lecz jeszcze składa się z cech przyjemnych i dzięki nim podoba się człowiekowi.

Skutkiem nieodróżniania „piękna” od „doskonałości” utworzono estetykę brzydoty i spłodzono dziwną formułę, że „brzydota może być piękna”! Jest to pusty frazes. Brzydota nie może być piękną, gdyż jest zbudowana z

cech wstrętnych, jak: choroba, zbrodnia. Ale brzydota może być zbudowana według planu doskonałości i dlatego może być brzydotą doskonałą.

Elementy doskonałości odkryli estetycy w utworach pięknych, czyli w dziełach genialnych artystów. Ale jaką drogą artyści doszli do odkrycia planu doskonałości, według którego budowali swoje arcydzieła z materiałów przyjemnych i podobających się?

Zdaje się, że artyści, jak i wszyscy w ogóle twórcy, instynktownie sformułowali sobie ideał doskonałości obserwując rzecz w naturze najdoskonalszą, jaką jest organizm i życie.

Na dowód zaś, że organizm i życie jest jakby najzupełniejszym wcieleniem doskonałości, spojrzymy na człowieka.

Przede wszystkim organizm ludzki tworzy jedną, bardzo spójną całość dzięki skórze, która jest wspólnym pokrowcem dla wszystkich organów, a dalej dzięki powiązaniu kości i mięśni, wspólnemu systemowi nerwowemu, wspólnemu systemowi krwionośnemu, naczyniom limfatycznym itd. Ta wyrazista jedność jest olbrzymio urozmaicona.

Odróżniamy w niej trzy grupy organów: 1) organy czynne, jak ręce i nogi, za pomocą których działamy na świat zewnętrzny, 2) organy kierownicze, jak oczy, uszy, organy węchu i dotyku które pozwalają nam orientować się wśród otaczającego świata i wybierać w nim przedmioty potrzebne, 3) organy dopełniające, czyli żołądek, serce, płuca, które dwóm poprzednim grupom dostarczają sił do pracy.

Niezależnie od tego każdy organ składa się z tkanek: mięśniowej, nerwowej, łącznej, tłuszczowej. Każda tkanka składa się z komórek, każda komórka ze związków organicznych, a każdy związek organiczny z pierwiastków chemicznych.

Z powodu tej nadzwyczajnej różnorodności, z której pominieliśmy mnóstwo szczegółów, ludzki organizm przypomina jakby miasto. Rzeczywiście

miasto składa się z cyrkułów, cyrkuły z ulic, ulice z domów, domy z mieszkań, a mieszkania ze ścian, podłóg i sprzętów.

Przebogatej różnorodności organizmu towarzyszy odpowiednia harmonia. Na przykład głodnemu człowiekowi oczy jego wskazują pokarm, nogi zanoszą go we właściwym kierunku, ręce chwytają, zęby żują, żołądek trawi, słowem: jakkolwiek organ działa, natychmiast wszystkie inne wspierają go. Co się zaś tyczy proporcji, sięga ona tak daleko, że z wymiarów na przykład palca można od biedy oznaczyć nie tylko wymiary, ale i wiek całego osobnika.

Albo rytm życia? Czyliż nie widzimy go w oddychaniu, uderzeniach serca, w kolejnym następstwie pracy i odpoczynku, snu i czuwania?...

IV

Nie będę wchodził w dalszy rozbiór tkwiących w człowieku cech doskonałości, lecz zwrócę uwagę na dwa doniosłe skutki tego faktu. Po pierwsze, człowiek, nosząc w sobie doskonałość, musiał i musi zwracać uwagę na doskonałości, które znajdują się w jego otoczeniu. Po wtóre, doskonałość, przepełniająca człowieka, musi w jakiś sposób wylewać się na zewnątrz, czyli popycha go do pracy twórczej. Innymi słowy: człowiek pod wpływem nasycającej go i otaczającej doskonałości od wieków spełnia dwie kolosalne prace, które stanowią treść historii i cywilizacji: po pierwsze bada i robi odkrycia, po wtóre robi wynalazki.

Przypatrzmy się odkryciu naukowemu. Oto jest rzecz nazywająca się promieniem białego światła. Człowiek za pomocą pryzmatu rozłożył ten promień na barwy: czerwoną, pomarańczową, żółtą, zieloną, niebieską, fioletową, czyli w jedności odkrył różnorodność. Następnie zbadał h a r m o n i e i proporcje istniejące między światłem a powierzchniami odbijającymi tudzież między światłem a ciałami przezroczystymi. Z tych odkryć zbudował naukę zwaną optyką, która z biegiem czasu rozwija się, to jest powiększa liczbę nowo odkrytych faktów, poznaje dokładniej,

czyli różniczkuje fakty już odkryte, i przekonywa się o wzajemnym oddziaływaniu na siebie odkrytych wiadomości, czyli: całkuje takowe. A teraz zobaczmy odkrycia artystyczne.

Oto jest człowiek, który posiada kilka farb: białą, czarną, żółtą, czerwoną, niebieską, ale co ważniejsze posiada bystry wzrok i zdolności obserwacyjne. Człowiek ten, wyjechawszy ze swego kraju, znalazł się pośród nowej natury i społeczeństwa, więc uderzają go nie widziane dotychczas stroje mieszkańców, ich rysy, barwa skóry i włosów, nie znane postacie zwierząt, drzew, kwiatów i w ogóle interesuje go cały wygląd okolic, jakich nie spotykał w ojczyźnie.

Człowiek ten wydobywa papier i pędzel, miesza w rozmaity sposób swoje nieliczne farby i zaczyna malować tych nowych ludzi, ich zwierzęta, ubiory i krajobrazy. Z początku jego malowanki są nieudolne, kształty niezgrabne, kolory rzeczy niepodobne. Z czasem jednak ów malarz pomnaża różnorodność swoich farb i swoich obserwacji, a między kształtami istniejącymi z jednej strony w naturze, z drugiej na jego papierze wprowadza coraz dokładniejszą harmonię i proporcje. W taki mniej więcej sposób rodzi się i rozwija malarstwo, które z biegiem czasu usiłuje przedstawiać coraz większą liczbę przedmiotów istniejących w rzeczywistości, odkrywa w tych przedmiotach coraz więcej malarskich szczegółów i wytwarza coraz większą różnorodność farb.

Weźmy inny rodzaj obserwatora artysty, który nie ma nadzwyczajnego wzroku, lecz silnie rozwinięte współczucie i który nie umie malować, ale potrafi opowiadać. Więc opowiada o nieszczęśliwych kochankach, którzy pomarli z miłości, o odważnym siłaczku, który pokonał kilkunastu przeciwników, o burzy, która zniszczyła dużo ludzkiego mienia i zabiła kilka osób. Człowiek ten jest poetą epickim albo powieściopisarzem. Z początku zwraca on uwagę tylko na nadzwyczajnych ludzi i nadzwyczajne wypadki: na olbrzymów, morderców, męczenników, na śmierć, męki i katastrofy natury. Lecz z czasem zaczyna opisywać ludzi i wypadki zwyczajne, uczucia proste. Idąc zaś jeszcze dalej w pogoni za nowością i różnorodnością, przedstawia w końcu charaktery

blahe, uczucia chorobliwe i przewrotne. Moralna wartość jego opisów zmniejsza się, choć doskonałość ich może wzrastać skutkiem wprawy autora.

W podobny sposób powstała rzeźba, tak narodziły się i rozwinęły wszystkie nauki doświadczalne: fizyka, chemia, astronomia, geografia, geologia i sztuki obserwacyjne, poezja epicka, powieść, malarstwo krajowe i rodzajowe.

Człowiek spostrzegał w naturze jakieś ważne zjawisko i pod wpływem żyjącego w nim ideału doskonałości poszukiwał w tym zjawisku rozmaitych części, harmonii, proporcji, prawa...

Dalsza zaś jego praca polegała na rozwijaniu wiedzy już zdobytej, w czym rytmami były usiłowania następnych pokoleń, ich błędy i poprawki.

Na takich to drogach, w podchodzie do samodzielnej twórczości, człowiek zdobył dla niej fundament i materiały. Fundamentem i planem jego przyszłych utworów był: wypatrzony w naturze i w nim samym ideał doskonałości; zaś materiałem wszystkie przedmioty i zjawiska, jakie poznał.

A teraz przyjrzymy się twórczości samodzielnej człowieka, jednemu z najdziwniejszych zjawisk w naturze.

Zacznijmy od wynalazków technicznych. Z pewnością, że w naturze nie ma takiej rzeczy jak zegar, ale za to jest sklepienie niebieskie, które od niepamiętnych czasów krąży nad naszymi głowami z dokładnością najlepszego zegara. W naturze nie ma fortepianu, ale za to są zwierzęta wydające głos, a nawet wyśpiewujące melodie. W naturze nigdy nie istniała machina zwana żniwiarką, ale za to żyło mnóstwo ludzi zajmujących się żęciem.

Zatem w wynalazkach nawet najbardziej oryginalnych natura odegrała co najmniej rolę podniety. Wskazała człowiekowi istoty wytwarzające melodie, obrót ziemi jako naturalną miarę czasu, ciężką pracę żniwiarzy; człowiek zaś wywołał te zjawiska w sposób oryginalny i tworzył maszyny, czyli rzeczy zupełnie nowe w naturze.

Ale są wynalazki techniczne, do których natura dostarczyła człowiekowi nie tylko celu, lecz i planu. Czy ciemnia optyczna nie przypomina oka zwierzęcego, a drut telegrafu czy nie przypomina nitki nerwowej? Czy stół nie przywodzi na myśl zwierzęcia czworonożnego, na którego grzbiecie składamy papier albo talerze? Krzesło czy nie jest

czworonogiem z wysoką szyją? System rur wodociągowych czy nie jest podobny do systemu krwiobiegowego albo miechy do płuc?

Przypatrzmy się maszynie parowej. Posiada ona tłok, który porusza korbę i przypomina ludzkie ramię. Tylko że ramię wprowadzają w ruch mięśnie, zaś tłok posuwa do góry i na dół rozgrzana para wodna. Przy maszynie parowej znajduje się rurka wskazująca ilość wody w kotle i manometr, który po

kazuje ciśnienie pary. Czy przyrządy te nie są jakby zmysłami maszyny? A kocioł napełniony wodą czy nie przedstawia analogii z żołądkiem albo palenisko z płucami? Słowem maszyna parowa jest to niby sztuczne zwierzę, które jak zwierzęta prawdziwe, posiada organy czynne, kierownicze i dopełniające.

Twórczość ludzka nie ogranicza się na budowaniu rzeczy nowych, które okazują bliższe lub dalsze podobieństwa z różnymi utworami natury. Twórczość ludzka daje także początek dziełom oderwanym, do których należą nauki dedukcyjne, niektóre sztuki piękne i najkapryśniejsze dzieła fantazji.

Najbardziej abstrakcyjną ze wszystkich nauk jest chyba matematyka. Spójrzmy na jedną jej gałąź, na algebrę. Kiedy mówię: „ X kwadrat plus Y kwadrat równa się „ wyrażenie to jest funkcją algebraiczną. Z tej funkcji można wyrachować nieskończoną ilość liczb, czyli różnorodność; między tymi liczbami będą istniały najściślejsze harmonie i proporcje, a także rytm, gdyż owe liczby co pewien czas będą się powtarzały.

Powyższa formuła wyraża jednocześnie pewien kształt, mianowicie okrąg koła, a zarazem wyraża prawo, że każdy punkt na okręgu koła jest równo oddalony od środka.

Z przykładu tego widzimy, że najbardziej abstrakcyjny objaw ludzkiej twórczości jest niczym więcej tylko najdokładniejszym wcieleniem ideału doskonałości: w matematyce tkwi bowiem urozmaicona jedność, harmonie, proporcje, formy i prawa.

Toż samo znajdujemy w muzyce, najbardziej abstrakcyjnej spomiędzy sztuk pięknych. Jednością muzyki jest dźwięk, różnaitością różne tony, harmonią akordy. Proporcja polega na tym, że każdy ton daje się wyrazić liczbami, a każdy akord opiera się na pewnych matematycznych stosunkach; zaś prawo wyraża się w melodii. Więc i muzyka ze swoimi symfoniami, koncertami, operami, tak niepodobnymi do niczego istniejącego w naturze, jest znowu wcieleniem ideału doskonałości, który wypełnia naturę i człowieka!...

Zobaczmy jeszcze jeden rodzaj twórczości, może najbardziej fantastycznej.

Kalejdoskop jest to rurka, wewnątrz której znajdują się trzy zwierciadła, nachylone do siebie pod kątem stopni. Jeżeli między zwierciadłami umieścimy kawałki barwnych szkiełek, mchu, listków, wówczas drobiazgi te, odbijając się w zwierciadłach, wywołają w naszym wzroku bardzo ładne figury, nie przypominające nic rzeczywistego. Niemniej jednak są piękne, ponieważ składają się z barw przyjemnych i posiadają wiele warunków doskonałości: formę, różnaitość, harmonię i proporcję części. Do kalejdoskopowych figur podobne są rysunki ornamentacyjne, a co dziwniejsza, podobne są niektóre fantastyczne utwory poetyckie. Do utworów tych

wchodzą rozmaite pierwiastki wzruszające: miłość, nienawiść, uwodzenie, zdrady, obłądki, zabójstwa i samobójstwa, a obok tego brylanty, perły, westchnienia... Pierwiastki te mieszają się jak w kalejdoskopie, ale grupują według planu doskonałości, dzięki czemu tworzą ładne frazesy, którym jednak nie odpowiada nic rzeczywistego. Dzieła takie mogą się podobać, gdyż podniecają grę uczuć i fantazji; ale te ruchy duszy są jałowe, a jedynym ich skutkiem zużycie sił psychicznych.

Obejmując teraz jednym rzutem oka dziedzinę ludzkiej twórczości dochodzimy do następujących wniosków:

Wszystkie dzieła ludzkie, czy są nimi sprzęty, odzież, narzędzia, maszyny i pokarmy, czy nauki, jak fizyka, chemia, astronomia, statystyka, historia czy matematyka, muzyka, malarstwo lub poezja, wszystkie te objawy twórczości są nie tylko podobne, ale i pokrewne między sobą. Każde z nich zbudował człowiek z doskonałości istniejących w świecie; każde zbudował człowiek pod wpływem tkwiącego w nim samego ideału doskonałości; i w rezultacie szkieletem czy duszą każdego z tych dzieł jest doskonałość. Prace i wynalazki techniczne, nauka i sztuka są to rodzone siostry, a wynalazca maszyny parowej, twórca rachunku różniczkowego i autor Króla Leara są rodzonymi braćmi, pomimo że użyteczność ich dla rodzaju ludzkiego nie jest jednakową i pomimo że artyści i estetycy mają słabość uważać się za najprzedniejsze stworzenia boskie.

W rzeczywistości nie ten jest wielkim, kto tworzy i pracuje dla ideałów, bo dla jakiegoś ideału czy antyideału pracuje każdy, czy chce, czy nie chce. Ale dopiero ten jest wielkim, kto rodzajowi ludzkiemu przynosi najwięcej pożytku, kto jest w wysokim stopniu użyteczny.

Powiedziałem wyraz „użyteczny”. Jest to, jak gdybyśmy, stojąc na górze, zwrócili się ku nowej okolicy świata. Dotychczas patrzyliśmy, dajmy na to, na południe, teraz spojrzeliśmy, na północ.

Już mówiliśmy, że spomiędzy tworów natury człowiek jest najzupełniejszym wcieleniem ideału doskonałości. Zobaczmy jednak, czy ta doskonałość jest bezwzględna, od niczego niezależna, czy też do swego istnienia wymaga pewnych warunków.

Człowiek, aby żył i rozwijał się, musi oddychać, jeść, pić, spać, musi posiadać odzież, mieszkanie, narzędzia i sprzęty, a dalej towarzystwo ludzi, z którymi pracuje, porozumiewa się, kocha ich i jest przez nich kochany. Jednym słowem człowiek, ażeby istniał, musi mieć zaspokojone potrzeby organiczne i duchowe, czyli musi być szczęśliwym.

Lecz już nawet, chcąc odświeżyć powietrze w mieszkaniu, co najmniej musi

otworzyć okno, gdy chce pić, musi nalać w szklanekę wody, gdy chce jeść, musi przynajmniej ukroić kawałek chleba. W dalszym ciągu, ażeby zaspokoić potrzeby, człowiek musi uprawiać rośliny, hodować zwierzęta, wydobywać minerały, wyrabiać tkaniny, uczyć innych ludzi pracy, organizować ich, kontrolować i w ogóle oddawać ludziom mnóstwo usług, którymi zdobywa sobie ich życzliwość. Słowem człowiek, ażeby był szczęśliwym, musi być u ż y t e c z n y dla innych.

I otóż góra ideału, na której stoimy, ukazała się w nowej formie. Ma ona teraz kształt piramidy, której pierwsze piętro stanowi użyteczność, drugie piętro szczęście, czyli zaspokojenie potrzeb, a trzecim piętrzem, szczytem, jest doskonałość.

W niniejszym porównaniu chciałem wyrazić tę niezbitą prawdę, że jakkolwiek doskonałość jest ideałem najwyższym, to przecie musi opierać się na szczęściu. A jakkolwiek dla doskonałości szczęście jest niezbędne, to jednak musi ono opierać się na szerokim, potężnym fundamencie zwanym użyteczną pracą.

Kto nie pracuje i nie pracuje użytecznie, ten nie ma prawa wchodzić na stopień szczęścia, choć może się tam przekradać. Ale kto wchodząc na stopień szczęścia, nie dąży jednocześnie wyżej, do doskonałości, ten prawdziwego szczęścia nie zazna. W gruncie rzeczy szczęście nie jest nawet ideałem samodzielnym; raczej jest szczeblem, po którym wznosimy się od użyteczności do doskonałości.

Ściśle rzeczy biorąc, najgodniejszą uwagi, najwspanialszą cechą człowieka jest jego zdolność do czynów. Ogarnia nas zdumienie na myśl, ile potrzeba machin, ażeby zastąpić nimi pracę ludzką? Człowiek bowiem szyje jak maszyna do szycia, kuje jak młot mechaniczny, piłuje jak piła, przenosi się z miejsca na miejsce jak samochód, dźwiga jak winda, pisze jak maszyna do pisania, gra, robi pończochę, żnie zboże, grabi, młóci...

Jego oczy działają lepiej aniżeli aparaty fotograficzne, uszy słyszą lepiej aniżeli telefony, organ mowy wyraża się dokładniej aniżeli fonograf.

Obok tego myśl ludzka jest maszyną rachunkową, słownikiem i składem Bóg wie jakich wiadomości. Wszystkie zaś te rzeczy, które wyliczyłem, stanowią ledwie kropelkę w morzu ludzkiej działalności.

Naprawdę więc człowiek jest przede wszystkim maszyną do wytwarzania czynów. Czyny drobne i wielkie, umysłowe i materialne, naśladowane i samodzielne, odruchowe i świadome, a zawsze użyteczne, zawsze doskonałe, oto jest bodaj czy nie prawdziwy cel istnienia człowieka na ziemi.

Wspominaliśmy niejednokrotnie, że człowiek jest jednym z najwyższych wcieleń ziemskiej doskonałości. Dlaczego?

Ten szczyt, na który weszliśmy, ten ideał doskonałości nie jest jakimś jedynym punktem, ale tworzy całą drabinę rzeczy coraz doskonalszych. Ruch kamienia rzuconego z ręki jest już czymś doskonałym; ale dźwięk, ciepło, światło, elektryczność są zjawiskami doskonalszymi od ruchu mechanicznego; zjawiska chemiczne są doskonalsze od fizycznych, a zjawiska biologiczne, czyli życiowe, od chemicznych. Wreszcie od zjawisk biologicznych wyższymi są zjawiska duchowe, a od nich społeczne.

Otóż człowiek nie tylko dlatego jest istotą wyższą, że mieści w sobie najrozmaitsze doskonałości mechaniczne, fizyczne, chemiczne i biologiczne, ale że ponad tym wszystkim posiada jeszcze ducha. A co to znaczy duch? Duch jest to świadomość myśląca, czująca i władająca organami cielesnymi. A oto jego obraz.

Wiemy, że ciało ludzkie składa się z trzech typów narzędzi: organów czynnych, jak ręka, organów kierowniczych, jak na przykład oko, i organów biologicznych, jak żołądek, serce. Wyobraźmy sobie, że każda grupa tych organów jest niby dziobem lampy gazowej, że dzioby te leżą tuż przy sobie i że z każdego wydobywa się innej barwy płomyk. Z organów kierowniczych płomyk niebieski, z czynnych żółty, a z biologicznych czerwony.

Te trzy mistyczne płomienie nazywają się: Myślą, Wolą i Uczuciem, a gdy zleją się z sobą i utworzą niby jeden biały płomyk, to stanie się on obrazem ducha.

Dla przykładu zastanówmy się: co to znaczy człowiek doskonały pod względem duchowym? Doskonałość bowiem ludzkiego organizmu już rozpatrywaliśmy.

Otóż człowiek duchowo doskonały musi przede wszystkim mieć jakąś duchową formę, czyli charakter. Musi on w coś wierzyć, czegoś pragnąć,

do czegoś być przywiązany. Formę charakterowi nadają najwyższe idee, dzięki którym niekiedy spotykamy tak zwanych „ludzi wyraźnych”, którzy wiedzą, czego chcą, i o których wiedzą inni. Ten jest religijny, tamten jest filozofem, inny zdobywa sobie tytuł filantropa, uczonego, pracownika, artysty, działacza społecznego, sportowca, a choćby tylko człowieka goniącego za uciechami. Trafiają się też charaktery bardziej złożone, które łatwiej odczuć aniżeli określić. W każdym jednak razie człowiek chcący być doskonałym nie może być ciastem, które kształtuje się pod naciskiem lada okoliczności zewnętrznych.

Trzeba, niestety, przyznać, że z jednej strony tak zwany konwenans, a z drugiej nietolerancja dążą do zniszczenia charakterów wyraźnych. Ludzie, szczerze

gólniej słabsi, tak często muszą kryć się ze swymi sympatiami i przekonaniami, że w końcu tracą wszystkie, wypierają się wszystkiego i psują się.

Lecz charakter doskonały nie może być jednostronnym, powinien być różnorodnym. Powinien mieć rozwiniętą myśl, uczucie i wolę, powinien umieć nie tylko cieszyć się, ale i kochać, nie tylko fantazjować, ale i badać, nie tylko korzystać z tego, co posiada, ale i coś wytwarzać.

W tej różnorodności musi być harmonia, co znaczy, że gdy na przykład człowiek coś robi, powinien robić to całą duszą, nie tylko rękoma, ale także myślą, uczuciem. Proporcja zaś polega na tym, ażeby siły, zużyte do osiągnięcia jakiegoś celu, odpowiadały rezultatowi; ażeby na przykład człowiek nie wydawał więcej na znikome rozrywki aniżeli na trwałą wiedzę i dzieła społeczne.

Prawo polega na uporządkowaniu najwyższych ideałów. Według nas zasadnicze prawo doskonałego charakteru powinno by wyglądać tak:

„Bądź użytecznym, ażeby zdobyć szczęście, ale o tyle tylko korzystaj ze szczęścia, o ile jest to potrzebne do doskonałości.” Zaś rytm przejawia się w kolejnym następstwie pragnień, ich zaspakajania, pracy, cierpień i

odpoczynków. Człowiek doskonały jest podobny do zdrowego drzewa, na którym wyrastają coraz nowe gałęzie, pokrywają się coraz nowymi liśćmi i kwiatami.

Nad całym tym bogactwem doskonałego charakteru unosi się jedność, ludzkie ją, które objawia się samopoczuciem, znajomością siebie i panowaniem nad sobą. Samopoczucie jest faktem powszechnym; każdy człowiek (z wyjątkiem chyba obłąkanych) ma samopoczucie. Lecz znajomość siebie i panowanie nad sobą należą do cech bardzo rzadkich i już dla tego samego mało jest ludzi chociażby jako tako doskonałych. Krótko mówiąc człowiek prawdziwie doskonały powinien mieć charakter wyraźny a bogaty, w którym serce podtrzymuje energię, a obojgiem kieruje rozum. Wreszcie powinien mieć charakter, dla którego użyteczna praca i ciągle doskonalenie się są najwyższymi celami, a chwilowe błyski szczęścia wynagrodzeniem za przeszłość i podniętą na przyszłość. A że nikt z nas nie jest takim, więc każdy może sobie powiedzieć jak ewangeliczny celnik w świątyni, który bił się w piersi i szeptał: „Boże, bądź miłociwi...”

Przechodzę do streszczenia.

Doskonałość można porównać z wyżyną, z której szczytu widać nie tylko bardzo rozległy horyzont, ale i wewnątrz rzeczy tego świata.

Tym wnętrzem są następujące elementy doskonałości: wysokie natężenie jakiejś jednej cechy, różnorodność części, z których związku dana cecha

wynika, harmonia i proporcja między owymi częściami i wyraźna forma całości. Wreszcie rytm, rozwój i w ogóle prawo.

Doskonałość jest duszą natury żyjącej i martwej. Spotykamy ją zarówno w kryształach, jak w całej planecie, którą zamieszkujemy, jak i w systemie planetarnym, którego cząstkę stanowi nasza ziemia. Najwyższego stopnia dosięga doskonałość w organizmach, życiu i duchu, nie tylko indywidualnym, ale i społecznym.

Nie mniej wyraźnie objawia się doskonałość w dziełach ludzkiej twórczości: w odkryciach naukowych i artystycznych, wynalazkach technicznych, w teoriach i sztukach pięknych. Sztuki piękne nie są czymś odrębnym od innych utworów ludzkich, ale raczej jedną gałęzią na drzewie działalności, bynajmniej nie najważniejszą, jednym powiatem w królestwie doskonałości. W ogólnych zarysach piękno polega na kombinowaniu własności i rzeczy przyjemnych dla człowieka według planu doskonałości.

W podobny sposób można by powiedzieć, że: ideał prawdy jest to doskonałość składająca się z określeń zgodnych z rzeczywistością, zaś ideał dobra jest to doskonałość składająca się z cech użytecznych dla materialnego i duchowego rozwoju ludzi i społeczeństw.

Na odwrót brzydota jest to doskonałość złożona z cech nieprzyjemnych i wstrętnych, a zło jest to doskonałość złożona z cech, rzeczy, zjawisk szkodliwych dla jednostek i gromad.

Niezmiernie ważnym jest następujące prawo, że: „w walce o byt zwyciężają najdoskonalsi”.

Z dwojga walczących zwierząt tryumfuje to, które ma większą siłę, szybkość, zręczność ruchów i ostrzejsze zmysły, które jest wytrzymalsze na głód, lepiej zabezpieczone od uszkodzeń itd. Z dwu armii walczących ta ma większą szansę, która posiada więcej żołnierzy walecznych, zdolnych oficerów, broń celniejszą, donioślejszą i prędzej wyrzucającą pociski, która ma lepszy sztab, korpus wywiadowczy, intendenturę itd. Nareszcie z dwu społeczeństw większe prawdopodobieństwo utrzymania się i opanowania innych ma to społeczeństwo, które posiada większe bogactwa naturalne i zaoszczędzone, więcej i doskonalszych pracowników, które jest moralniejsze, wyżej oświecone, lepiej zjednoczone itd.

Nie każda indywidualność pojedyncza czy zbiorowa posiada wszystkie cechy doskonałości. Dane zwierzę, człowiek czy społeczeństwo ma ledwo kilka zalet, a innych mu brakuje. W rezultacie więc ten osobnik wybije się nad swoich współzawodników, który posiada jeżeli nie wszystkie, to choćby największą liczbę najważniejszych cech doskonałości.

Są to niezmiernie doniosłe uwagi zarówno dla charakterów ludzkich i życia codziennego, jak dla historii pojedynczych narodów i historii powszechnej, jak wreszcie dla całej biologii. Utrzymują się i zwyciężają tylko najdoskonalsi, a z biegiem czasu wszelka niedoskonałość ustąpić musi.

Doskonałość porównać można do szczytu piramidy, której podstawą jest użyteczność, a przejściem od podstawy do wierzchołka szczęście.

Z tej zaś uwagi wypływa hasło, które powtarzam na wszystkie tony i przy każdej sposobności:

„Doskonalmi Wolę, Myśl i Uczucie, doskonalmi ich cielesne organy i materialne narzędzia. Bądźmy użyteczni dla siebie, dla swoich i dla obcych, a szczęście samo przyjdzie jako rezultat naszej wartości moralnej i cywilizacyjnej.”

PAN WESOŁOWSKI I JEGO KIJ

Pewnego dnia otrzymałem duży pakiet w szarej kopercie, zaadresowany: „Do rąk własnych... od L. Wesołowskiego.” Z rozpaczą pomyślałem, że znajdę rękopis noweli albo komedyjki; okazało się jednak, że jest to tylko list na kilkunastu arkusikach.

Oto co pisał jego autor:

„Mam do pana wielką prośbę; a że w zeszły piątek zwichnąłem sobie nogę, muszę więc skomunikować się z panem listownie. Nudzę się, bodaj czy nie pierwszy raz w życiu, ale strach! jak się nudzę; mógłbym więc napisać list długi jak bandaż, którym mnie obezwładniono. Szanując jednak pański czas, postaram się być treściwym.

Przeczytawszy zdanie, że ja mam do pana wielką prośbę — z pewnością zapytasz się: kimże jest ów petent? na czym polega jego prośba? i — z jakiej racji nazywa ją wielką? Mam więc obowiązek odpowiedzieć na każdy taki punkt, a zarazem przytoczyć kilka szczegółów z mego życia, które objaśnią, dlaczego, w wypadku napozór drobnym, muszę odwoływać się aż do pomocy dzienników?"

I.

— Kto więc jestem? — Powszechnie mówią, że jestem dobrym człowiekiem, i coprawda, ja sam nigdy nie doświadczam wyrzutów sumienia. Zresztą, jeżeli nawet budzi się kiedyś w moim sercu jakiś łagodny niepokój, to nie dotyczy on, broń Boże, występków, ale... raczej... może — niedość subtelności pojmowania zobowiązań małżeńskich. Pospieszani dodać, że skrupuły te nie są owocem mojej własnej natury: według mnie bowiem, człowiek nawet powinien trochę grzeszyć, ażeby łaskawe niebo miało mu co przebaczać. Na niesz... to jest na szczęście, jestem mężem kobiety doskonałej, pełnej taktu i surowości zasad; nie dziw więc, że musiałem trochę zarazić się rozmaitemi skrupułami, notabene — po trzydziestopięcioletnim pożyciu.

Czy jestem szczęśliwy? Nie i tak. Nadludzkich rozkoszy, o jakich pisują poeci, nie doświadczylem w życiu; bo nawet miłość, jedyna rzecz, którą znam fachowo, piękniej mi dziś wygląda w pragnieniach, aniżeli w urzeczywistnieniu.

Ale też nie zaznałem i ciężkich zmartwień. Nigdy nie bankrutowałem, nigdy nie straciłem wielkiego stanowiska, a jeżeli naprzykład umarł kto z bliskich, to zwykle zostawiał mi taki zapis w testamencie, że smutek z mojej strony byłby hipokryzją.

Żyję więc bez trosk i zbyt wielkich wymagań. Lubię zjeść nie dużo — ale smacznie, wypić jeden kieliszek wina — ale dobrego, w dodatku zaś nie robi mi przykrości przechodzenie od cygar do papierosów i odwrotnie. Lubię też w dobranem towarzystwie pogadać o polityce, albo zagrać preferansa; zrana czytam „Figaro”, do poduszki jaki świeży romans — i w trakcie tego zasypiam.

Zwykle nie śni mi się nic, a czasem — że mam lat dwadzieścia pięć. Niekiedy jednak (zwykle po rautach, gdzie późno dają kolacją), marzę — iż spadam z niezmiernej wysokości. Sny te zaliczam do największych przykrości w życiu i rzucam się wtedy, wołam i naturalnie budzę żonę, która, obawiając się zdenerwować mnie, zapytuje słodko: — Czy chciałeś czego, Ludwiku? Przecieram oczy, skupiam uwagę i powiadam:

— Nie, duszko... niczego...

— Boś tak krzyczał.

— Krzyczałem?... To pewnie przez sen. Śpij, duszko.

— Tak, mam spać, kiedyś mnie wybił ze snu... Pewnie nie zamknę oczu do rana... Ach! te późne kolacje. Zawsze je musisz jeść. Nic nie dbasz o zdrowie...

I przez cały następny dzień słyszę wymówki (ale spokojne wymówki), że nie dbam o swoje zdrowie.

Tak naprzemian śpiąc i czuwając, myślę nieraz, że naprawdę: „życie jest snem”. Bo i czemuż jest moje dzieciństwo, kiedym od bony dostawał klapsy w Saskim Ogrodzie? Czem pierwsza miłość, którą powziąłem) właśnie dla tej samej bony, ale już wówczas, kiedym był w szkołach, a ona została guwernantką? Czem wreszcie wiek młodzieńczy, gdym był najlepszym tancerzem, i — na cześć mojej sąsiadki, córki intendenta wojskowego, uczyłem się grać na flecie?

Ta ostatnia umiejętność nawet dziś uprzyjemnia mi życie, a niegdyś omal że nie stała się dla mnie źródłem sławy. Wyobraź pan sobie, że miałem

grać na flecie w koncercie amatorskim na cel dobroczynny.

Zaangażowano mnie, zapowiedziano występ, nauczyłem się paru aryj. Ale — kiedym wszedł na estradę i spojrzałem na natłoczoną salę, opanował mnie taki strach, że zgrabiały mi palce i żadną miarą nie mogłem dmuchnąć we flet. Przyniesiono mi szklankę wina (zamiast wody); parę życzliwych osób uderzyło brawo — wszystko nanie... Wino wypilem, ukloniłem się za oklaski, ale zadać we flet nie mogłem. Schowałem nawet na pamiątkę ówczesny „Kurjer,” opisujący ten wypadek.

Pomimo melancholijnej zasady, że „życie jest snem,” nie mogę powiedzieć, ażebym nie posiadał wyższego celu. Jest nim — jakiegokolwiek, bodaj honorowe, stanowisko, co znowu łączy się z wymaganiami mojej żony.

Trzeba wiedzieć, że żona moja jest ściśle spokrewnioną z książętami X. i pochodzi z ambitnej rodziny, której członkowie zawsze piastowali jakieś urzędy kościelne, cywilne, lub wojskowe. Gdym się więc o nią oświadczył, zarzucono mi, że wprawdzie mam dobre ułożenie, talenta i ładny majątek, ale — nie posiadam stanowiska.

Naturalnie, że po takim dictum, natychmiast podałem się na aplikanta w komisji spraw wewnętrznych i w następstwie połączyłem się z najdroższą Ewcią. Gdy jednak wkrótce po weselu trafiła mi się owa przygoda z koncertem, byłem tak złamany na duchu, że rodzina moja i Ewci (ażeby ochronić mnie od możliwego samobójstwa) namówiły nas do wyjazdu zagranicę.

Bawiliśmy tam parę lat, wróciliśmy, wyjechaliśmy znowu; potem spadły na mnie troski ojcostwa, potem edukacja syna, wydanie zamąż starszej córki, i — tak jakoś czas zeszedł.

Dopiero po upływie trzydziestu lat, żona moja przypomniała sobie, że ja koniecznie powinienem zajmować jakieś stanowisko.

Rozmowa nasza o tym przedmiocie odbyła się w szczególnych warunkach.

Słońce zachodziło i w gabinecie mojej żony był już pomrok. Ewcia siedziała na amarantowym fotelu, w czarnej sukni, mając z jednej strony palmę, z drugiej tamburek, na którym haftowała mi pantofle. Zazwyczaj posągowo piękna twarz żony wyglądała w tej chwili prawie surowo. Spostrzegłszy ten wyraz, szybko przypomniałem sobie historią kilku dni ostatnich. Ponieważ jednak nie znalazłem nic w tych czasach, cobym sobie mógł wyrzucać, więc ogarnął mnie taki niepokój, że, usiadłszy na taburecie, nie śmiałem ust otworzyć.

— Czy nie narobił kto jakich plotek?... — myślałem, czując chłód na plecach, podczas gdy żona utopiła we mnie spokojne, lecz przenikliwe spojrzenie. Prawie nie mogłem oddychać.

— Mój Ludwiku — zaczęła Ewcia. — Mamy około dwunastu tysięcy rubli rocznie...

— Jeżeli nie więcej... — wtrąciłem. — Trochę nawet mniej.

— Z pewnością więcej — dodałem, czując, że budzi się we mnie duch sprzeczki.

— Wierz mi, że mniej — przerwała, gromiąc mnie oczyma. — Ja lepiej wiem.

— Może być,

— Otóż — ciągnęła Ewcia — mamy trochę mniej niż dwanaście tysięcy rubli rocznie, jedną córkę zamężną, drugą na wydaniu, a nadewszystko — syna, który już ukończył trzydzieści i trzy lat. Napozór niczego nam nie brak, lecz mimo to, nie jesteśmy ani szczęśliwi, ani spokojni.

— Ależ duszko...

— Nie zapieraj się — mówiła żona — bo nieraz widzę, jak ziewasz.

— Ja?...

— Ty, i ziewasz z nudów, z braku zajęcia — dodała, akcentując ostatnie wyrazy. — I kiedy ty ziewasz, ja wzdycham, myśląc, że przez tyle lat nie postarałeś się o jakie stanowisko, i że nasz syn, Mieczysław, całkowicie wstępuje w twoje ślady. Proszę cię, Ludwiku, zachęć Mieczysława

własnym przykładem i o cośkolwiek się postaraj. Tylu przecież znamy prezesów, a choćby wiceprezesów, dyrektorów i członków rozmaitych zarządów, iż doprawdy jest mi wstyd, że nie należysz do ich grona. Proszę cię, postaraj się o coś, a w takim razie troskę o Mieczysława sama wezmę na siebie.

W gabinecie zrobiło się jeszcze ciemniej. A kiedy podniosłem oczy na Ewcię i na amarantowym tle aksamitu spostrzegłem, że ma siwe włosy, nagle przypomniałem sobie moją matkę — i pierwszy raz w życiu pomyślałem, że Ewcia robi na mnie wrażenie ś. p. matki.

— Spełnię, co każesz, Ewciu — odpowiedziałem, całując ją w rękę. Znalazłszy się w moim pokoju, rzuciłem się na szezlong, aby podumać. „Naturalnie, że Ewcia ma rację — mówiłem sobie. — Choćby dla dania przykładu Mieczysławowi (który w ostatnich czasach zaczął coraz częściej pożyczać ode mnie pieniędzy), muszę zająć jakieś stanowisko i pozyskać tytuł. Tembardziej, że od wielu lat jakieśkolwiek stanowisko jest moim marzeniem...”

Tu przerwał się potok myśli. Zasnąłem. A gdym się obudził, byłem już tak zdecydowany na zajęcie stanowiska, że postanowiłem — kazać zrobić mój portret.

Niepodobna, ażebyś pan przed pięcioma laty nie zauważył na wystawie sztuk pięknych portretu mężczyzny w sile wieku, z białą, krótko ostrzyżoną brodą, a cerą dwudziestolatka. Tłumy, szczególnie kobiet, zatrzymywały się przed nim, i nieraz słyszałem uwagi:

— Patrz, jaka to czerstwa cera...

— Jakie żywe oko...

— Prześliczny starzec!

To, panie, był mój portret, ukończony w miesiąc po stanowczej rozmowie z Ewcią. Muszę jednak dodać, że — starcem nazywają mnie kobiety tylko dla przekomarzania się. Czują bowiem i one we mnie, i ja sam w sobie młodość od stóp do głów; przedwczesna zaś siwizna niczego nie dowodzi,

ponieważ jest w naszej rodzinie dziedziczną. Mój ojciec już w pięćdziesiątym siódmym roku życia był siwy, syn (młokos!) znalazł kilka białych włosów, a nawet Ewcia, jak to nadmieniałem, osiwała również przedwcześnie.

II

Może za wiele piszę o sobie; wybacz pan, ale to tak miło rozpamiętywać swoje, choćby skromne zasługi, szczególnie wówczas, gdy człowiek ma obandażowaną nogę.

Nim zakomunikuję panu właściwą prośbę, muszę choć pokrótce wspomnieć o tem, jak pracowałem nad zdobyciem stanowiska w społeczeństwie, a także o tajemniczych wypadkach, które wplątały się do moich usiłowań.

Ostrzegam, że nie jestem przesądny i w cuda nie wierzę; owszem — jestem raczej sceptykiem. Mimo to, historia mego kija, którą zaraz opowiem, przekonała mnie, a może przekona i pana, że — są rzeczy na ziemi, o jakich nie śniło się filozofom.

Przedewszystkiem zobacz pan, jak zrobiłem znajomość z moim kijem.

Chodząc ulicami, mam zwyczaj spoglądać w okna sklepów. W ten sposób można zapoznać się z jakąś przystojną sklepową, upatrzeć tani prezent dla jakiejś cnotliwej i niewymagającej dziewczyny, a w najgorszym razie — można przejrzeć się w szybie, jak w lustrze. Nie jestem pyszałkiem, wyznam jednak, że lubię moją fizjognomję, a nie znoszę nieporządku w ubraniu. Podwinięty kołnierz, źle zapięty krawat, albo, broń Boże! plamka na klapie surduta, na cały dzień mogą mi zepsuć humor.

Podczas jednej wędrówki, zauważyłem w oknie sklepu tokarza — bardzo ładną twarzyczkę. Zatrzymałem się, zacząłem udawać, że przypatruję się laskom, fajkom, szachom i dominom, rzucając jednak słodkie spojrzenie na piękną sklepową.

Nieznajoma dostrzegła oznaki mojej życzliwości, a nawet uśmiechnęła się znacząco. I właśnie, gdy podnosiłem rękę do kapelusza, aby złożyć jej ukłon, osłupiałem...

Między laskami w oknie była jedna czarna, posiadająca zamiast gałki — rzeźbioną główkę murzyna. Prawdziwego murzyna z czarną cerą, białymi zębami, ciemnowiśniowemi wargami, a nadewszystko — ze szklanemi oczyma, które, lubo trochę rozbiegnięte, zdawały się mieć pozór życia i myśli.

Otóż, w chwili gdy podniosłem rękę do kapelusza, aby ukłonić się pięknej sklepowej, spostrzegłem ze zdumieniem, iż rzeźbiony na lasce murzyn patrzy mi w oczy i — śmieje się na całe gardło. Przechylił się wtył, jakby miał upaść, szeroko otworzył grube usta i śmiał się ze mnie, no, ale tak, że gdyby był żywym człowiekiem, choćby murzynem, musiałbym zażądać od niego wyjaśnień.

Nim otrząsnąłem się z przykrego wrażenia i przypomniałem sobie, że bądź co bądź jest to tylko rzeźbiona laska, sklepowa znikła.

Od tej pory często przechodziłem obok sklepu. Nieznajomej już w nim nie było, ale zato kij z gałką w formie murzyna nabierał coraz więcej życia i wyrazu. Niekiedy zdawało się, że pochylony na prawo, rozmawia z laską, mającą na wierzchołku głowę starca. Innym razem, pochylony na lewo, zdawał się drwić z kija, zakończonego końskim kopytkiem. Czasami zwracał grube wargi do zawieszanej obok cygarnicy, jakby chciał zaciągnąć się dymem papierosa. A kiedyindziej znowu zdawało się, że — mnie poznaje.

Wówczas, albo pochylał się do mnie, jakby kłaniając się, albo przykładał usta do szyby (może chciał mnie pocałować?), albo obrażony moją dla niego obojętnością, stał sztywnie i patrzył gdzieś na drugą stronę ulicy. Nigdy nie używałem laski; idąc, trzymałem zwykle w prawej ręce rękawiczkę, i to mi wystarczało. Jednakże około sześćdziesiątego roku

życia przyszła mi chęć sprawienia sobie kija. Nie dlatego bynajmniej, ażeby się podpierać, bo tego nawet dziś nie potrzebuję, ale — uważałem, że z kijem w ręku będę wyglądał poważniej.

Doszedłem nawet do wniosku, że trzymanie złożonej rękawiczki stosowne jest dla mężczyzny tylko między dwudziestym a trzydziestym rokiem. Pomimo tych uwag, nie wiem jak długo jeszcze decydowałbym się na kupno laski, gdyby nie okoliczność, że — zostałem członkiem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

„Jużci — pomyślałem — zwierząt nie można protegować bez kija.” — I postanowiłem kupić sobie ów kij z główką murzyna.

Nie wiem dlaczego, wchodząc do sklepu tokarza, uczułem nieco przyspieszoną pulsacją. Spoglądam za kontuar — niema pięknej sklepowej; miejsce jej zajmuje jakiś zatabaczony jegomość w okrągłych okularach. Patrzę na okno... Niema mego murzynka!...

— Gdzie pan ma tę laskę z głową murzyna? — spytałem tokarza. — Chcę ją kupić.

— Murzyna? — spytał. — A to dziwny traf! Niema kwadransa, jak kupił go jakiś pan. Ale znajdę dla pana dobrodzieja coś stosowniejszego: kij z dużą gładką gałką...

— Dziękuję panu — odparłem i opuściłem sklep prawie z żalem.

Już mi nawet laski zaczynają porywać z przed nosa!

Co pan jednak powiesz?... Przechodzę obok sklepu na drugi dzień i — w oknie widzę znowu mego murzynka. Pochylił się tak, że o mało nie rozbił szyby głową, i zdawał się szeptać do mnie z najwyższym niepokojem:

— Chodźże tu prędko, bo mnie jeszcze kto złapie... Naturalnie wpadłem do sklepu, wołając:

— Jest murzyn!...

— A jest — odparł tokarz — i co za dziwny traf! Wczoraj, w pół godziny po pańskim wyjściu ze sklepu, ten pan, który kupił murzyna, odniósł go napowrót i wymienił na kij z dziobem żórawia.

— Co kto lubi — odparłem. — Ileż pan chce za tego djabła?

— Niech będzie dwa ruble — rzekł tokarz.

Zapłaciłem dwa ruble, i od tej pory nie rozdzielamy się z moim murzynkiem. Jeżeli się zaś kiedy rozdzielił z nim, to on zawsze sam do mnie wracał, nabawiając mnie przytem mnóstwa kłopotów.

Jak już powiedziałem, nie jestem przesądny; myślę jednak, że w moim kiju pokutuje jakiś zaklęty djabeł, który nabrał do mnie osobliwej sympatji.

Posłuchaj pan bowiem, co mi spłatał zaraz w kilka dni po przejściu na moją własność.

Zapomniałem dodać z początku, że jestem dość żywego usposobienia, ale łagodny. Pokłóciłem się z ludźmi parę razy, ale nie pamiętam, ażebym kogo uderzył, rozumie się — do chwili kupienia sobie fatalnego kija z murzyńską głową.

Tymczasem od dnia, w którym zamiast złożonej rękawiczki począłem nosić laskę, opanowała mnie jakaś dzika werwa. Idąc przez ulicę, bezświadomie ścisnąłem kij, a ściskając, z grzeszną satysfakcją myślałem... żeby nim kogo obłożyć!... jak przystało na członka Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

Otóż we trzy czy cztery dni po zrobieniu sobie nieszczęsnego sprawunku, idę Nowym Światem. Idę wyprostowany, silnym krokiem, i nagle uważam, że około mnie poczyna kręcić się jakieś dwuznaczne indywiduum, które w dodatku bezczelnie zagląda mi w oczy.

„Złodziej — myślę. — Ależ dam ci, jeżeli mnie zaczepisz...”

W tej chwili, jakby na komendę, szarpie mnie ktoś za kieszeń. Odwracam się i widzę tego samego faceta z najniewinniejszą w świecie miną, jakby nigdy nic.

„Ach! hultaju!” — myślę sobie. Krew uderzyła mi do głowy, i machnąłem kijem naoslep.

— Jezus Marja! — wrzasnęło podejrzone indywiduum. — A za cóż mnie wielmożny pan tak uczcił?...

— Kto jesteś, łotrze jakiś? — zawołałem, chwytając go za rękę.

— Cóżto, wielmożny pan nie poznaje mnie?... Przecie jestem Paweł, lokaj od pana Biedrzyńskiego... A pan mnie tak uszlachcił, że mi ledwo łeb nie pęknie.

Przypatrzyłem mu się uważniej... Prawda, to jest Paweł, lokaj od Biedrzyńskiego!

— Czegożeś się tak skradał, gamoniu?

— Bo mam list do wielmożnego pana od mego pana... O święty Józefie!...

— Więc czegożeś mi odrazu nie powiedział?

— Com miał gadać, kiedy wielmożny pan zyrkał na mnie z pod oka, jakby na złodzieja.

Naturalnie dałem biedakowi trzy ruble, i wnet uspokoił się. Swoją drogą otoczył nas tłum gapiów, i na ich żądanie musieliśmy pójść obaj do cyrkułu. Tam spisano ze mnie protokół, a na drugi dzień „Kurjer Poranny” ogłosił całe to zdarzenie i jeszcze zrobił ze mnie warjata!

Ile z tego powodu wysłuchałem od Ewci!... Nie mam nawet odwagi powtarzać. Już wówczas zacząłem podejrzewać świeżo kupioną laskę o fatalny wpływ na moje losy; ale gdym spojrzał na głowę murzynka i zobaczył jego minę zafrasowaną, a nawet przestraszoną, wzruszyłem ramionami.

„Co za nierozsądek przypisywać czarodziejskie wpływy kawałkowi drewna? — rzekłem do siebie. — Wprawdzie głupstwo się stało, no, ależ kij temu nie winien. Owszem, okazał on dużo hartu w tem brzydkim zajściu.”

Nie potrzebuję dodawać, że po takiej awanturze stanowczo zniechęciłem się do obowiązków członka Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Żadne stanowisko, żaden tytuł, ale zato ciągle włóczenie się po cyrkułach z furmanami, którzy dręczą konie. Mam już dosyć cyrkułów.

Zapytasz pan: jaki u licha związek może mieć rola opiekuna zwierząt z pobiciem lokaja od Biedrzyńskiego?

Czy ja wiem, panie?... Ten związek, ztem się zniechęcił do opieki. W podobnych zaś wypadkach nie mam zwyczaju rozumować, ale idę za głosem przeczucia.

Ale, ale!... Zapomniałem opowiedzieć, kto jest Biedrzyński i jaka była treść listu, który w tak przykrych warunkach doręczył mi jego Paweł. Będę zwięzłym. Człowiek może mieć i nawet miewa dużo kochanek, ale przyjaciela — tylko jednego. Biedrzyński (ale Teofil Biedrzyński, bo znam ich kilku) jest takim moim przyjacielem.

Na stosunku naszym potwierdza się przysłowie, że przyjaźń możliwą jest tylko między ludźmi wprost przeciwnego charakteru. Istotnie, on i ja, jesteśmy dwoma kontrastami.

On — stary kawaler, ja — żonaty; on wiecznie słaby i kwękający, ja mam aż za dużo sił; on brzydki, jak Mefistofeles, ja... Jaki ja jestem, najlepiej ocenił to sam Teofil, który ciągle mnie namawia, ażebym jechał do Krakowa i pozował Matejce do jakiego historycznego obrazu na senatora, hetmana, albo na króla!...

Muszę też dodać, że kiedy Teofil tak nie lubi kobiet, iż więcej widzi w nich złego, niż na to zasługują, ja tak je lubię, że zamykam oczy nawet na istotne wady. Dla dopełnienia zaś istniejących między nami sprzeczności, ja wciąż tęsknię do jakiegoś stanowiska i tytułu, jemu zaś najdoskonalej wypełnia życie jego kamienica, pobieranie czynszu od lokatorów, albo wytaczanie im procesów.

Nie uchybię memu przyjacielowi, gdy jeszcze raz powtórzę, iż nie należy on do pięknych mężczyzn. Mały, chudy, ma żółtawe oczy i rysy drapieżnego ptaka. Ludzie, nie znający go, widzą w nim typ lichwiarza; w istocie zaś Biedrzyński większą część swego dochodu obraca na spłacanie poręczeń za długi, które zaciągnęli inni.

A jaka to prosta i uczciwa natura!...

— Proszę cię, dlaczego ten Fitulski nie kłania mi się na ulicy i jeszcze rzuca na mnie oszczerstwa?

— Cóż on mówi?

— Mówi: „Ja go znam!...” albo: „To jest ziółko!...”

— Pewnie dlatego, żeś za nim poręczył.

— Ależ ja to, com poręczył, najpункtualniej spłacam. Więc czego on chce?

— Właśnie to mu robi przykrość.

— Nie rozumiem — mówi Teofil.

— Ach! ty niczego nie rozumiesz! Przypomnij sobie przysłowie: „Chcesz mieć wroga, pożycz mu pieniędzy.”

— Nie rozumiem... Ja przecież nie pożyczyłem mu, tylko za nim poręczył.

— No, daj mi już spokój — przerwałem.

Mój kochany Teofil nigdy tego nie zrozumie.

Nadomiar jest on dziwnie łatwowierny, co stawia go nieraz w fałszywej pozycji. Była przecie nawet w naszych stosunkach taka epoka, że mi Bóg wie jakie o nim myśli przechodziły przez głowę.

Zajmuje się on gorliwie polityką, czyta wszystkie możliwe i niemożliwe gazety (odcyfrowuje nawet szpalty zamazane tuszem!) i z całego świata zbiera pogłoski. Niema chyba w Warszawie człowieka, któryby tyle co on wytworzył kombinacyj politycznych i co roku nie spodziewał się wojny.

— Zobaczysz — mówił każdej zimy — co będzie...

— Na wiosnę? — przerywam, śmiejąc się.

— Kto dziś wierzy w wiosnę!... Ale w czerwcu, albo w początkach lipca...
Zobaczysz.

Otóż przed kilkoma laty był taki miesiąc, iż mój przyjaciel, oprócz własnych politycznych kombinacyj, począł mi znosić takie wiadomości, że mi od nich stawały włosy na głowie. Opowiadał mi, z miną tajemniczą i uroczystą, o jakichś nowych przymierzach, wojnach, konstytucjach i spiskach, cytując zawsze bardzo poważne źródła. Powieści swoje zaczynał zwykle w taki sposób:

— Dowiedziałem się dziś, przez trzecie osoby, od konsula niemieckiego...

Albo: — Słyszałem dziś, wprowadzie pośrednio, ale od generała żandarmerji...

Niekiedy aż cierpłem. Gdym go zapytał: przez kogo odbiera podobne wiadomości, które w dodatku nigdy się nie sprawdzają? — podnosił w górę brwi i ramiona i odpowiadał:

— Nie mogę nawet ciebie objaśnić, dałem słowo...

Byłem pewny, że marnie zginie wśród nowych swoich stosunków, i dopiero wypadek przekonał mnie o źródle informacji Teofila.

Pewnego dnia zaprosił mnie Biedrzyński do restauracji, gdzie jadał od lat kilku. Wszedłszy do salonu, siedliśmy przy wspólnym stole, zajęтым już przez grono młodych ludzi, o ilem zauważył, bardzo wesołych, ale trochę złośliwych.

Ledwie nam podano kartę i nakrycia, młodzi ludzie zaczęli między sobą szeptać w sposób, który wydał mi się demonstracyjnym.

— Może panom przeszkadzamy?... — zapytałem nieco zirytowany.

— O nie!... Bardzo prosimy!... Miło nam widzieć panów między sobą...

I znowu szepty, z których, pomimo że usiłowałem nie słyszeć, wpadły mi w ucho wyrazy: „Alfons... Bismarck... detronizacja...”

Mnie, wyznaję, cicha ta rozmowa wydała się nieprzyzwoitą. Ze zdziwieniem jednak spostrzegłem, że Teofil jest nią zaciekawiony w wysokim stopniu. Słuchał, patrzył im w oczy, kręcił się i co chwilę pytał:

— Co? co?... bo dobrze nie słyszę... A o mojego kolegę możecie być spokojni... To zacny patrijota, pan Ludwik Wesołowski.

Ognie uderzyły mi na twarz, kiedym usłyszał podobną rekomendacją. Zmieszałem się jak sztubak, jakbym stał wobec Ewci; to też bez najmniejszego protestu ścisnąłem wyciągnięte do mnie ręce młokosów, których nawet nazwisk nie pamiętam.

Przysięgłem sobie, że już noga moja nie postanie w tem towarzystwie; Teofil zaś, jakby nic nie zaszło, wciąż pytał:

— Więc co?... więc co Bismarck?...

— Nic... głupstwo! — mówił jakiś blondyn, z fizjognomią, która nie zdradzała wielkiego szacunku ani dla mnie, ani dla Teofila. — Prawie nic... Mówiono tylko w konsulacie, że Bismarck chce detronizować Alfonsa hiszpańskiego.

— Nie rozumiem. Naco mu to?... — pytał natarczywie Teofil.

— No, jakże naco? W Hiszpanji rewolucja... potem republika... Unja z Francją, potem z Włochami... Związek rzeczypospolitych romańskich...

— Nie rozumiem... Co Bismarckowi po unji romańskiej?

— Co?... Chce wywołać powszechną wojnę i zabrać dziesięciomiljardową kontrybucją. To takie jasne, panie, takie jasne...

— Teofilu — szepnąłem — pieczeń ci wystygnie.

— Lubię zimną — odparł mój przyjaciel. — A z miejscowych wiadomości nic nie słyhać?

— Będzie dobrze! — odparł blondyn, podnosząc w górę widelec.

— Żartuje pan — westchnął Biedrzyński.

— Słyszałem to wczoraj z ust pułkownika żandarmerji.

— Pułkownika?... — powtórzył Teofil, kierując czerwone ze wzruszenia ucho w stronę mówcy.

— Tak. Leczę jednego kapitana żandarmerji na kamień. Wczoraj był u niego, przy mnie, pułkownik i spytał się: czy kamień już wyszedł?

Odpowiadam, że jeszcze nie, ale za tydzień, to z pewnością — także nie wyjdzie.

Wtedy pułkownik ścisnął za rękę kapitana i powiedział: „Będzie dobrze...”
Słyszałem to na własne uszy.

— Figlarz z doktora! — rzekł z uśmiechem mój przyjaciel. — Ale tak naprawdę, co słyhać?

Podniosłem się z krzesła.

— Przepraszam cię, Teofilu — odezwałem się — ale... wyjdźmy stąd.

— Chory jesteś? — krzyknął Teofil. — Mamy doktora...

— Dziękuję ci, leczę się homeopatią... Tylko wyjdźmy...

Zerwał się i, nawet nie płacąc rachunku, wybiegł za mną na ulicę.

— Mój drogi — rzekłem mu — ci panowie kpili sobie z nas.

— Ale gdzieżby znowu!... Przecież to moi przyjaciele...

— Twoi, ale nie moi — odparłem. Szliśmy dalej w milczeniu.

— Wiesz co — nagle odezwał się Teofil — ja sam nieraz myślę, że oni z tą polityką trochę blagują. Ale swoją drogą doskonale chłopaki! Nigdy nie mam takiego apetytu, jak w ich towarzystwie. Pomartwią człowieka, nastraszą, rozweselą, obudzą nadzieję — i... i jakoś lepiej trawi się obiad. Nie mam do nich pretensji.

Takim jest Biedrzyński, człowiek anielskiego serca, pomimo krogulczej fizjognomji.

Otóż list, za który jego biedny lokaj dostał kijem (dziś jeszcze wstyd mi!), pochodził od Biedrzyńskiego. Teofil radził mi, w sposób naglący, ażebym zapisał się na członka Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, dodając, że niedługo odbędą się wybory, i że przy pomocy jego (Teofila) i jego przyjaciół, mogę zostać członkiem zarządu, lub choćby komisji rewizyjnej. Donosił też, że sam leży w łóżku, gdyż ma katar.

Projekt ten podobał mi się. Jużci lepiej tytułować się: członkiem zarządu, aniżeli opiekunem zwierząt. Naturalnie zaraz pojechałem do cierpiącego Teofila, i ułożyliśmy plan kampanji.

Odbyła się ona akurat w tydzień później, w Resursie Obywatelskiej, na zgromadzeniu ogólnem.

Gdyśmy weszli do dużej sali, było w niej już paruset mężczyzn, siedzących na ławach i krzesłach, jak w parlamencie. Niektórzy z tych panów rozmawiali o teatrze, albo o cenach zboża, jeden drzemał, jeden piłował sobie paznogie, a jeden (o ile mogłem wyrozumieć) dowodził płaczkliwym głosem, że skutkiem niedołęstwa, czy złej woli zarządu, Towarzystwo musi zbankrutować, ponieważ w sprawozdaniu budżetowym znajduje się omyłka, wynosząca dwa ruble i siedemnaście kopiejek.

— Któż zaś nam zareczy, panowie! — biadał dalej mówca — czy na rok przyszły cyfra ta nie posunie się o kilka miejsc wyżej i nie spowoduje omyłki o dwieście tysięcy, lub nawet o dwa miliony rubli?...

Po tych słowach obecni zaczęli bardzo hałasować, a najbardziej — siedzący przed nami otyły olbrzym. Był to człowiek w moim wieku z najeżonemi wąsami i fizjognomją tygrysa. Odpowiadając poprzednikowi, boleśnie udeptał swego sąsiada w nagniotek, Biedrzyńskiego trącił w piersi krzeselkiem, i nie pytany ani upoważniony, krzyczał ogromnym głosem, że w tem zgromadzeniu nikomu ufać nie można, ani oponentom, ani zarządowi.

Wiele czasu upłynęło, zanim dzwonek uspokoił zamieszki. Niektórzy, ziewając, zaczęli już wychodzić. Wtedy Biedrzyński pobiegł do prezydjalnego stołu i coś poszeptał z siedzącymi za nim dygnitarzami. Mimowolnie westchnąłem, pomyślawszy, jak poważnie wyglądałbym za takim stołem...

Niebawem wrócił do mnie zadyszany Teofil, wołając:

— Mów, mów!... masz głos. Podałem cię na kandydata. Jednocześnie prezydujący wezwał mnie do zabrania głosu.

Gdym powstał, jegomość z najeżonemi wąsami odwrócił się do mnie z krzesłem, i patrząc mi w oczy, zapytał Teofila:

— Cóż to za nowy Demostenes?

Odgadłem, że będzie to przeciwnik mojej kandydatury do zarządu, lub przynajmniej do komisji rewizyjnej. Gniew zakipiał we mnie, ale

jednocześnie uległem natchnieniu i postanowiłem zaimponować moim oponentom — wymową.

— Panowie! — rzekłem. — Wprawdzie w tem szanownem zgromadzeniu jestem człowiekiem nowym i nieznanym i, że tak powiem, jedną nogą jeszcze stoję wśród tej szerokiej publiczności, która stanowi ogół. Mam więc, zda mi się, prawo, w imieniu tej publiczności, w imieniu narodu, podziękować zarządowi za jego uczciwą pracę...

— Ciekawym, kto go upoważnił do przemawiania w imieniu narodu? — zawołał jegomość z tygrysią twarzą. Potem ziewnął mi w sam nos i hałaśliwie wyszedł z sali.

Nieprzyzwoity ten postępek obecni skarcili wybuchem śmiechu. Byłem jednakże tak zirytowany, że — nie mogąc mówić dłużej — usiadłem.

— Pysznie zacząłeś! — szepnął Teofil. — Mów śmiało dalej.

— Ani myślę — odparłem. — Kto jest ten grubjanin, który mi przerwał?

— Steinberg, pułkownik pruskich dragonów — objaśnił Teofil. — Trochę zawadzaka, ale w gruncie dobry człowiek.

Chciałem biegnąć za pułkownikiem pruskich dragonów i wyzwać go na pojedynek. Ale zatrzymał mnie Teofil, do głosowania. Rzuciliśmy obaj kartki z nazwiskami naszych kandydatów, a gdy obliczono rezultat, okazało się, że — Teofil dostał jeden głos do komisji rewizyjnej, a ja także jeden do zarządu.

Usłyszawszy to, obecni znowu wybuchnęli śmiechem, co skłoniło mnie i Biedrzyńskiego do opuszczenia sali. Byłem wściekły i przysięgłem natychmiast wykreślić się z Towarzystwa.

Długo czekaliśmy w kontramarkarni, zanim po wielu krzykach i omyłkach, wydano nam rzeczy.

Któż jednak opisze złość, w jaką wpadłem, przekonawszy się, że mi wzięto nowe kalosze, a zostawiono stare, i... że zamiast mego murzynka, oddano mi jakąś laskę hebanową z psim łbem...

Murzynek mój zginął! Wróciłem późno do domu i całą noc nie mogłem zmrużyć oka, w części z powodu awantur na wczorajszym zebraniu, w części — z żalu za kijem, do którego się przywiązałem.

Wtem, około południa, służący oddaje mi kopertę, w której znalazłem bilecik z nazwiskiem: Pułkownik Jan Steinberg, z następnymi słowami: „Odsyłam pańską łaskę, prosząc o zwrot mojej, hebanowej.”

Istotnie zgubiony murzynek wrócił do mnie, ale w takich warunkach, że nawet nie mogłem się z niego ucieszyć. Jakto, więc ten awanturnik, Steinberg, naprzód sam zamienił mi łaskę, a następnie przysłał mi impertynencki bilet?... Poczekaj!

Siadłem i na swoim bilecie odpisałem:

„Odsyłam hebanową łaskę, a zarazem stare kalosze, prosząc o zwrot moich, nowych.”

Szczerze byłem kontent z tej zwięzłej i energicznej odpowiedzi. Uczucia moje jednak szybko zmieniły się, gdy w godzinę później zgłosili się do mnie jacyś dwaj panowie, a wraz z nimi lokaj z pakietem.

Panowie przedstawili mi się, a jeden rzekł:

— Pułkownik Steinberg twierdzi, że pan posądził go o rozmyślną zamianę kaloszy. Stanisławie — zwrócił się do służącego z pakietem — pokaż kalosze pułkownika.

Wydobyto kalosze. Były one tak ogromne, że słoń mógłby w nich chodzić. Były z cholewami, a wewnątrz z cyframi Steinberga.

— Tak — rzekłem — to nie są moje kalosze. Przeszliśmy do gabinetu, a jeden z dwu panów znowu zabrał głos:

— Więc przyznaje pan, że nadesłane kalosze nie są pańską własnością?

— To przecie jest widoczne.

— I gotów pan przeprosić pułkownika za wyrządzoną mu obelgę?

— Ani myślę! — zawołałem z gniewem.

— W takim razie da mu pan satysfakcją z bronią w rękę.

— I owszem — odparłem. — Pan Steinbok...

— Steinberg — poprawił jeden z przybyłych.

— Wszystko jedno — rzekłem cały drżący. — Pan Steinberg tyle razy obraził mnie, że, bez względu na mój poważny wiek, będę się z nim strzelał. Muszę...

— Czekamy więc pańskich sekundantów — odpowiedzieli ci panowie (a może tylko jeden z nich) i ukłoniwszy się uroczyście, wyszli.

Zaraz pojechałem do Teofila, z nim do starego majora Wilczyńskiego, który miał być drugim moim sekundantem, i posłałem ich pod wskazany adres.

Późno wieczorem wpadł do mnie Biedrzyński. Nigdy nie widziałem go w stanie tak podnieconym. Zbudził się w nim nie tylko duch rycerski, ale nawet okrucieństwo.

— Wiesz? — mówił machając pięściami — przyjęliśmy wszystkie warunki! Niech djabli porwą!... Może przynajmniej ty nauczysz rozumu tego dragała. Będziecie się strzelać pojutrze.

— To... to już nieodwołalny termin? — spytałem.

— Już podpisaliśmy protokół. Marsz do barjery, każdy strzela po dwa razy. Jeżeli ci dobrze pójdzie, z pewnością na przyszłych wyborach zostaniesz członkiem zarządu, bo tego Steinberga nikt nie lubi. No, dobranoc ci, mój złoty!...

Pożegnał mnie rozpromieniony. Późno ległem spać, i przez całą noc śniło mi się, że spadam z wysokości. Nigdy się tak nie zmęczyłem we śnie. Nazajutrz znowu odwiedził mnie Teofil.

Doniósł mi, że już są dobre pistolety i chirurg, ale zauważyłem, że trochę stracił werwę.

— Głupi interes — mówił. — No, ale trudno... Musimy się strzelać...

— Może... — odezwałem się — może sądzicie, że powinienem zrobić jakiś krok?

— Nigdy! — zawołał Teofil. — Właśnie mówiliśmy o tem z majorem. Jeżeli zgoda jest możliwą, to tylko na placu, gdy przejdiesz do mety, nie strzelając za pierwszym razem.

— A... a jeżeli on...

— Przeprosi cię? Nie, on tego nie zrobi!

— Domyślam się. Ale... jeżeli on wystrzeli, nim dojdziemy do mety?

— O to bądź spokojny — rzekł Teofil. — On z pewnością będzie cię przetrzymywał... To wściekłe zwierzę, nie człowiek.

Uczułem taki dreszcz w wargach, że musiał ścisnąć zęby. — Więc — odezwałem się po chwili — możeby zrobić jakiś krok pojednawczy?...

— Teraz nigdy, skompromitowałbyś się. Na pojednanie jest zawsze czas, więc najlepiej zrobić to na placu, po przyjsciu do barjery bez wystrzału.

Tak robią wszyscy dżentelmeni.

Uściskał mnie i wybiegł zamówić dwie karety. Drugą — „na wszelki wypadek...”

— Bodaj was pioruny zatrasły! — mruknąłem, gdy już był za drzwiami.

— Czego u diabła ten Biedrzyński jest taki nieugięty na punkcie honoru, gdy chodzi o mnie? Ja powinienem być nieugięty, a do niego należy mitygować.

Nie powiem, żebym się bał, albo żeby rady mojego przyjaciela nie były słuszne. Ale jego zaciętość gniewała mnie; bo im więcejby zachęcał do zgody, tem mocniej oburzyłby mnie na Steinberga i podniecił do walki. W dzień pojedynku byłem spokojny jak nigdy. Nie mogłem wyobrazić sobie, ażeby sprawa między dwoma ludźmi poważnymi, w towarzystwie czterech innych ludzi poważnych, miała zakończyć się tragicznie.

Irytowałem się tylko zapasowe kareta, którą mój przyjaciel ciągnął za nami na plac.

Bądź co bądź, około południa znaleźliśmy się wszyscy na polu walki, w pewnym zamiejskim parku.

Ukloniliśmy się naszym przeciwnikom, oni nam, i spojrzałem po fizjognomjach. Steinberg sapał jak byk, Biedrzyński był blady i co chwilę biegał między drzewa; ja zaś (mówię to bez przechwałek) czułem się zupełnie spokojnym. Spokój ten; przeszedł nawet w dziwną apatię, gdy usłyszałem stukanie nabijanych pistoletów.

Świadkowie wybrali plac na łączce, otoczonej gęstymi drzewami.

Wymierzyli odległość i na barjerze z mojej strony wbili w ziemię murzynka. Był on zwrócony twarzą do mnie, i teraz dopiero spostrzegłem, że mu wypadło jedno oko...

„Gdzie mogło podziać się to oko?” — myślałem.

Postawiono nas na metach, dano w ręce pistolety, i stary major zaczął coś mrużyć pod nosem. Ale co? — nie rozumiałem.

„Gdzie mój murzynek podział oko?” — snuło mi się po głowie.

W tej chwili przybiegł do mnie Teofil.

— Nie strzelaj za pierwszym razem. Na barjerze proponujemy zgodę — szepnął.

— Wszystko mi jedno.

— Baczość! — odezwał się sekundant Steinberga zakatarzonym głosem.

I po chwili dodał:

— Drugi strzał w dziesięć sekund po pierwszym... Panowie awansują...

Marsz!...

Machinalnie ruszyłem z miejsca, lecz spojrzawszy na mego murzynka, nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Hultaj miał taką minę, jakby, przymrużywszy jedno oko, celował do mnie z błazeńskimi grymasami.

W tej chwili usłyszałem przykry świst koło ucha.

Podniosłem oczy. O kilkanaście kroków przede mną stał gruby Steinberg, otoczony obłokiem niebieskawego dymu.

— Jedna sekunda!... dwie sekundy!... trzy sekundy!... — wrzeszczał zakatarzony tenor.

— Strzelaj, Ludwiku! — wołał Biedrzyński.

— Ognia!... pal! — komenderował major. Zacisnąłem pięść, w której tkwił pistolet. Szarpnęło, huknęło, poczułem zapach siarki...

— Zuch dziad! Jeszcze mógłby służyć w dragonach! — krzyknął wielkim basem Steinberg, ująwszy się pod boki.

Przypadli do nas świadkowie i doktorzy, a Teofil z płaczem rzucił mi się na szyję:

— Nie wiedziałem, że jesteś taki bohater!... — szlochał.

Milcząc, uścisnąłem go: zdawało mi się, że w tym uścisku obejmuję całą ludzkość.

W tej chwili zbliżył się Steinberg; zgniół mi rękę swoją ogromną łapą i z grubjańskim śmiechem zawołał:

— No, stary, daj pyska!... Mowami swojemi możesz sobie — zapalać fajkę, aleś zuch... Kiedyś mi się roześmiał przy barjerze, chciałem ci w łeb palnąć. Nieszczęściem, za dużo piję i grywam w bilard, więc mi drgnęła ręka... Daj pyska z drugiej strony!

Ucałowałem go grzecznie, ale bez zapału. Nie jestem faryzeuszem, aby twierdzić, że robią mi przyjemność karesy człowieka, który przed minutą godził na moje życie.

Przytem, jaki niesmaczny koncept nazywać mnie dziadem!...

Świadkowie zapakowali pistolety, chirurgowie swoje narzędzia (jeden z nich, wysoki i kędzierzawy blondyn, ostentacyjnie wkładał w futerał kleszcze położnicze), i — zabraliśmy się z powrotem do naszych karet.

Już widać było za zielonemi krzakami czarne pudła powozów i lakierowane kapelusze woźniców, kiedy nagle — stanąłem.

— Gdzie mój kij?... Znowu zgubiłem murzynka!...

— Pewno został na mecie — odezwał się sekundant Steinberga.

— Pal go diabli! — zawołał Steinberg. — Idźmy, panowie, do Stępka, bom okrutnie głodny.

— Natychmiast was dogonimy — odparłem, zawracając ku łączce. Teofil przyłączył się do mnie.

— Daj spokój — mówił — nie warto tracić czasu dla tak brzydkiego kija. Dam ci w prezencie lepszy.

Nie odpowiedziałem mu, lecz przyśpieszyłem kroku. Jakto, miałbym wyrzec się murzynka, który wywołał ten sławny pojedynek i tak dzielnie sekundował mi przy barjerze?... Nigdy!

Nie doszedłszy do łączki, zetknęliśmy się z kilkoma chłopami i małym pastuszkim. Chłopiec trzymał w ręku murzynka.

— Moja laska! — zawołałem.

Chłopi stanęli, a jeden odezwał się:

— To panowie strzylali po parku?

— Śni ci się, człowieku! — zawołał Teofil i nieco pobladł.

Wystąpiłem naprzód.

— Ten pan nie strzelał — rzekłem do chłopów, wskazując na Biedrzyńskiego — tylko ja. Miałem pojedynek.

— No, to pan zapłaci za krowę — odparł chłop.

— Za jaką krowę?

— A za tę, co ją pan ubił. Piankne było bydlę, warte ze sto rubli.

Naturalnie poszliśmy do krowy, która nie była zabita, tylko raniona w łopatkę. Znalazła się nawet kula, którą przy nas najstarszy chłop wyjął z poza skóry zwierzęcia tępym kozikiem.

Targ w targ, daliśmy chłopom sześć rubli za krowę, pastuszkowi dwadzieścia groszy za znalezienie mojej laski, a w godzinę później u Stępka piliśmy ze Steinbergiem bruderszaft.

Przy tej okazji Teofil zrobił awanturę, i dopóty wyzywał na pojedynek najmłodszego subjekta, dopóki nie spadł z krzesła i nie zasnął na podłodze. Chciałem go przenieść na kanapkę, ale sił mi zabrakło; zresztą całą uwagę zaprzętał mi murzynek i rozstrzygnięcie pytania: czy mój kij jest dla mnie pożyteczny, czy szkodliwy? Że bowiem wpływał na moje losy, było aż nadto widocznem.

Gdy wróciwszy do domu, opowiedziałem Ewci o pojedynku, żona zrobiła mi scenę, krótką, ale nadzwyczajną.

— Pojedykował się?... Tak, musiałeś; to było twoim obowiązkiem...

W następnej jednak chwili dostała serdecznego płaczu, a zawoławszy Mieczysława i młodszą córkę Ludkę, najprzód nakazała obojgu, aby mnie w sprawach honorowych naśladowali, a potem uklękła przed Miecciem i zaklęła go, ażeby nigdy nie pojedykował się, jeżeli nie chce wpędzić jej do grobu.

I do dziś dnia nie wiem, drogi panie, czy, według opinii mojej żony, zrobiłem dobrze, czy źle z tym pojedynkiem... Raz bowiem mówi mi Ewusia, że strzelać się miałem obowiązek (szczególne obowiązki, notabene w małżeństwie!), a innym razem nadmienia, że do śmierci nie zapomni mi pojedynku...

Mądry, kto z kobietami dojdzie ładu!

Mylisz się pan jednak, sądząc, że na tem kończą się piekielne figle mego kija i niepokoje domowe. Mój murzynek zrobił mi jeszcze parę takich szpasów, że szczerze byłbym kontent, gdyby mi go kto ukradł, porąbał i rzucił w ogień. Sam boję się zrobić mu coś podobnego.

Nim opowiem, co mi znowu zmalował, i nim przejdę do właściwej prośby, jaką mam do pana, muszę wspomnieć o wypadku, skutkiem którego Ewcia zabroniła przestępować naszego progu —

Biedrzyńskiemu!... Tak, panie, Teofilowi Biedrzyńskiemu, jedyńemu przyjacielowi, jakiego posiadam na ziemi!

Pewnego razu przyszedł on do nas wieczorem. Czekaając na herbatę, usiedliśmy w moim gabinecie, przy drzwiach, prowadzących do salonu. On jako mały, siedział na krześle, ja — na fotelu.

Tymczasem, robiąc przygotowania do kolacji, kręciła się po całym mieszkaniu nowo przyjeta panna do towarzystwa Ludki, osoba młoda i zapewne przystojna, bo nawet nie miałem czasu jej się przypatrzeć.

Otóż, było prawie ciemno, kiedy koza ta biegła przez mój gabinet do salonu. Obaj z Teofilem, gdy wpadła między nas, unieśliśmy się trochę z siedzeń, na znak uszanowania; a ten, panie, smarkacz, jak wrzaśnie...

Wielki Boże! ze trzydzieści lat nie słyszałem takiego krzyku...

— Co to? — zawołał przestraszony Teofil, zrywając się z krzesła.

— Pewnie zasłabła — odparłem. Ale byłem tak zmieszany, że machinalnie posadziłem Teofila na fotelu, a sam zająłem jego krzesło.

— Czy ona nie cierpi epilepsji? — pytał troskliwy Biedrzyński. — Biedne dziecko...

W tej chwili weszła do nas Ewcia ze świecą. Była blada, oczy jej płonęły. Bystro spojrzała na fotel, gdzie siedział Teofil i — rzekła do mnie drżącym głosem:

— Przepróż, Ludwiku, pana Biedrzyńskiego, że herbaty dziś u nas nie będzie. Mademoiselle zachorowała, oboje musimy jej pilnować, a że i Ludka nie siądzie do stołu, więc przepróż...

Ukloniła się piecowi, który stał naprzeciw drzwi, i odeszła — pełna groźnego majestatu. Nigdy nie wydał mi się tak pięknym jej imponujący wzrost i wdzięczne ruchy.

— Nie rozumiem! — wyszeptał odurzony tym ciosem Teofil. — Zdaje się, że pani Ewa wypędziła mnie z domu?...

— To przejdzie — rzekłem.

— Ale nawet nie wiem za co? — dodał, chwytając pudełko cygar, zamiast swego kapelusza. — Czyżby Fitulski oczernił mnie przed panią Ewą...

— To przejdzie, to przejdzie... — upewniałem, żegnając go czule.

On biedak wyszedł od nas na palcach, i zerwawszy z kołka swój paltot, wymknął się na schody, przez drzwi tak wąsko otwarte, jakby był nie większy od szczura.

Po jego odejściu, a raczej haniebnej ucieczce, ukazała się Ewcia po raz drugi.

— Czy wiesz — rzekła — co zrobił ten nędznik?... Zaczepił mademoiselle... U mnie, w moim domu...

— Może to nie on, cóż znowu? — wtrąciłem i ugryzłem się w język.

— Więc chyba ty? Nie przypuszczam jednak, ażebyś był tak nikczemnym; zresztą, nie siedziałeś na fotelu.

— Może... Może sama się potrafiła o fotel.

— Dostyc! — przerwała Ewcia. — Nie zmuszaj matki twoich dzieci do szczegółowych wyjaśnień tego wstrętnego czynu. Od dziś dnia noga Biedrzyńskiego nie postanie w naszym domu, a ty, daj mi słowo, że zerwiesz z tym bezwstydnikiem, który zbeszcześcił moją powagę, a i ciebie może wciągnąć we własne brudy.

— No, widzisz... — zacząłem. Ale spostrzegłszy, że Ewcia znowu blednie, dałem słowo, że będę unikał Teofila.

Łatwiej jednak obiecać, niż dotrzymać. Już na drugi dzień odwiedziłem biednego przyjaciela, który rozchorował się z żalu, a następnie odwiedzałem go co parę dni.

Teofil miał dom na Lesznie. Zwykle więc siadałem w tramwaj i dojeżdżałem prawie do drzwi jego mieszkania. Trwało to z miesiąc.

Pewnego dnia dużo biegałem po mieście. Byłem u Teofila, w banku, u Stępka, w ogrodzie Saskim i, w jednym z tych miejsc, znowu zgubiłem... mój kij!...

— Teraz zjadł śledzia na dobre — pomyślałem. — Trzeba albo chodzić bez laski, albo sprawić sobie nową.

Któż jednak opisze moją radość, a potem przestrah, gdy nazajutrz, w czasie obiadu, jeden z urzędników tramwajowych odesłał mi... mego murzynka, z kartką:

„Znaleziony w tramwaju na Lesznie.”

Kartka ta dostała się przedewszystkiem w ręce Ewci. Przeczytawszy ją, zwróciła na mnie lodowate spojrzenie i, niby niechcący, spytała:

— Co, Ludwiku, robiłeś wczoraj na Lesznie?

— Ja, na Lesznie?... Ja?... Już z miesiąc...

— Już wiem, Ludwiku — przerwała Ewcia, podając mi kartkę, i — na tem skończyło się przy obiedzie.

Po obiedzie zaś — nie gadała do mnie przez cały tydzień, nie zaniedbując jednak tłumaczyć dzieciom, że uczciwy człowiek zawsze dotrzymuje słowa, i że ludzie, którzy nie dotrzymują słowa, są ludźmi godnymi politowania.

Myślałem, że zwaruję przez ten tydzień. Zaczyna kobieta, spokojna, taktowna, wzór żon i matek, ale jak zacznie moralizować — żywcem wkopałbym się pod ziemię.

To też nikt się chyba nie zdziwi, gdy powiem, że nieraz brałem moją laskę do gabinetu i — wymyślałem jej na czem świat stoi. Tym razem przecie i ślepy dojrzy, że tylko djabelski murzyn narobił mi kłopotu.

Myślisz pan, że to już koniec jego intrygom?... Panie, śmiertelny wróg nie splątałby mi podobnego figla, jak ta bestja!

Przedewszystkiem, muszę dodać, że bez względu na jego podłości, poszedłem do tokarza, gdzie go kupił i kazałem wprawić murzynowi nowe oko.

Majstra w sklepie nie było; natomiast znalazłem ową miłą dziewczynkę, której kiedyś przypatrywałem się przez okno.

Posiedziałem w sklepie z pół godziny, wyściskałem sklepowej rączki, dowiedziałem się, gdzie mieszka. I oto między mną a nią zawiązały się serdeczne, choć czysto idealne stosunki, właśnie — dzięki mojemu murzynkowi.

Byłem tak zadowolony, że nawet puściłem w niepamięć jego dawniejsze sprawy.

Znajomość nasza ze sklepową trwała do połowy zimy. Widziałem, jak dziecko to przywiązuje się do mnie, jak korzysta z moich rad, z jaką wdzięcznością przyjmuje drobne podarunki. Dziewczątka czyste i niewinne jak łąza.

Jednego dnia spotkałem Józję na ulicy i spędziłem z nią parę godzin „Pod Kometą,” ostrzegając o sidłach, zastawianych na niewinność przez lekkomyślną młodzież, albo zepsutych starców. Rozmarzony, wróciłem do domu około północy i dopiero na schodach spostrzegłem, że... znowu zgubiłem murzynka!

Ewcia jeszcze nie spała.

— Gdzie byłeś, Ludwiku?

— Na operze.

— Cóż grali?

— „Fausta.”

— Znasz go przecie.

— Ale zawsze lubię go posłuchać. Dobranoc, głowa mnie trochę boli.

Serdecznie ucałowałem Ewcię, ale duszę nurtował mi niepokój.

„Zobaczycie — myślałem, — że ten przekłety murzyn znowu narobi mi zmartwienia!”

Zasnąłem późno i późno obudziłem się na drugi dzień. Gdy zaś o jedenastej usiedliśmy z dziećmi do śniadania, Ewcia odezwała się niby tak sobie:

— Wiesz?... odnieśli ci twoją faworytalną laskę.

Myślałem, że zemdleję; w oczach mi pociemniało. Nareszcie, zdobywszy się na ostatni wysiłek, zapytałem dosyć ostro:

— I któż odniósł moją laskę?

— Woźny z teatru Wielkiego — odparła Ewcia.

Tego już było za wiele. Przez cały czas śniadania nie śmiałem ust otworzyć.

Gdy Ludka i Mieczysław wstali od stołu, Ewcia odezwała się nieco przyciszonym głosem:

— Twoją laskę przyniósł kelner z restauracji „Pod Kometą.” Z osobnego gabinetu.

Gwałtownie odsunęła krzesło i wyszła.

Schwyciłem mój kij, i wsiadłszy w dorożkę, pojechałem „Pod Kometę,” z zamiarem połamania murzynka na grzecznym kelnerze. Ale człowiek ten rozbroił mnie jednym słówkiem.

— Tyś odniósł mój kij do domu? — zapytałem go.

— Ja, jasnie panie.

— A... A kto ci powiedział, gdzie mieszkam i kim jestem?

— O! — uśmiechnął się — jasnie pana zna całe miasto. Wszyscy wiedzą, że pan zabił pułkownika.

— Pułkownik Steinberg żyje...

— Ten może i żyje, ale tamten, co go jasnie pan gołnął w brzuch, wcale nie żyje. Sam przecie byłem na pogrzebie.

— Przeklęta popularność! — pomyślałem. — Nawet gniewać się nie mogę na tego osła.

— A na drugi raz — rzekłem, dając kelnerowi rubla — nie bądź taki usłużny i niczego nie odnoś mi do domu.

— Nic nie odniosę, choćbym znalazł pulares jasnie pana — odpowiedział, bezczelnie patrząc mi w oczy.

— No — rzekłem do siebie, skończywszy z kelnerem — wobec Ewci jestem bez ratunku zgubiony; ale zato przekonałem się dziś, że już mówi o mnie cała Warszawa. O wyższym stanowisku nawet marzyć nie można.

Było to akurat w karnawale. Stosunki nasze z Ewcią przez cały tydzień wlokły się w sposób nieokreślony. Nie robiła mi wymówek, odzywała się rzadko i obojętnie, słowem, czuć było nadchodzącą katastrofę. Może zażąda separacji?...

Raz, kiedy siedząc na szeszlunku, trzymałem w ręku „Figaro,” a myślałem o czym innym, usłyszałem w salonie jakiś szmer, a potem głos Ewci:

— Proszę cię na chwilkę, Ludwiku.

Wchodzę... Osłupiałem... Boże miłosierny! Ależ w moim salonie, obok mojej żony, widzę Józję tokarkę, a za nią jakiegoś dryblasa...

— Ludwiku — rzekła Ewcia — młodzi narzeczem przyszli podziękować ci za posag...

I podczas gdy stał bez ruchu, jak Niobe, rozpaczająca za dziećmi, Józia cmoknęła mnie w jedną rękę, a dryblas w drugą. Potem oboje upadli do nóg Ewci, która wręczyła Józii pięć storublowych papierków i sznur korali. Po chwili narzeczem wyszli, błogosławiąc nas, a Ewcia zwróciła się do mnie:

— Oj ty dziadzie, ty stary dziadzie!... I komu to tu świat gubić.

— A teraz, duszko — odezwałem się skromnie — chyba wierzysz w moją niewinność?...

— O niewinności tej dziewczyny nigdy nie wątpiłam — odparła Ewcia. I co pan powiesz: na tem skończyła się cała awantura!... Tak przecie byłem wzruszony szlachetnością Ewci, tak zgnębiony jej pobłażaniem, że — rozchorowałem się na gastryczną gorączkę, która na tydzień przykuła mnie do łóżka.

Serce kobiety, panie, a mianowicie serce Ewci, na wieki pozostanie dla mnie zagadką.

A swoją drogą mój kij — jest ostatniego rzędu gałgan, i nawet powiem panu, że straciłem dla niego wszelką sympatję.

III

Teraz, poznawszy kim jestem i jakich dziwnych przygód doświadczyłem w życiu, z całą łatwością odgadniesz pan, na czym polega moja wielka prośba?

Ale... jeszcze jedno drobniuteńkie zboczenie.

Dziwnym zbiegiem wypadków, urodziny moje przypadają go kwietnia, w dzień św. Ludwiki. Okoliczność ta w oczach wyrozumiałego człowieka usprawiedliwiałaby wiele moich wykroczeń; a że Ewcia jest bardzo wyrozumiała, w tym więc dniu uroczystym wybaczyła mi wszystkie błędy.

Przekonałem się o tem, zobaczywszy w południe, w naszym domu, nieszczęśliwego Teofila, do którego Ewcia napisała list własnoręczny. Biedak uściskał mnie tak gorąco, jak wówczas na polu walki; następnie zaś począł przeproszać moją żonę (za to chyba, że go kiedyś wyгнаła), tłumacząc sobie, że pewno Fitulski narobił na niego plotek. Już to obawa jakowychś intryg Fitulskiego była chorobą Teofila.

Nie koniec na tem. Ewcia bowiem w dniu urodzin spełniła moje najpiękniejsze marzenia, ofiarując mi autentyczny londyński parasol, arcydzieło parasolniczego kunsztu.

Cudo to kosztowało ze czterdzieści rubli. Miało srebrne okucia, a rękojeść w formie dwóch ściskających się rąk, także srebrnych — massif. Na jednej ręce był wyryty mój monogram w laurowym wieńcu, na drugiej — data pojedynku.

Niepodobna było w delikatniejszy sposób okazać mi, że nieporozumienie z „Pod Komety” zostało zapomniane, a także — złożyć hołdu mojej odwadze. To też upewniam pana, że gdyby mi kiedy cały naród na placu Teatralnym ozdobił głowę dębowym wieńcem, chyba nie ceniłbym go tak wysoko, jak — ten parasol, darowany mi przez Ewcię.

Stał się on dla mnie najdroższą pamiątką, symbolem moich drobnych zasług i małżeńskiego szczęścia.

Zwykle, na codzien, chodziłem po mieście z moim murzynkiem, życząc mu, aby prędzej kark skręcił.

Lecz pamiątkowego parasola używałem tylko na uroczyste wizyty, albo na jakieś wyjątkowo ważne zebrania.

Najważniejszy w owej epoce wypadek stanowiła sprawa honorowa między dwoma młodymi ludźmi, którzy mieli stoczyć śmiertelny pojedynek. Położenie zaś było takie, że — naprzód jeden nie miał ochoty walczyć, potem drugi, a potem obaj; należało więc obmyśleć inną satysfakcją.

W tym celu, w mieszkaniu pułkownika Steinberga (obecnie mego najlepszego przyjaciela) zebrał się sąd honorowy z pięciu osób. Prezesem zaś tego sądu, prawie jednomyślnie, zostałem wybrany — ja — panie... Jest to rzecz niemałej wagi. Od tego bowiem wypadku wszyscy tytułują mnie prezesem, a kochana Ewcia czuje się zupełnie zadowoloną i nawet dumną z mojej popularności i stanowiska.

Nie potrzebuję wspominać, że nad ciężką tą sprawą męczyliśmy się trzy dni, i dopiero w czwartym, około wieczora, przyjęto mój wniosek, ażeby obaj przeciwnicy podali sobie ręce. Co się też stało, a młodzi ludzie jednozgodnie oświadczyli, że tylko wielka cześć dla moich zasług i powagi zmusza ich do schylenia głowy przed podobnym wyrokiem. Ciekawym jednak, coby zrobili, nie przyjąwszy go?

Rozumie się, że na każde z tych posiedzeń brałem mój pamiątkowy parasol.

Czwartego dnia, natychmiast po wyroku, Steinberg zaproponował nam, sędziom i podsądnym, małą wycieczkę do Marcelina. Ponieważ był to środek maja, a żona moja wyjechała do starszej córki, przyjęliśmy więc propozycją z należnym uznaniem. Trzy powozy ruszyły naprzód, a ja z jednym podsądnym skręciłem na chwilę do domu, ażeby przebrać się, wziąć mój codzienny kij, a zostawić pamiątkowy parasol, który bynajmniej nie kwalifikował się do majówek.

Towarzyszący mi podsądny wbiegł za mną na górę, pomagał przebrać się i tak często nazywał mnie prezesem, że wychodząc z przedpokoju, nie dobrze wiedziałem, jak jestem ubrany i co biorę z sobą.

W Marcelinie bawiliśmy się do północy, a bawiliśmy się tak, że przez telefon musiano zamawiać świeżego szampana z Warszawy. Dosyć gdy powiem, że moje zdrowie pito ze dwanaście razy, nie uchybiając przecie i innym współbiesiadnikom.

Wracałem do miasta lekkim powozikiem ze Steinbergiem. On przez całą drogę śpiewał, albo komenderował szwadronem, a ja, przytrzymując kolanami moją fatalną laskę, zarzuciłem ręce za tył głowy i marzyłem. Marzyłem o domu, który na lato opuściła Ewcia, udając się na wieś, to o córce, która miała mnie pocieszyć wnukiem, to znowu o przygodach mego życia... Najczęściej jednak przychodził mi na myśl mój przeklęty kij z murzynem i jego psoty.

— Pobiłem nim niewinnego człowieka... Naraziłem się na pojedynek... Zdradził mnie gałgan tyle razy, a niewiadomo jeszcze co mi zrobi w przyszłości... Trzeba z nim raz skończyć!

I marząc tak o moim kiju, zwolna odchyliłem kolana. Kij zaczął skakać, jakby zawiadamiając o grożącym mu niebezpieczeństwie, uderzył mnie parę razy w nogę, a nareszcie... wysunął się z powoziku.

— No, już teraz nie wrócisz do mnie, zdrajco! — szepnąłem, czując taką ulgę, jakby mi z serca spadł ciężar.

W kwadrans stanęliśmy przed moim domem. Steinberg spał. Nie chcąc budzić go, zręcznie wyskoczyłem z powoziku i... zwichnąłem sobie nogę w kostce!...

— Jedź! — zawołałem na stangreta.

Ledwie się dodzwonił, zgrzytając z bólu. Zaspany stróż wywindował mnie na schody i obudził lokaja.

Gdy zapalono światło, posłałem służącego po doktora, a sam usiadłem w przedpokoju na krześle, jęcząc.

Wtem... włosy stanęły mi na głowie, a ból na chwilę ustąpił... W kącie, obok lustra, ujrzałem... mój przeklęty kij, ten sam kij, z główką murzyna, który mi niedawno wyleciał z powoziku.

Zacząłem wołać i pukać. Przybiegła pokojówka i kucharka.

— Go to jest? — spytałem, wskazując na murzynka.

— Ten kij? To laska jaśnie pana — odparła kucharka, myśląc, że jestem nietrzeźwy.

— Skąd on się tu wziął?

— Stał tu ciągle.

— Jaki stał? Przecież wziąłem go z sobą do Marcelina.

— Nie. Jasnie pan do Marcelina wziął parasol, a kij wciąż tu stoi — objaśniła kucharka.

Sprawiedliwe nieba!... A zatem zgubiłem, i to zgubiłem rozmyślnie, mój pamiątkowy parasol, a ten gałgan murzynek został! Co powie Ewusia?... Zapukano do drzwi; lokaj przyprowadził doktora i felczera. Nastawili mi nogę, obandażowali, obłożyli lodem. Ale nawet nie czułem bólu, wyłącznie zajęty straszną myślą, że zgubiłem parasol, i... co o tem powie Ewusia!...

A teraz — chyba zupełnie odgadłeś pan moją prośbę? Więc zaklinam cię na wszystko, co wielkie i święte: zrób o moim parasolu ogłoszenie.

Napisz, że parasol ten stanowi drogą pamiątkę, i że gotów jestem zapłacić znalazcy choćby pięćdziesiąt rubli. Ale ogłoś swój adres, a mego nazwiska nie wymieniaj, bo inaczej Ewucia dowie się o wszystkim.

Parasol!... Pamiętaj pan — parasol!...

Postscriptum. Właśnie kiedy skończyłem list niniejszy, odwiedził mnie Steinberg. Nie mogłem powstrzymać się od przeczytania mu tego interesującego utworu.

łzami, szczególnie słuchając ustępów, poświęconych jego osobie.

Skończywszy czytanie, zapytałem, co o tem sądzi?

— Pyszny jesteś, prezesie! — zawołał. — Więc ty, przy pojedynku śmiałeś się ze swego kija, nie ze mnie, a ja... chciałem cię zastrzelić...

Doskonała pomyłka!...

— Ale — rzekł po chwili — widzę, że djabelnie starzejesz się, kochany prezesie...

— Skądże znowu ten szczególny wniosek?

— Nie szczególny, ale bardzo prosty. Zamiast napisać w dwu wierszach: „Zgubiłem angielski parasol, ze srebrną rączką taką i taką — a znalazcy

dam pięćdziesiąt rubli nagrody," — ty, prezesie, pleciesz, jak stara baba, o całej dywizji wypadków, nie mających żadnego związku z parasolem. Coprawda, jesteś, prezesie, skończony filister, a do tego... chory na gorączkę — dodał, uderzając mnie z całej siły w kolano. Osądźże pan teraz bezstronnie: czy Steinberg nie jest grubjaninem? Ale nadewszystko — nie zapominaj o moim pamiątkowym parasolu." Na tem kończą się przygody pana Wesołowskiego, tudzież jego kija.

BEZ STYPENDIUM

W małym pokoju drugorzędnej restauracji, siedzieli dwaj panowie: jeden nad rosółem, drugi nad zupą pomidorową. Pierwszy nazywał się pan Ludwik, był blondynem łysym i liczył około czterdziestu lat; drugi mianował się panem Józefem, był mocno szpakowaty i już przekroczył piąty krzyżyk. Rozmawiali półgłosem.

— Co wam znowu do głowy strzeliło z tym Ziewalskim? — mówił pan Ludwik. — Żaden z niego pracownik, a wy odrazu daliście mu tysiąc dwieście rubli...

— Firma płaci tylko sześćset — odrzekł pan Józef. — Drugie sześćset dokłada mu z własnej kieszeni nasz dyrektor Adamczyk.

— Swędzi go kieszeń?...

— Dyrektor może sobie pozwolić — mówił pan Józef. — Kawaler, ma trzy tysiące pensji, a w roku zeszłym dostał siedemnaście tysięcy dywidendy.

— Fiu!... — zdziwił się pan Ludwik. — Piękna dywidenda!...

— Jego motory jeszcze piękniejsze... Taki nawet obstalunków, że musimy zdublować produkcję, no — i rozumie się personel.

— Wszystko to jednak nie wyjaśnia mi, dlaczego Adamczyk dopłaca Ziewalskiemu z własnej kieszeni...

— Adamczyk mówi, że gdyby nie Ziewalski, on nie byłby tem, czem jest dzisiaj.

— Więc może to Ziewalski wynalazł motor, nie Adamczyk?

— O... pan bo zawsze lubi żartować!... Bonifacy — zwrócił się do kelnera pan Józef — dajcie mi zrazy z kaszą... Motor wynalazł Adamczyk nie żaden Ziewalski.

— A mnie, Bonifacy, pieczeń z kapustą — dorzucił pan Ludwik. — Nie wiem, za co Adamczyk płaci Ziewalskiemu, więc dziwię się...

— Jeżeli kto czegoś nie wie, nie powinien dziwić się, ale zapytać takich, którzy wiedzą.

— A pan wie?...

— Phy!... przecie ja Adamczyka znam od takiego bachora — rzekł pan Józef, wyciągnawszy rękę na wysokość stołu. — Przecie on mnie sprowadził z fabryki komorowskiej do Warszawy...

— I panu także dodaje co z własnej kieszeni?...

— Ja nie potrzebuję dokładek, chwalić Boga!... Choć może do tego, czem jest dziś Adamczyk, przyczyniłem się lepiej i uczciwiej, niż Ziewalski.

— Musi być ciekawa historia? — wtrącił pan Ludwik.

— Piramidalnie ciekawa! Zaraz się pan przekona... Bonifacy, szklaneczkę jasnego...

— A mnie kufelek ciemnego.

— Trzeba wiedzieć — zaczął pan Józef — że Adamczyk jest synem kowala, który miał kuźnię w naszym Komorowie. Kiedy stary umarł, na zapalenie płuc, zostawił żonę, córkę, dwu synów, domek i kilka morgów gruntu. Córka wyszła za organistę, porządnego człowieka; starszy syn ma handel kolonjalny i powodzi mu się wcale nienajgorzej, a młodszy, który jest dziś dyrektorem i współwłaścicielem fabryki, ukończywszy szkołę elementarną, uczył się potem prywatnie u profesora i już w dwunastym roku zaczął kręcić się około naszej fabryki machin rolniczych, niby w Komorowie.

Był to bardzo bystry chłopak, ciekawy i ambitny. Znał się z synami naszego dyrektora, naszego kasjera i ciągle wypy

tywał się ich: czego się uczą? jak to jest w szkołach?... jakim sposobem można zostać dyrektorem albo inżynierem?... Bo widzi pan, jego matka, kobieta niezwykłego rozumu, chciała wykierować go na lekarza, ale on sam ciągnął do mechaniki. Pamiętam, że nieraz godzinami przesiadywał w tokarni, w rysowni, w odlewni, a oczy to mu się paliły jak wilkowi... O, bystry był!... Majstrowie często mówili mi o nim... Bonifacy, dajcie marchewki z groszkiem...

— A mnie makaronu włoskiego — dorzucił pan Ludwik.

— Pomijam wiele drobnych wydarzeń, w których Adamczyk okazywał rozsądek i piękny charakter, a przechodzę do rzeczy głównej. Pokonawszy niemałe trudności, dostał się wkońcu mój chłopak do prywatnej szkoły realnej w Warszawie. Z początku pomagała mu matka. Lecz gdy trzeba było wyposażyć siostrę, dać na handel pieniędzy starszemu bratu, więc w rezultacie dla młodszego zabrakło i nadszedł taki rok, że mój Adamczyk począł naprawdę myśleć o porzuceniu szóstej klasy i o powrocie do Komorowa, do naszej fabryki.

Otóż, co się wtedy zdarzyło. Pewnego dnia woła Adamczyka dyrektor szkoły i mówi: „Trafia się stypendjum, dwieście pięćdziesiąt rubli. Jesteś doskonałym uczniem, więc mógłbyś je dostać, ale — masz współzawodnika, Ziewalskiego. Dobrze byłoby, gdybyście się porozumieli.”

Adamczyk mało nie oszalał z radości, a ponieważ miał u jakiegoś szewca obiady za korepetycje, więc był gotów podzielić się ową sumą stypendjalną z Ziewalskim. Tymczasem na drugi dzień Ziewalski sam przyleciał do niego z taką propozycją: „Mój kochany, jeżeli mi nie ustąpisz stypendjum, to ja sobie życie odbiorę, a ty z dwustu pięćdziesięcioma rublami zostaniesz — durniem do końca świata...”

„Dlaczego mam zostać durniem?...” pyta Adamczyk. „A bo ja mam matkę, która wprawdzie pobiera emeryturę, ale to nam nie wystarcza.

Więc — albo muszę mieć stypendjum, albo nie będę mógł skończyć szkoły, a w takim razie odbiorę sobie życie...”

— On tak do dziś dnia straszy ludzi... — wtrącił pan Ludwik.

— Słuchajno pan dalej — ciągnął pan Józef — „Moja matka — odpowiedział Adamczyk — nie ma żadnej emerytury, ale jeżeli chcesz, to moglibyśmy podzielić się temi pieniędzmi...” „Czem się tu dzielić? — krzyknął Ziewalski. — Trzeba też mieć trochę wstydu w oczach: to stypendjum jest szlacheckie, a tyś przecie nie szlachcic...” „A niechże was dwieście pięćdziesiąt djabłów porwie! — odpowiedział mu Adamczyk. — Nie chcę waszego stypendjum, choćbym miał z głodu umrzeć...” Mówił mi Adamczyk, że po wyjściu Ziewalskiego ów zapłakał, ale — tego samego dnia rzucił szkołę, w której nawet wpisu nie mógł zapłacić i — wrócił do naszego Komorowa, gdzie ze względu na dawną znajomość, odrazu wyrobiliśmy mu miejsce.

Pracował dwa lata wzorowo; tylko dyrektor zarzucał mu, że co pół roku zmieniaj warsztaty. Zaczął od ślusarni, przeszedł do kuźni, potem do stolarni, ze stolarni do giserni... A ile miał czasu wolnego, uczył się w dalszym ciągu rysunków, matematyki, języków... Zarabiał czterdzieści do pięćdziesięciu rubli miesięcznie, mieszkał u matki i żył jak pustelnik, ciągle odkładając pieniądze do naszej kasy.

W parę lat musiał iść do wojska. Myśleliśmy, że się zmarnuje. Gdzietam; zdał egzamin i został oficerem. Znowu myśleliśmy, że już będzie pilnował się kariery wojskowej. Gdzie zaś. Wrócił do fabryki i jeszcze przez trzy lata pracował to jako majster w warsztatach, to jako rysownik w biurze. Teraz wszyscy zwrócili na niego uwagę, sam dyrektor zaczął go przyjmować u siebie i może nawet oddałby mu jedną ze swych pięciu córek... Ale Adamczyk nie myślał o żeniaczce i pewnego dnia — pożegnał nas. Wyjechał do Mitweidy...

Proszę pana, tam — w pół roku poznali się na nim i dali mu posadę przy warsztatach, skutkiem czego miał darmo nau

kę, mieszkanie i jedzenie. A po czterech latach nietylko ukończył szkołę z odznaczeniem, ale jeszcze wynalazł swój motor, który, jak panu mówię, przyniósł mu w roku zeszłym siedemnaście tysięcy rubli dywidendy.

— Chwąt chłop!... — zawołał pan Ludwik. — Bonifacy, proszę jeszcze kufelek ciemnego...

— A ja szklaneczkę jasnego — dodał pan Józef.

— A cóż z tym Ziewalskim? — zapytał pan Ludwik.

— Niedługa historia. Skończył edukację na szkole realnej. Jakiś czas był poetą, później uczył się malować, potem coś tam na skrzypcach... I nareszcie, kiedy mu umarła matka, wziął się do buchalterji. Ożenił się, klepał biedę na marnych posadzinach, a teraz niedawno, jak pan wiesz, przyszedł do Adamczyka i w imię szkolnego koleżeństwa, błagał o jaką dobrą posadę. „Z głodu umieramy — mówił — i jeżeli nie dostanę choćby stu rubli na miesiąc, odbiorę sobie życie...” No i Adamczyk dał mu posadę i dopłaca sześćset rubli rocznie, za to, że kiedyś Ziewalski odebrał mu szlacheckie stypendjum.

— Z tego pokazuje się — rzekł pan Ludwik — że od stypendjum lepsze są zdolności... Bonifacy, płacić!...

— A najlepszy charakter... Bonifacy, ja miałem zupełną zrazę z kaszą... Charakter panie, charakter!...

CIENIE

Kiedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch — wielka armja nocy, o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy. Potężna armja, która od niepamiętnych czasów pasuje się ze światłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczora, panuje od zachodu do wschodu słońca, a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasu i w głębi ciemnych jezior. Czeka, kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w kątach domów, w załamkach murów. Rozproszona i napozór nieobecna, wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jest w każdej szczelinie kory drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszym ziarnem piasku, czepia się najcieńszej nici pajęczej i czeka. Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnieniu przenosi się na inne, korzystając z lada sposobności, aby powrócić tam, skąd ją wygnano, wdrzeć się na niezajęte stanowiska i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armja zmroków gęstymi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek, cicha i ostrożna. Zapelnia korytarze domów, sienie i źle oświetlone schody; z pod szaf i stołów wypłzuje na środek pokoju i obsiada firanki; przez lufty piwnic i szyby okien wysuwa się na ulice, w głuchem milczeniu szturmuję ściany i dachy, i zaczajona na szczytach, cierpliwie czeka, aż na zachodzie zbledną różowe obłoki.

Jeszcze chwilka, i nagle zerwie się olbrzymi wybuch ciemności, sięgającej od ziemi do nieba. Zwierzęta skryją się po legowiskach, człowiek ucieknie do domu; życie, jak roślina bez wody, skurczy się i pocznie usychać.

Barwy i kształty rozplyną się w nicestwie; trwoga, błąd i występki obejmą panowanie nad światem.

W takiej chwili, na pustoszejących ulicach Warszawy ukazuje się dziwna postać ludzka, z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez

chodnik, jakby ją ścigały ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się na mgnienie i roznieciwszy wesołe światło, znika, jak cień.

I tak każdego dnia w roku. Czy na polach wiosna dyszy zapachem kwiatów, czy sroży się lipcowa burza, czy rozhukane na ulicach jesienne wichry miotają tumanami kurzu, czy w powietrzu kłębią się zimowe śniegi — on zawsze, skoro tylko nadejdzie wieczór, ze swym płomykiem przebiega miejskie chodniki, roznieca światło, a potem znika, jak cień. Skąd się ty bierzesz, człowieku, i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu? Albo dzieci, które, pozostawiwszy w kącie twoją latarkę, wdzierają ci się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy ty masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy i zgryzoty, albo choć znajomych, z którymi mógłbyś porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach? Czy ty wogóle posiadasz jaki dom, w którymby cię znaleźć można? imię, którym możnaby cię zawołać? potrzeby i uczucia, któreby cię robiły takim, jak my, człowiekiem? Czyli też jesteś naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujęta, co ukazuje się tylko o zmroku, roznieca światło, a potem znika, jak cień?

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę człowiek, a nawet dano jego adres. Poszedłem do wskazanego domu i zapytałem stróża:

— Czy u was mieszka ten, co zapala latarnie po ulicach?

— U nas.

— A gdzie?

— W tamtej komórce.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem przez okno, ale tylko zobaczyłem tapczan przy ścianie, a obok niego na wysokim kiju latarkę. Latarnika nie było.

— Powiedz mi przynajmniej, jak on wygląda?

— Kto go tam wie — odparł stróż, wzruszając ramionami. — Sam go nawet dobrze nie znam — dodał — bo po dniu nigdy w izbie nie siedzi.

W pół roku przyszedłem drugi raz. — A dziś niema w domu latarnika?
— Oho! — rzekł stróż — niema i nie będzie. Wczoraj go pochowali.
Umarł.

Stróż zamyślił się.

Zapytawszy o kilka szczegółów, pojechałem na cmentarz.

— Pokażcie mi, grabarzu, gdzie tu wczoraj pochowano latarnika?

— Latarnika?... — powtórzył. — Kto go tam wie! Trzydziestu pasażerów
było wczoraj.

— Ależ on pochowany w oddziale najuboższych.

— Takich zważyło się dwudziestu pięciu.

— Ale on leżał w niemalowanej trumnie.

— Takich zwieźli szesnaście.

Tym sposobem nie poznałem ani twarzy, ani nazwiska, ani nawet nie
widziałem jego grobu. I został tem po śmierci, czem był za życia: istotą
widzialną tylko o zmroku, niemą i niepochwytną, jak cień.

W pomroce życia, gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki,
gdzie jedni rozbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi
nikt nie zna; gdzie na skrepowanego przesądami człowieka poluje zły
przypadek, nędza i nie

nawiść — po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy.
Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca
światło, żyje niepoznany, trzodzi się nieoceniony, a potem znika, jak cień...

LITERACI

„Tacy bowiem i owacy patrzali na mnie, stojąc naprzeciw.
Jedni w gniewie i złościwości, inni śmiejąc się, a drudzy płacząc...”

„Ale nie widzieli, że na piersiach moich wężowie siedzą,
a i serce gorzkością jest napełnione....”

W owej epoce, kiedy ludzie poznali się już na szatańskich figlach i kiedy interesowi djabelskiemu na ziemi zagrażało kompletne bankructwo, Lucyper, za poradą pewnego farmaka, zrobił następującą miksturę, nazwaną przezeń eliksirem literatów:

Sto wiader żółci rozebrał w tysiąc wiadrach octu siedmiu złodziei, dodał do tego dwieście pudów makulatury, pięćdziesiąt pudów atramentu i piór stalowych sto pudów tureckiego pieprzu, sto pudów opjum, sto pudów starej garderoby z Pociejowa, tudzież sto pudów pozwów i niezapłaconych weksli. Wszystko to przez tysiąc lat warzył na ogniu piekielnym, przelał w olbrzymi aparat Bergera i zawiesił nad ziemią. Po czterdzieści tysięcy lat fermentacji aparat pękł i mikstura się rozlała głównie po całej Europie i Ameryce Północnej; przytem parę kropel jej padło na Chiny, Japonją i Indie Wschodnie, ani jedna zaś kropelka nie trafiła do Laponji, Patagonji, Środkowej Afryki i Australji.

Współcześnie z ową eksplozją, na ziemi pojawiła się literatura perjodyczna.

Odezwa nowego organu. Świetna publiczności! Pragnąc wzmocnić siły tutejszokrajowej inteligencji, umyśliliśmy wydawać dziennik, tygodnik lub dwutygodnik: naukowo literacko artystycznie społeczno humorystycznie ilustrowano specjalny. Każda gałąź wiedzy ludzkiej znajdzie w nim obszerne uwzględnienie, każdy fakt, obchodzący ogół, zostanie zanotowany. Dalecy od prywat i zawiści, miotają

cych naszymi kolegami, podnosić będziemy wszelką zasługę i gnębić wszelki występki. Aby dać pole do wyrobienia się domorosłym genjuszom, umieszczając będziemy prace przeważnie oryginalne. Słowem będziemy was uczyć, bawić, moralizować, naprowadzać na nowe drogi i t. d. po cenach umiarkowanych.

Działy pisma są następujące:

I. Artykuły wstępne, obejmujące trafne uwagi i ogólne poglądy na wszystko, co się dzieje na niebie i ziemi.

II. Polityka, oparta na wiadomościach nadsyłanych przez woźnych ministerialnych, lokajów członków parlamentu, dorożkarzy, przewożących dokumenta dyplomatyczne i t. d.

III. Dział nauk socjalnych, jak np. gospodarstwo według zasad, uznanych jeszcze przez Adama i Ewę; budownictwo przez tych, którzy wznieśli wieżę Babel; nautyka przez Noego, pedagogika układana przez dyrektorów stadnin prywatnych i t.d.

IV. Powieści głównie moralne, jak „I z a b e l a”, „E u g e n j a”, dzieła Pawła z Kocka itd.

Mamy nadzieję, że świetna publiczność oceni nasze dobre chęci i pośpieszy się z wniesieniem przedpłaty, gdyż po miesiącach cena pisma z powodu natłoku prenumeratorów niezawodnie podniesioną zostanie...

I. LITERAT

Przyniosłem tutaj... to jest do uznania szanownego pana, parę... to jest kilka utworów literackich...

REDAKTOR

A... ha!... dobrze. Pokażno pan, zaraz zobaczymy... Cóżta, wiersze? nam wierszy nie potrzeba, my tu mamy nadwornego poetę.

I. LITERAT

To jest... chciałem powiedzieć, z przeproszeniem humorystyka...

REDAKTOR

O panie! z humorystami rady sobie dać nie możemy, włożą nam przez drzwi i okna... Gdybyś pan

coś specjalnego mógł napisać, pan musisz być przecie specjalistą, he?...

I. LITERAT

Tak, jestem z powołania muzykiem, ale mogę coś i nie w muzycznym tonie stworzyć.

REDAKTOR

Jeżeli tak, to wybornie. Siądź pan z łaski swojej. Potrzebujemy właśnie rozprawy z medycyny, tak, dajmy na to, coś o kołtunie, czybyś pan nie mógł?

I. LITERAT

Owszem, owszem. Niech tylko pan dobrodziej dostarczy mi podręczników.

REDAKTOR

Widzisz pan... ten... tego... mamy tu coś z pięćset dzieł, traktujących o tym przedmiocie, ale... są zapakowane... Zresztą, ja sędzę, że najlepiej pan zrobisz, pisząc z natury, coś z własnych spostrzeżeń... tak... Nie zapomnij pan przymieszać trochę soli atyckiej, parę wierszyków, a wkońcu przypomnieć publiczności o obowiązkach ogółu dla oświaty i o potrzebie prenumerowania pism krajowych. A teraz żegnam!

I. LITERAT

Czy mogę pana zapytać, jakie praktykuje się honorarium?

REDAKTOR.

Honorarium? Sądzę, że możemy o tem później pogadać, pan występujesz dopiero po raz pierwszy.

I. LITERAT

Ach! tak... Żegnam szanownego pana!... (wychodzi).

REDAKTOR (każe wprowadzić Hgo literata)

Aaa!!.. pan dobrodziej zapewne z jakąś pracą?

II. LITERAT

Tak jest, szanowny panie, przyniosłem, do jego uznania, kilka rozpraw naukowych i społecznych.

REDAKTOR

Bardzo mi przyjemnie... Jakież tytuły?

II. LITERAT (czyta)

„O zetknięciu się ziemi z kometą i możliwości końca świata.”

REDAKTOR

Wspaniale!...

II. LITERAT

„O emancypacji kobiet.” „O księgosuszu u bydł a.”

REDAKTOR

To już coś z weterynarji?

II. LITERAT

Tak jest. „O wpływie odpadków miejskich na rozwój cywilizacji.”

REDAKTOR

Bardzo interesujące...

II. LITERAT

„O fotografii," „O teorii Darwina" i wreszcie „O wygubieniu nagniotków."

REDAKTOR (zachwycony)

Pan jesteś skarbem nieoszacowanym, panie!... pan możesz pisywać artykuły wstępne!... my właśnie takiego człowieka potrzebujemy.

II. LITERAT

To jest moja specjalność i jeżeli mi pan łaskawie zakomunikujesz honorarium od wiersza, w takim razie...

REDAKTOR

My, panie, płacimy od mendla... po kopiejce.

II. LITERAT

Ależ, panie, to jest za tanio!...

REDAKTOR

Nie zapominaj pan jednak, że mamy maszynę pomocniczą do pisania artykułów wstępnych.

II. LITERAT

Czy być może? Jakaż to jest maszyna?

REDAKTOR

Bardzo prosta. Jest to zwykły kalejdoskop, do którego wsypuje się wszystkie wyrazy słownika i następnie notuje się zdania i ustępy z tego, co tam widać. Autor więc potrzebuje dodawać tylko znaki pisarskie, w czym go najczęściej zecer wyręcza i przydawać wyrazom odmiennym odpowiednie końcówki.

II. LITERAT

Ja sądziłem, że to tylko poeci podobnych maszyn używają.

REDAKTOR

Nie, panie! Poeci mają daleko tańszy przyrząd, do którego zamiast tysięcy wyrazów sypie się trochę kropek, wykrzykników, pytajników i cały alfabet łaciński!

II. LITERAT

Aha! No, ale jeżeli panowie istotnie posiadacie taką maszynę, to na cenę zgadzam się i żegnam! (wychodzi).

REDAKTOR (do IIIgo literata)

Mój kochany panie,

zrąb też z łaski swojej tego cymbała X., on już od tygodnia żadnego z nas na śniadanie nie zaprosił...

III. LITERAT

Ależ, panie... ja u niego niedawno byłem z wizytą, a nawet jutro ma mi dziecko do chrztu trzymać!

REDAKTOR

No, to się pan nie podpiszesz... jeżeli zaś dobrze mu pan dojedziesz, to mogę ofiarować półtorej kopiejki od mendla.

III. LITERAT

A, to co innego, w tej chwili napiszę!

REDAKTOR

Wykaż mu pan plagjaty, wspomnij o procesie o oszustwo i wogóle staraj się dać poznać, że to człowiek niebezpieczny...

III. LITERAT

Nie bój się pan, dam ja mu bobu!

INTERESANT (wpada zadyszany)

Panie redaktorze, cóż wy u diabła wyrabiacie ze swoim pismem? toż mi tu ze wsi donoszą, żeście jeszcze ani jednego numeru nie wysłali?

REDAKTOR

To zapewne z winy poczty... my wszystko jak najsumienniej i najpункtualniej wypełniamy.

INTERESANT

No tak, zapewne!... Ale cóżeście wy za głupstwa popisali w rubryce zoologii? Donosicie o wężu morskim, a tu nikt nie wierzy w jego istnienie.

REDAKTOR

Mylisz się pan! Wąż morski istnieje, właśnie donoszono nam o tem przed kilku dniami wprost z akademji paryskiej.

INTERESANT

A kiedy tak, to co innego! Więc to aż tak wysoko macie korespondentów?

REDAKTOR

Tak jest, panie, i słono im płacimy, po kopiejek od wiersza, panie, a to wszystko dla dobra ogółu, dla użytku publicznego... O, bo my postępujemy wcale inaczej niż nasi koledzy!

STARA BAJKA

Kiedy śp. sędzia Furdasiński przeniósł się tam, gdzie, wedle słówproboszcza, miał pobierać wiekuiste czynsze z kapitału swoich cnót i zasług, na Furdasówce nie było ani grosza długu. Nie podobało się to jednak synowi i dziedzicowi zmarłego, który zawsze mawiał, że w tych czasach tylko Żydzi i mechesy nie mają długów, i hipoteka zaczęła się obciążać. Zresztą młody pan Furdasiński był poczciwy chłopak. Wstawał o szóstej i, jako rolnik z krwi i kości, hasał konno po polach do ósmej. Nieraz w tych wycieczkach upatrzył sobie ładną dziewczynę, której w najbliższe święto kupował gorset i chustkę, a nawet czasem, po upływie roku, dawał jej krowę i paręset złotych gotówką.

O ósmej pił śniadanie, potem uczył swego, szpaka gadać lub gwizdać, koło południa jadł drugie śniadanie, po śniadaniu trochę drzemał, o czwartej spożywał obiad, a po obiedzie albo znowu uczył szpaka i rozmawiał z ekonomem, albo jechał do sąsiadów na partyjkę. Regularny tryb życia łamał się parę razy na rok, mianowicie w czasie karnawału i w czasie wyścigów; wtedy bowiem pan Furdasiński zabierał karete, cztery konie, furmana, lokaja i chłopca i jechał na cały miesiąc do Warszawy. Niekiedy po upływie miesiąca dwór sam wracał na wieś. Był to znak, że pan Furdasiński udaje się za granicę.

Marszałek MazajłoSkrobejko, najbliższy sąsiad, który miał trzy dorosłe córki, przez przyjaźń dla śp. sędziego często upominał dziedzica radząc mu, aby się jak najrychlej żenił.

Myśle o tym odparł pan Furdasiński. Właśnie kupiłem meble.

Marszałek spojrział spod oka na fotele obite amarantowym aksamitem i na fortepian Bechsteina, okryty warstwą kurzu, i rzekł:

No tak, meble!... Ale niepotrzebnie karmisz tyle służby w domu.

A cóż, mam ich wygnąć? Przecież na nas, na obywatelstwie, ciąży obowiązek dostarczenia ludziom pracy, ażeby nie kradli.

Te wędrówki do Paryża także na nic mówił marszałek.

Co też marszałek baje! Cóż bym ja był za Polak, żebym choć raz na kilka lat nie zajrzał do Paryża?... Paryż to jak Warszawa i Kraków.

Wiedeńska wystawa także zjadła sporo grosza...

Obywatel u nas nie może być tylko rolnikiem odpowiadał pan Furdasiński.

Musimy badać przemysł.

No, ale Monako...

Wszystko na świecie trzeba poznać! przerwał mu młody dziedzic i zbliżywszy się do okna, w którym wisiała klatka ze szpakiem, zagwizdał walca Straussa. Pojętny ptak pochwycił natychmiast melodią, lecz urwawszy ją w połowie odśpiewał kilka taktów." Rachelo, kiedy Pan..".. a zakończył:" Gdyby rannym słonkiem." Ponieważ młody dziedzic nie zmieniał trybu życia, więc majątek topniał z godną podziwu szybkością. Nawet marszałek stracił serce do syna swego przyjaciela i oświadczył publicznie, że nigdy nie miał zamiaru przyjąć go za swego zięcia, a jeżeli wstępował do Furdasówki, to tylko przez pamięć dla śp. sędziego. Przy tym robił coraz surowsze wymówki młodemu panu i co kilka zdań powtarzał:

Diabli wzięli Furdasówkę!...

Przyszła nareszcie chwila, że pan Furdasiński nie obsiał pól, nie zapłacił procentów wierzycielom ani rat w Towarzystwie Kredytowym. Cugowe konie schudły, służba rozbiegła się, sąsiedzi zerwali stosunki, a młody dziedzic nie miał mięsa na obiad. Otyły marszałek, usłyszawszy o tym, dostał małego ataku apopleksji. Tydzień leżał w łóżku, wreszcie pojechał do pana Furdasińskiego z ostatnią wizytą. Właśnie dziedzic uczył swego szpaka arii: La donna e mobile, kiedy zasapany marszałek wbiegł do salonu i rzuciwszy się na kanapę zaczął:

Cóż to, subhastują cię?...

Podobno.

Marszałek wzruszył ramionami i podniósł oczy do nieba.

A ileż ci zostanie z majątku, jeżeli wolno spytać?... rzekł.

Ze dwadzieścia tysięcy rubli...

Te te te!... Towarzystwa masz dziesięć tysięcy. Długów hipotecznych...

Parę tysięcy rubli.

Parę?... spytał oburzony marszałek. Jest przeszło piętnaście tysięcy rubli zapisanych... A rewersa?

No, tych śmieci będzie może na kilkaset rubli.

Kilkaset? krzyknął marszałek. Wszyscy Żydzi lamentują, żeś bankrut i że im nie zapłacisz!... Posłuchaj dodał, usiłując zapanować nad sobą. Przez pamięć dla śp. ojca obrachowałem twoje długi i wartość majątku nie wyłączając powozów i mebli. Otóż mówię ci nie masz nic!... Grosza stąd nie wyniesiesz, jeszcze ci masa długów zostanie, bo za te grunta dadzą najwyżej po dwa tysiące rubli za włókę... Czeka cię nędza.

Wszystko na świecie trzeba poznać! odrzekł spokojnie pan Furdasiński. Marszałek podniósł się z łoskotem.

Władku rzekł czy przez pamięć dla twego śp. ojca mogę co zrobić dla ciebie?

Owszem odpowiedział. Może pan zechce przyjąć ode mnie na pamiątkę ten fortepian. Pyszny!... koncertowy Bechstein; ani razu na nim nie grałem... Twarz marszałka zrobiła się fioletową. Zacisnął pięści i wrzasnął:

Smar... Smaku nie masz acan!

Wybiegł z pokoju, a za chwilę przyszedł furman po czapkę, której wzburzony pan zapomniał. Od tej chwili aż do dnia licytacji pan Furdasiński był już sam jak palec. Nie tracąc jednak humoru chodził po pokoju i palił fajkę, a jego szpak gwizdał kawałki rozmaitych melodii albo wołał:

Diabli wzięli Furdasówkę!...

Pan Furdasiński oburzył się.

Wołaj rzekł do szpaka ośle jakiś, to, czegom ja cię uczył: "Złodzieje! Żydy!..."

Diabli wzięli Furdasówkę!... odpowiedział szpak pilnie przypatrując się swemu panu.

Był pewien, że mówi dobrze.

Licytacja majątku przyniosła cały szereg niespodzianek. Naprzód majątek poszedł nie po dwa tysiące, lecz po dwa tysiące pięćset rubli włóka, skutkiem czego, dołączywszy sprzedaż mebli i zbytecznej garderoby, pan Furdasiński nie tylko co do grosza spłacił najmniejsze nawet długi, ale jeszcze sam wziął do ręki około tysiąca rubli gotówką. Po wtóre majątek kupił chłop z tej samej wsi, Kuba Grzyb, i od razu na stół położył trzydzieści osiem tysięcy rubli. Widząc, że chłop z siwymi włosami, nastroszonymi jak szopa, wydobywa z kobielei sturublów bankocetle, pan Furdasiński odezwał się:

I wy, Kubo, naprawdę kupujecie folwark?

Stary zdjął czapkę i pochylił mu się do nóg.

Patrzyłby mi się rzekł folwark choćby za pięćdziesiąt tysięcy, bo mam kupę hołoty, ale, za pozwoleniem jaśnie pana, wezmę i ten, bo zawdyk lepi, coby się swoje zostało przy swoich. Nowe pomiary to ta będą jeszcze nieprędko, więc trza kupić, kiej się nadarza okazja.

I sami będziecie gospodarowali?... spytał pan Furdasiński.

Stary znowu schylił mu się do kolan, aż siwymi lokami dotknął ziemi.

A bo ja głupi, jaśnie panie odparł rwać się do tego, czemu jaśnie pan nie wydołał?... Ja tam, już do wezwania boskiego zostanę chłopem, a na ten folwark sprowadzam se wokumona aż spod Kalisza, tego Bydłoskiego, co go Jeszcze jaśnie wociec za czasu pańszczyzny miał pisarzem prewentowym.

A cóż to, bliżej nie mieliście kogo?

Dopraszam się łaski jaśnie pana, to było tak mówił chłop. Jak ino Zydy wzięły gadać, co Furdasówkę zlicytują, to zaraz mój najstarszy zakładał se, żeby jaśnie pana uprosić na rządcego...

No, ja nie... przerwał Furdasiński rumieniąc się.

Właśnie też tak rzekła moja baba, że jaśnie panu nijako być u chłopu w obowiązku, a jeszcze ja se pomyślałem, że kiedy on niebożę na swoim nie mógł wydołać, to mu na cudzym będzie gorzej...

Pan Furdasiński zaczął przestępować z nogi na nogę.

Więc wtedy mówił chłop rzekłem: bast! i zaraz se pomyślałem o Bydłoskim.

Żeście o nim nie zapomnieli? wtrącił były dziedzic boć on u nas nie mieszka już ze dwadzieścia lat.

O, ja jego dobrze pamiętam rzekł chłop bo on przecie nas bijał. I tak było, że raz jaśnie wociec kazał nam kilku wyasygnować po dziesięć witek za to, żeśmy trochę zaniedbali sianokos. I kiedy na mnie przyszła kolej, Bydłoski prawi: "Naści, chłopie, dziesięć letkich witek za pańskie siano, co zgniło. A tera, ino se wciąż ligaj, dołożę ci piętnaście mocnych

za twoje zgnite siano." Ha! mówię panie pisarzu, co prawda, to prawda: zepsułem se siano przez jarmark! A on jak mi nie sypnie!... Aż, z przeproszeniem jaśnie pana, w nosie mnie zakręciło... Zara se wtedy zmiarkowałem, że to człek sprawiedliwy kończył chłop. I rzekłem teraz do baby: Bydłoski będzie u nas gospodarował, bo już wtedy on dbał o nasze, kiedyśmy jeszcze sami nie dbali...

Wysłuchawszy z oznakami niecierpliwości rozwlekłej mowy chłopca pan Furdasiński cofnął się do dworu. Chodził po pokoju dumając i paląc fajkę, a szpak od czasu do czasu wrzeszczał:

Diabli wzięli Furdasówkę!...

Pan Furdasiński z początku tylko chrząkał, a w końcu gniewnie zawołał:

Dobrze zrobili, że wzięli!

Istotnie, czuł tu jakąś duszność może dlatego, że właśnie zbliżała się pora letnich wycieczek, a może z innych powodów. Nad wieczorem zobaczył nastroszoną siwiznę Grzyba. Stary chłop cierpliwie stał przed gankiem trzymając czapkę w ręku. Pan Furdasiński prędko wyszedł do niego.

A czego to chcecie, Kubo? spytał.

Chłopu trzęsła się głowa. Nagle podbiegł do byłego dziedzica i objął go za nogi.

Ostańcie z nami, jaśnie panie mówił stary. Chleba nam tu nie Pana Furdasińskiego tak zamdliło w sercu, jakby przed śniadaniem. Zaczął mrugać, ale cofnął się do ganku i odparł:

Nie mogę... Nie wypada...

Zaznacie wiele biedy na świecie mówił stary.

Wszystko trzeba poznać...

Stary podbiegł ku wrotom i machając czapką wołał:

Dzieci, żono, a chodziła żwawo, bo mnie nie słucha!...

Wtedy przed ganek wypadła gromada starszych i młodszych chłopów i kobiet wielkim głosem zaklinając jaśnie pana, ażeby został. Rzewnie zapłakał pan Furdasiński, ale zarazem oświadczył, że jeszcze dziś chce jechać do kolei.

Chowajcie mi tu szpaka proszę, dopóki miejsca nie znajdę... Potem go odeszlecie...

Grzyb poznał, że pan zaciął się.

Ha! rzekł kiedy tak, to jedźcie, jaśnie panie. Ale, jeżeli wam bieda dokuczy, jak Bóg w niebie, dajcie mi znać. Zawdyk my, choć chłopci, wam najbliżsi... Gdy zeszły na niebie gwiazdy, najstarszy syn Grzyba zajechał przede dwór porządnym wasągim. Pan Furdasiński wyniósł nieduży

łomoczek i z zapalonym cygarem siadł na wóz. Szpak, zbudzony światłem, ocknął się i krzyknął:

Diabli wzięli Furdasówkę!...

Małe, lecz silne koniki w parcianej uprzęży ruszyły z miejsca. Pana nie miał już kto żegnać, tylko głodne od paru dni psy podwórzowe, skamląc, podskakiwały do wozu; lecz od gościńca wróciły znowu do dworu pilnować reszty dobytku. Myślały, że i dzisiaj ich pan wyjechał tylko na partyjkę w sąsiedztwo...

Szlachcic siedział ostro na wozie w sławuckiej burce, w granatowej czapce z daszkiem na bakier, czerstwy, wyprostowany. Czasami, gdy wyjrzał na drogę, która ginęła we mgle nocnej, chwycił go za gardło jakby strach i żal. Ale wtedy mocno odchrząknął, głębiej zaciągał się dymem i mruczał:

Wszystko na świecie trzeba poznać.

W Warszawie stanął w Europejskim Hotelu, sprawił nowy garnitur i starał się odświeżyć zeszłoroczne znajomości. Spostrzegłszy jednak po tygodniu, że wydał kilkaset rubli i stracił serca swoich, wyniósł się do Hotelu Saskiego.

Po paru tygodniach wyprowadził się na Dziekankę, a stamtąd aż na Nowolipki, widząc z przerażeniem, że pieniądze uciekają mu jak woda ze spaczony konewki. Dużo też myślał o przyszłości. Z początku miał zamiar ożenić się z córką jakiego milionera, kupić parę domów i mieszkać za granicą. Potem zdecydował się przyjąć jakąś posadę, choćby dyrektora kolei albo cukrowni. Lecz w tydzień później już zdziwiłby się, gdyby kto chciał utrzymywać, że jemu, Furdasińskiemu, żadną miarą nie wypada zostać plenipotentem lub rządcą jakiego majątku. Zaś w kilka dni zgodziłby się i na posadę kasjera lub sekretarza przy jakiejś miejskiej instytucji.

Wreszcie z resztek pieniędzy zostało mu niecałe trzysta rubli. Mieszkał już w brudnym zajęzdzie na Nowolipkach, jadał pięćdziesięciogroszowe

obiady i odłożył dwa ostatnie sturublówce do oddzielnego przedziału w pugilaresie, przysięgając, że tych nie wyda. Jednocześnie dał do "Kuriera" ogłoszenie "o obywatelu ziemskim w sile wieku i kawalerze, który posiada kaucję i poszukuje odpowiedniego zajęcia" i pilnie zaczął śledzić część dzienników, zatytułowaną: Posady i prace.

Gdy oprócz dwu owych sturublówek na kaucję, miał niecałe dziesięć rubli majątku, wpadło mu w oczy ogłoszenie: "Do biura informacji potrzebny inkasent z kaucją. Pierwszeństwo mają kawalerowie znający prowincję." Pan Furdasiński zarumienił się z radości. Była to posada widocznie dla niego, gdyż jakkolwiek nie wiedział dobrze, co znaczy inkasent, lecz był kawalerem i znał prowincję... Ba! znał Paryż... Ponieważ ogłoszenie to przeczytał będąc w cukierni, więc kazał zaraz podać zamiast czystej herbaty filiżankę kawy i kieliszek abricotiny; wypił to duszkiem i pobiegł pod wskazany adres. Idąc kupił jeszcze cygar po dwadzieścia kopiejek, ale tylko pięć sztuk dla oszczędności.

W kantorze znalazł parę czarno lakierowanych stołów, na których leżały stosy aktów, kasę ogniotrwałą i obok niej, na ścianie, kilka pęków kartek zapisanych liczbami. Wszystkiego pilnował człowiek, który siedząc na fotelu skórą obitym czyścił sobie paznokcie. Na widok pana Furdasińskiego człowiek z kantoru zerwał się na równe nogi. Był to jegomość dziwnie ruchliwy, z nadzwyczaj bystrymi oczyma, źle uczesany, niedbale ubrany, ale bardzo grzeczny.

Czym szanownemu panu mogę służyć? zapytał nisko kłaniając się i podsuwając panu Furdasińskiemu fotel, jedyny sprzęt, na którym można było usiąść.

Szlachcic zmieszał się i rzekł prawie pokornie, choć chciał nadrobić miną: Czytałem ogłoszenie o... tym inkasencie...

Ach! tak przerwał gospodarz i prędko usiadłszy na fotelu zaczął znowu skrobać paznokcie.

Po chwili zaś, spod oka patrząc na suplikanta, zaczął pytać:

Jakie pan ma kwalifikacje?

Miałem wieś Furdasówkę...

Fiu! gwizdnął gospodarz. Ale ja się pytam o kwalifikacje naukowe?

Byłem w gimnazjum... Także za granicą... Umiem niezłe mówić po francusku dodał nieco głośniejszym głosem pan Furdasiński.

Fiu!... a jaką kaucję pan ma?

Dwieście rubli...

Mało. U mnie, panie, robią się interesa na setki tysięcy rubli. Można mieć duże dochody, ale... potrzeba złożyć kaucję. Nieraz będziesz pan musiał podnieść z banku jakieś kilkanaście tysięcy... Muszę mieć pewność. Pan Furdasiński, znękany przez widmo nadciągającej biedy, stał jak uczeń na egzaminie.

Widzi pan rzekł zawstydzony chwilowo nie mogę...

Aha!... no!... przerwał właściciel kantoru. Pańskie szczęście, że mi się podobasz. Siadaj więc i napisz swoje curriculum vitae wymieniając osoby, które pana znają. Ale poważne osoby!... Wstał z fotelu i przysunął niedbale panu Furdasińskiemu papier i kałamarz, w którym atrament zgęstniał jak smoła, zapewne z ciągłego użycia.

Ale, ale dodał ja teraz muszę odnieść pewną sumę do Banku Handlowego i na pół godziny zostawię kantor pod pańską opieką. Woźny ma dziś pogrzeb...

Otworzył z ogromnym trzaskiem kasę ogniotrwałą i począł z niej wydobywać koperty napełnione różnokolorowymi wartościami, mruczając: Bank Polski trzy tysiące... jutro o dziesiątej... Bank Dyskontowy dwa tysiące osiemset jutro...

O! jest Bank Handlowy...

Nagle zwrócił się do pana Furdasińskiego.

Nie możesz mi pan zmienić dwieście pięćdziesiąt guldenów na ruble?

A ileż to trzeba? odparł zapytany gryząc pióro.

Dwieście rubli z czymś... Zresztą daj pan tymczasem dwieście.

Pan Furdasiński wydobył dwie ostatnie tęczówki, a właściciel kantoru odwróciwszy się do kasy liczył guldeny.

Pięćdziesiąt... sto... sto pięćdziesiąt... Zmienisz pan to u wekslarza obok. Ale... A po ile pan weźmiesz za guldena? rzekł nagle i lekko wysunąwszy z ręki panu Furdasińskiemu sturublówki, z szybkością magika schował je do swej koperty.

Czy ja wiem, ile mi dadzą odparł pan Furdasiński.

Wyborny inkasent! zaśmiał się właściciel kantoru. Tym sposobem straciłbyś pan pół kopiejki na rublu, czyli rubla na dwustu i po kilku podobnych operacjach stopniałaby kaucja. Bo ja za pańskie omyłki płacić nie myślę.

No dodał ale na pierwszy raz mniejsza o to. Sam, jak będę wracał, wymienię panu u wekslarza guldeny. Teraz niech pan szybko pisze swoje curriculum vitae, a gdyby przyszedł jaki interesant, proszę powiedzieć, że wrócę z banku dopiero za pół godziny.

Zamknął kasę, ogromną kopertę wziął pod pachę i wybiegł.

Pan Furdasiński zaczął pisać:

"Urodziłem się w Furdasówce..." Przekreślił i zaczął na nowo:

"Przyszedłem na świat w majątku dziedzicznym Furdasówka..." Więcej nie umiał dodać ani wyrazu. Wziął więc pióro w zęby i zamyślony oparł głowę na rękach.

W tej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi.

Ha! mam cię, oszuście!...

Pan Furdasiński zerwał się na równe nogi i stanął oko w oko z jakimś zaperzonym człowiekiem, który trzymał potężny kij w garści, widocznie gotując się do zadania nim ciosu.

Obaj panowie patrzyli na siebie przez kilka sekund, zdziwieni.

Przepraszam! bąknął gwałtowny przybysz. Ale... gdzie jest ten oszust?...

Jaki oszust?...

Ten... ten dyrektor kantoru... Dyrektor!... Hultaj, który kradnie uczciwym ludziom kaucje i fałszuje weksle...

On kradnie kaucje? spytał przerażony Furdaaiński.

Czy może i pana naciągnął? spytał na odwrót popędliwy nieznajomy.

W tej chwili wziął ode mnie dwieście rubli...

Cha! cha!... zaśmiał się przybysz. To on tu już nie wróci. Ale ja znaję go w knajpie...

I wybiegł wywijając kijem w sposób znaczący.

Pan Furdasiński stał odurzony. Był nędzarzem, miał niecałe dziesięć rubli...

Nim jednak zdążył zebrać myśli, wbrew przewidywaniom człowieka z dużym kijem ukazał się właściciel kantoru. Uśmiechnięty nucił coś pod nosem.

Cóż, curriculum vitae skończone? zapytał pana Furdasińskiego. Musisz pan zaraz objąć swoje obowiązki i posiedzieć tu do trzeciej, gdyż wypadł mi nagły interes do hipoteki.

A moje dwieście rubli? rzekł ostro pan Furdasiński.
Pójdą na kaucję odparł najspokojniej dyrektor kantoru.
Bóg zapłać! odparł pan Furdasiński. Był tu dopiero ktoś u pana także po kaucję... Szuka pana po całym mieście i nazywa oszustem... Oddaj mi pan moje dwieście rubli, to ostatni grosz...
Dyrektor oburzył się.
Słowo honoru daje, że to jakiś intrygant chce mi oficjalistę zbałamucić.
Ale nie wierz pan tym plotkom... Słowo honoru...
Żądam moich dwustu rubli mówił do głębi wstrząśnięty pan Furdasiński.
Jeżeli mi nie oddasz, zawołam policji...

Dyrektor od razu zmienił ton.

Fiu! kochanku zawołał toś i ty taki dobry, jak inni! Masz niby to pocziwą minę, a grozisz policją?... A gdzie dowód, żeś mi dał pieniądze?...

Jeżeli ja jestem łotrem, który nie zasługuje na ufność, to trzeba mieć kwit...

Ja nie mówię, że panu nie ufam... przerwał pan Furdasiński, łamiąc sobie palce w bezsilnym gniewie.

A, jeżeli mi pan ufasz, więc oddam ci pieniądze za parę dni...

Chcę zaraz!...

Nie ma głupich.

Zrobię panu awanturę... pójdę do prokuratora!... wołał pan Furdasiński nie wiedząc już co mówi.

Kochany panie odparł dyrektor chłodno. Mnie już robili awantury, nazywali oszustem, skarżyli... To dla mnie chleb codzienny. Ale jeżeli ty chcesz awantury ze mną, więc dobrze. Nie oddam ci pieniędzy, dopóki nie pokażesz kwitu, żem je wziął, a jak będziesz robił wrzaski, każę cię zaprowadzić do cyrkułu.

Panu Furdasińskiemu zaczęło mącić się w głowie. Dyrektor tymczasem usiadł na fotelu i, wydobywszy z kieszeni pilniczek, zaczął znowu skrobać paznokcie.

Wszelako osobliwy ten kantor był domem niespodzianek. W tej bowiem chwili weszła tu sędziwa kobieta, z włosami białymi jak mleko i niezwykle piękną twarzą. Gdyby nie zaczerwienione od płaczu powieki i usta drgające jakimś wielkim żalem, można by myśleć, że to nie osoba żyjąca, ale ubrany czarno posąg Nioby.

Staruszka ruchem pełnym godności skinęła głową panu Furdasińskiemu i szybko zbliżyła się do dyrektora, który zerwawszy się z fotelu stał zmieszany. Dama, z trudnością hamując wybuch płaczu, mówiła do dyrektora:

Coś ty znowu zrobił, nieszczęsne dziecko?... Przed godziną wpadł do mnie jakiś awanturnik i lżył cię... tak strasznymi wyrazami, że... zemdlalam z bólu...

I chwytając go za rękę dodała błagalnym tonem:

Czy to może być prawda, dziecko, co on mówi?... Tu coś dzieje się, o czym ja muszę się dowiedzieć, chociaż... bodajbym pierwiej była w grobie...

Płakała cicho zasłaniając chustką usta. Dyrektor ze czcią posadził ją na fotelu i otarł pot, który mu wystąpił na czoło. Był prawie tak błądy jak staruszka. Zwrócił się na chwilę do pana Furdaśińskiego i szepnął:

Wyjdź pan stąd...

Pan Furdasiński nie ruszył się. Widmo nędzy zrobiło go brutalem.

Staruszka mówiła półgłosem:

Tamten... awanturnik... twierdzi, żeś wziął od niego jakąś kaucją...

Krzyczał, żeś ty... o mój Boże!...

Kochana mamó odparł dyrektor czy mama nie rozumie, że to są figle moich współzawodników?...

Podkopują mi kredyt i burzą domowy spokój...

Pokazywał mi twój kwit szepnęła matka.

No, wielka rzecz! Więc oddam mu pieniądze za pół roku, bo taki jest termin na zwrot kaucji. Był to niesumienny oficjalista, którego musiałem oddalić.

Oddajże mu dziś choć trochę.

Dyrektor zawahał się.

Zresztą rzekł niecierpliwie dam mu jakieś o conto w tych dniach.

To może i mnie odda pan dwieście rubli? odezwał się pan Furdasiński.

Staruszka zatrzęsa się i, ze wstrętem odwracając głowę od nieznanego sobie człowieka, zapytała gwałtownie syna;

Dziecko, co to jest?... Co on mówi?...

Ale cyniczny właściciel kantoru tym razem milczał.

Głowa zwisała mu na piersi i opadły ręce.

Pan Furdasiński pochwycił:

Ostatnie dwieście rubli wziął ode mnie syn pani i mówi, że ich nie odda, bo... nie mam jego kwitu!...

Staruszce łzy obeschły.

Dziecko zapytała czy to prawda?

Dyrektor ukradkiem rzucił groźne spojrzenie na pana Furdasińskiego, ale milczał. Był bardzo zmieniony.

Staruszka wstała z fotelu i głosem spokojnym a stanowczym rzekła:

Trzeba zaspokoić tego pana.

Nie mam pieniędzy szepnął syn.

Więc daj mu rewers i płać ratami, ale spłać go...

Spłać ich wszystkich, bo...

Nie dokończyła i nie spojrzawszy na syna wyszła z kantoru.

Była chwila ciszy. Przerwał ją dyrektor chwytając gniewnie za papier i pióro. Napisał kwit i podał go panu Furdasińskiemu.

Masz pan rzekł kwit na twoje dwieście rubli. Nikt ci nie da dziś za to ani grosza, ale ja go spłacę po pięć rubli tygodniowo, począwszy od listopada Teraz... sam nie mam nic...

Ale dodał topiąc w nim spojrzenie drapieżnego ptaka domu pan nie nachodź... matki mi nie dręcz... Bo przysięgam ci, będziesz tego żałował!...

Wskazał mu drzwi i mruknął:

Pierwsza rata w listopadzie...

Pan Furdasiński wyszedł oburzony. Nie wiedząc dlaczego był pewien swoich dwustu rubli, ale w ratach tygodniowych i dopiero w listopadzie. Teraz, przy końcu września, był nędzarzem.

Na myśl o tym ciarki go przeszły; nie tracąc jednak humoru rzeki do siebie na cały głos:

Wszystko na świecie trzeba poznać!...

Aż obejrzały się dwie idące przed nim ładne panienki. Jeszcze kilka dni mieszkał na Nalewkach. Rano i wieczór pijał herbatę w swoim zajeździe, a na obiad kupował w mieście kilka bułek i serdelków. W tej epoce można go było spotkać w Saskim Ogrodzie, gdzie chodząc po głównych alejach, z kwiatkiem w dziurce od guzika, na pozór przypatrywał się swoim kolorowym kamaszom i nucił kilka wyrazów z arii Łaski! ale duszę miał pełną rozpaczy.

Jednego dnia gospodarz zajazdu podał mi rachunek. Należało się siedem rubli. Pan Furdasiński z miną Rotszylda zapłacił pięć rubli, a na dwa kazał zaczekać, gdyż obecnie nie ma drobnych. Żyd zgodził się bez trudności wiedząc, że ma w swej mocy tłumoczek i paszport lokatora.

Pan Furdasiński wyszedł na miasto. Maszerował krokiem austriackiego porucznika; ustępując damom wyginał się w sposób pełen wdzięku; obracał w rękę laseczkę jak Kupido. Ale w głowie nie mógł powiązać dwu myśli. Chwilami zdawało mu się, że tam już nic nie ma, tylko rozlegają się echa huczącego miasta. Czasami rzucał się nagle w bok, jakby chcąc gdzieś uciec, bo przywidziało mu się, że za nim chodzi wielki wstyd przebrany za zwykłego człowieka. On, który przed trzema miesiącami spłacił wierzycielom trzydzieści osiem tysięcy rubli, dziś nie ma czym spłacić dwu rubli za hotel!... Z całej ojcowskiej fortuny został mu tłumoczek w zastawie u Żyda i dwie dziesiątki gotówką. Chcąc mieć jeszcze drobniejszą monetę wszedł do sklepiku i rzekł:

Chciałbym kupić bułkę... dla pieska... Może mi pani wyda dwugroszniakami.

Sklepiarka, wydawszy mu pożądane dwugroszniaki, pomyślała, że elegant ten musi mieć dobre serce, bo gdy mówił o bułce, to się jakby zachłysnął, pewnie z wielkiej litości nad pieskiem.

Jedną noc przepędził spacerując po głównych ulicach miasta. W dzień drzemał parę godzin, rozparty jak książkę, na ławce w Saskim Ogrodzie, zjadł swoją bułkę i, z miną bardzo wspaniałą, kazał sobie podać kufel wody ze studni, ale nic nie zapłacił. Drugą noc przepędził również na spacerze, a o wschodzie słońca zasnął tak twardo na ławce w Alejach

Jerozolimskich, że go ledwie obudził milicjant śmiejąc się z tego: "co pan tak wiele wypił..."

Potem już stracił rachubę czasu, trapiła go bowiem senność i gorączka, przy której nawet zapomniał, że mu się jeść chce.

Chwilami, kiedy z zadartą głową, w pomiętym kapelusiku na bakier i z miną wielkiego zarozumialca, przechodził między tłumem ładnych kobiet i ludzi sytych, zajmujących legalne mieszkania, budziła się w nim świadomość losu.

Wówczas zręcznie obracał między palcami czarną laseczkę, ozdobioną biustem gołej panny, i mruczał:

Wszystko na świecie trzeba poznać!...

Nareszcie, pewnego wieczora, idąc Nowym Światem do Placu

Aleksandra, ażeby stamtąd wrócić Nowym Światem na Krakowskie Przedmieście, uczuł, że trzeba umrzeć.

. Nie było to uczucie przykre, ale takie, jakiego człowiek doświadcza naówczas, kiedy nagle zechce mu się iść do teatru albo na spacer. W paroksyzmach gorączki zdawało mu się, że jest małym chłopcem i że, jako taki, tęskni już za swoją matką i ojcem.

Wymijając boczną ulicę, usłyszał jakiś łoskot, dzwonienie i poświstywanie i całkiem nieprzytomny wyobrażał sobie, że to śmierć daje mu znać o sobie.

Byłby nawet przysiągł, że jakieś głosy potężne i niecierpliwe wołają prędko:

"Tu jestem... Tu jestem... Tu jestem!..."

Skręcił w lewo i biegł ulicą na dół, a nogi mu się plątały. Z granatowego nieba wychylały się do niego figlarne gwiazdy.

Nagle pociemniało mu w oczach, uderzył o coś głową i już nic nie widział. Był dzień, kiedy się ocknął. Leżał na tapczanie w obszernej izbie, po której chodzili ludzie o surowych twarzach, z zawiniętymi rękawami,

usmoleni jak kominiarze. Tapczan i ściany izby drżały, w powietrzu rozlegał się huk, dzwonienie, poświstywanie i hałaśliwe głosy wołające: "Tu jestem... Tu jestem..."

Do pana Furdasińskiego zbliżył się mężczyzna nieusmolony i w surducie. Wziął go za puls, popatrzył bystro w oczy i kazał mu połknąć kieliszek lekarstwa, które wyglądało na bardzo mocną wódkę.

Chory oprzytomniał, a wówczas surdutowy jegomość rzekł:

Zdaje mi się, że pan Furdasiński?

Tak.

Pan byłeś w szkołach w Piotrkowie?

Tak.

No, to jesteśmy szkolni koledzy. Ale musiałeś pan przynajmniej tydzień nie jeść. Co to znaczy?...

Chory przypomniał sobie wszystko. Usiadł na tapczanie i schwyciwszy jegomościa za rękę szepnął:

Jestem w bardzo złym położeniu... Szukam zajęcia...

Znajdziemy. Jakiego pan chcesz?...

Stróżem zostanę.

No, nie. Zostaniesz pan na początek, magazynierem w tej fabryce. Tymczasem pójdiesz pan do szpitala.

W parę tygodni później pan Furdasiński zajmował już nową posadę. Obeznał się z obowiązkami bardzo prędko i otrzymał trzydzieści rubli pensji miesięcznej. Zaraz napisał na wieś po swego szpaka, którego mu pdeatano, a przy okazji i fajkę na krótkim cybuszku, której zapomniał w dworze. Pierwszego listopada stawił się w jego izdebce dyrektor kantoru informacyjnego. Doniósł mu, że już zupełnie zbankrutował i wypłacił pierwszą ratę w kwocie pięciu rubli.

Odtąd odnosił mu należność co tydzień i wkrótce tak polubił pana Furdasińskiego, że mu raz powiedział:

Wiesz pan co? Ciśnij do licha fabrykę i uformujmy spółkę. Ja mam zdolności do interesów, a pan taką pocziwą minę, że się na nią każdy złapie...

A gdy pan Furdasiński milczał, eksdyrektor, gwałtownie ściskając go za rękę, zawołał tonem głębokiej wiary:

Pomyśl pan o tym... Przysięgam ci, że okpimy całą Europę!...

Ale pan Furdasiński nie zgodził się na zawiązanie spółki z niezwykłym przedsiębiorcą. Biega więc po fabryce od szóstej rano do dziesiątej

wieczór, a gdy znajdzie kwadrans wolnego czasu, wymyka się do izdebki. Tam z wielkim zadowoleniem pali swoją fajkę na krótkim cybuszku i przypatruje się szpakowi, który zagwizdawszy kilka wyjątków z oper wrzeszczy:

Diabli wzięli Furdasówkę!...

Cha! cha! śmieje się jego pan ale nas zostawili!

BAJKA

Między Pawłem i Gawłem przez szereg lat toczył się proces o majątek. Paweł był to piękny i okazały szlachcic; Gaweł — niezgrabny, lecz silny dorobkiewicz. Paweł miał jedną skrzynię pieniędzy, a drugą odwiecznych dokumentów; Gaweł miał dwie skrzynie pieniędzy i małą kopertę z wekslami Pawła. Nareszcie Paweł wierzył w świętość starych przywilejów i robił, co mógł, ażeby upokorzyć Gawła; Gaweł zaś wierzył, że mieć będzie tylko to, co sobie sam zrobi; robił zaś wszystko, co potrzeba, ażeby z bogacić się i — wygrać proces.

Poza tańcami, ucztami i polowaniami, najmilszym zajęciem Pawła było obmyślać sposoby wywyższenia się nad Gawłem. Gdy Gaweł wybudował sobie dom, Paweł wznosił pałac. Gaweł ubrał swoją służbę w jednakowe sukmany; Paweł natychmiast sprawił swojej czerwoną liberję ze złożonemi guzikami. Gaweł kupił czwórkę kasztanów; Paweł dopóty nie zaznał spokojności, dopóki w stajni nie posiadał ośmiu kasztanów w białe łaty.

W taki sposób, na każdym kroku upokarzając Gawła, Paweł wydał pieniądze, które miał w skrzyni, i jeszcze wystawił sporo weksli, które Gaweł wykupił pocichu.

Gdy wieść o gospodarce Pawła rozeszła się już i w dalszych okolicach, przyjechał do niego stary przyjaciel rodziny i rzekł:

— Mój Pawełku, słyszę, że straciłeś całą gotówkę po ojcu i jeszcze wlałeś w długi. Daj więc pokój twoim wyścigom z Gawłem, bo każdy wyścig ma tę. niedobrą stronę, że można na nim kark skrócić.

Paweł zamyślił się i odparł:

— Aha! Rozumiem i już teraz wiem, co zrobię!...

Lecz gdy dowiedział się, że Gawłowi przybyła trzecia skrzynia z pieniędzmi i druga koperta z jego weksłami, gniew Pawła przerodził się w niepokój, a duma w nienawiść. I postanowił nie ścigać się z Gawłem, ale wprost nawet nie robić tego, co robi Gaweł.

— Niech ludzie nie myślą — mówił do siebie — że między mną, a tym gałganem jest coś wspólnego!...

Gdy więc Gaweł zaczął ulepszać swoją ziemię sztucznymi nawozami, Paweł zapowiedział rządcom, aby nie ważyli się sprowadzać do jego majątków nawet łuta sztucznego nawozu. Gdy Gaweł postawił nowe obory dla bydła i nowe domy dla czeladzi, Paweł kazał trzymać bydło w walących się oborach, a parobkom mieszkać w izbach, które nie miały drzwi i okien. Gdy Gaweł począł u siebie zaprowadzać płodozmian, Paweł nabrał nagle ochoty do trzypolówki i twierdził, że ten jest najlepszy system rolnictwa w warunkach obecnych.

Dzięki takim praktykom, długi Pawła wzrosły, a Gaweł posiadał już trzecią kopertę weksli swojego przeciwnika.

Wówczas do Pawła znowu przyjechał w odwiedziny stary przyjaciel i rzekł:

— Do tej pory, mój Pawle, przypuszczałem, że nie masz doświadczenia, ale dziś widzę, że ty nie masz rozsądku...

— A to znowu co?... — oburzył się Paweł.

— Tylko zastanów się — mówił stary przyjaciel. — Przez szereg lat chciałeś Gawła upokorzyć wydatkami na rzeczy zbytkowne i nadszarpnąłeś majątek. Dziś znowu, przez ślepą nienawiść, rzuciłeś się w drugą ostateczność i nie chcesz robić nic z tego, co on robi, choćby to było najlepsze; no — i rujnujesz swój majątek doreszty...

— A jakżeby pan poczynął sobie z tym gałganem, będąc na moim miejscu?... — zapytał nieco skruszony Paweł.

— Przedewszystkiem, nie zajmowałbym się Gawłem — od

parł przyjaciel — i robiłbym nie jemu na złość, ale sobie na pożytek.

Owszem, naśladowałbym go w rzeczach dla mnie korzystnych, i nawet nie

wahałbym się przyznawać mu pierwszeństwa, o ile naprawdę zrobiłby coś lepiej ode mnie...

Paweł zamyślił się i odparł:

— Aha!... Teraz już wiem, co zrobię!

Ale nie zrobił nic, ponieważ Gaweł, zebrawszy dostateczną ilość jego weksli, uzyskał wyrok sądowy i przy pomocy komorników wyrzucił Pawła z majątku.

Niedaleko znajdzie kulawy rozsądek, chociażby pycha z nienawiścią prowadziły go pod rękę.

WOJNA I PRACA

Gdzieś na oceanie Spokojnym leży wyspa owalnego kształtu, długa na dwieście, szeroka na sto kilometrów. Pasma gór dzieli ją na dwie nierówne części, południową i północną. Część północna, najeżona dzikimi skałami, miała niegdyś grunta jałowe albo bagniste, ubogą roślinność, dużo zwierząt drapieżnych i jadowitych gadów, a powietrze nasycone wilgocią, wśród której wałęsały się niebezpieczne gorączki. Zato część południowa wyspy miała prawo nazywać się rajem ziemskim. Była to miejscowość poprzecinana mnóstwem rzeczulek, ozdobiona wzgórzami i dolinami, nad którymi unosi się wieczna wiosna. Niby w ogrodzie botanicznym żyje tam wiele tysięcy roślin, które dostarczają drzewa na budowle, włókien na tkaniny, barwników, lekarstw, pachnideł, a nadewszystko materiałów pokarmowych. Trudno byłoby policzyć wszystkie odmiany jagód, orzechów, owoców, przypominających jabłka lub ananasy, daktyle i słodkie kasztany. Samych roślin, wydających mączkę, istnieje około trzydziestu gatunków.

Mniej obfitym jest świat zwierzęcy. W każdym razie znajduje się tyle jeleni, zajęcy, owiec, a dalej — bażantów, kuropatw, gęsi i kaczek, nareszcie — pstrągów i łososi, że mieszkańcy tamtejsi na brak mięsa nie mogli narzekać.

Północną, ubogą, część wyspy zamieszkiwał naród dziki. Byli to ludzie czarni, nędzni, o niskich czołach, grubych wargach i nozdrzach zwierzęcych; mieszkali w jaskiniach albo

szalasach z gałęzi, utrzymywali się z myśliwstwa i rybołówstwa, a wymierali albo z głodu, albo z gorączek. Niegdyś zaludniali całe wyspę, ale przed kilkoma wiekami napadnięci przez inny, silniejszy naród, zostali częścią wytepieni, częścią wygnani do północnych okolic.

Od tego czasu południową stronę zajęli triumfujący najeźdźcy. Był to lud barwy brązowej, odznaczający się piękną postawą i niezwykłymi zdolnościami. Dzielił on się na dwie kasty: Majungów i Androwanów, czyli panów i podwładnych. Panowie mieli cerę jaśniejszą i greckie rysy twarzy; podwładni mieli fizjognomje pospolitsze, wyższy wzrost i silniejsze mięśnie. Oni to zajmowali się uprawą jarzyn, hodowlą drzew owocowych i roślin mącznych; oni polowali na zwierzyne, tkali i szyli odzież, budowali domy, wyrabiali naczynia i sprzęty; oni trudnili się handlem i przenoszeniem towarów.

Na panach ciążył jeden tylko obowiązek: walki z nieprzyjaciółmi. Ale ponieważ nieprzyjaciół nie było na wyspie, więc panowie musieli w inny sposób zużywać swoje siły. W tym celu za każdą odmianą księżyca wykonywali wspaniałe tańce wojenne, a w dni zwykłe uczyli się grać na arfie i flecie, układali poematy na cześć bohaterskich przodków, albo z różnokolorowych piórek czy kamyków układali obrazy, przedstawiające znakomitsze wypadki dziejowe.

Były to niepospolite wydarzenia: walki z olbrzymami, tępienie smoków, oswabdzanie pięknych księżniczek z rąk czarodziejów... W hołdach składanych przodkom każde pokolenie starało się wyścignąć poprzedników, dzięki czemu liczba bohaterów mnożyła się tak, że trudno było zapamiętać ich nazwisk, olbrzymy stawały się coraz ogromniejsze, czarownicy coraz brzydsi, a smoki miały coraz większą ilość głów. Muzyka, tańce, malowanie i opiewanie chwały przodków, tak zapełniały czas Majungom, że żaden z nich nie tylko nie chciał, ale nawet nie

potrafiłby sam zerwać owocu z drzewa, sam nakryć do stołu, a choćby przynieść sobie wody ze źródła.

Majungowie tak pogardzali pracą, że jeden z najpopularniejszych poematów był poświęcony bohaterowi, który podróżując, umarł z głodu przy koszu pełnym jada, ponieważ służący zabłąkał się w drodze i nie mógł swemu panu pokrajać ani podać na tacy mięsiwa i chleba.

Między Majungami, od czasu do czasu zjawiali się mędrcy, których niepokoiło to lekceważenie pracy przez kastę panów.

— Postacie wasze — mówili do Majungów — są drobniejsze, nogi cieńsze, a ręce słabsze, aniżeli u waszych podwładnych, u Androwanów. A ponieważ jest was mniej, aniżeli ich, więc może nadejść chwila, że Androwanowie nie zechcą spełniać waszych rozkazów, przestaną wam dostarczać miodowych placków i papuzich języków, a nawet, kto wie, czy nie ośmielą się wypędzić was z bambusowych dworców i ubierać się w wasze szaty, którym tęcza zazdrości kolorów.

Ale Majungowie śmieli się z tych przepowiedni i odpowiadali mędrcom: — Wasza mowa podobna jest do krakania cuchnących kruków, więc lepiej zamilknijcie, ażeby nie usłyszał was jaki Androwan i mniej dbałem wypełnianiem swoich obowiązków nie naraził się na nasze gniewy... Prawdziwy Majunga nie potrzebuje mieć grubych rąk i wielkiej tuszy, tylko pogardę dla śmierci... Nie pięścią bowiem, ale odwagą sławni przodkowie nasi zwalczali dwunastogłowe smoki i olbrzymów wyższych od palmowego drzewa.

Istotnie, najpierwszą cnotą u Majungów była odwaga. Kto między nimi splamił się tchórzostwem, był nie tylko wyłączony z kasty, ale wyklęty i wypędzony do kraju bagien, jak to czyniono ze złodziejami i mordercami. Dla podtrzymania w sobie wielkiej cnoty — odwagi, Majungowie cztery razy na rok urządzali igrzyska, podczas których młodzież i starsi, w obliczu dam, popisywali się tańcami, muzyką i hymnami na cześć bohaterskich przodków. Damy sądziły popisujących się. Kto miał największą liczbę głosów,

dostawał z rąk najpiękniejszej wieniec róż. Ale kto za swój taniec, grę na arfie lub poemat otrzymał najmniej głosów, ten, według zasad honoru,

powinien był odebrać sobie życie. Nie mogąc być wielkim artystą, zostawał przynajmniej bohaterem drugiej klasy.

Do tytułu bohatera pierwszej klasy miał prawo tylko ten młodzian, który otrzymawszy na igrzyskach różany wieniec i mogąc pojąć w małżeństwo najpiękniejszą dziewczynę, wyrzekał się sławy, wyrzekał się miłości i dobrowolnie umierał. Takim stawiano nagrobki w miejscach publicznych i na ich cześć wyśpiewywano poematy.

Straszliwe igrzyska miały na celu rozbudzać w Majungach pogardę dla śmierci. Zabawom tym namiętnie przypatrywali się Androwani, robili wielkie zakłady na rachunek domniemanych zwycięzców i burzliwie oklaskiwali konających bohaterów. Zabawy te podtrzymywały w nich cześć dla Majungów i utwierdzały w posłuszeństwie. A jeżeli kapryśny pan dokuczył kiedyś podwładnemu, Androwan pocieszał się myślą:

— Kto wie, może ten pocziwiec na następnych igrzyskach poderżnie sobie gardło?... W takim razie wszyscy będą pokazywali palcami na mnie, jego sługę, i będą wymawiali moje imię!... Dla takiej sławy warto znosić pańskie fantazje.

Mimo to, znowu znalazł się jakiś mądry Majunga, który mówił do swoich: — Niewątpliwie piękną jest rzeczą rozpruć sobie brzuch w miejscu publicznym; ja jednak wolałbym, ażebyście umieli nie tylko sami krajać, ale nawet piec miodowe placki i gotować papuzie języki.

Wyśmiano go.

ROZDZIAŁ II

Pewnego dnia zdarzył się na wyspie wypadek niesłychany: zerwała się burza, całą dobę padał śnieg, a w rzeczułkach zamarzła woda.

Przez kilka pierwszych godzin Andoowanowie jak opętani biegali po ulicach, ryczeli ze strachu, padali na ziemię i tarzali się w piekącym śniegu. Ale Majungowie nie stracili przytomności: odezwały się bojowe trąbki i wszyscy potomkowie bohaterów, jak jeden mąż, zebrali się na ogromnym placu igrzysk. Tam uchwalono, że położenie jest niebezpieczne i że trzeba ratować społeczność. Więc naprzód z największą precyzją odtąńczono aż dwa tańce wojenne, następnie odśpiewano hymn

na cześć bohatera Nizafy, który pokonał największego olbrzyma, potem na cześć przodka Rakoto, który uciął największą liczbę głów smokowi, wreszcie przypomniano zasługi nieśmiertelnego Sekoli, który najpiękniejszą księżniczkę wydarł z rąk najszkaradniejszego czarodzieja. A ponieważ wiatr dał i śnieg padał w dalszym ciągu, więc kilku najznakomitszych harfistów i flecistów odegrało poważny utwór muzyczny, dwu poetów skomponowało dość zresztą słabe poematy przeciw burzy, a nareszcie kilku bohaterów dokonało aktu poświęcenia się dla ogólnego dobra i własnoręcznie pozabijało się mieczami.

Lecz i teraz śnieg padać nie przestawał. Bohaterscy Majungowie przemarzli wrócili do bambusowych pałaców, a zatrwożeni w pierwszej chwili Androwanowie poczęli odzyskiwać zimną krew. Zapalili ogniska, odzieli się we wszystkie szaty, jakie kto posiadał, dobrze podjedli, napili się wina...

Po upływie doby śnieg przestał padać, ku wieczorowi stopniał, temperatura podniosła się. Wtedy Androwanowie opuścili ciepłe chaty i ostrożnie zaczęli oglądać się po okolicy.

Kłęska była straszna. Wszystkie jarzyny i większa część drzew owocowych przemarzły; pola były zasłane trupami sarn, zajęcy i ptactwa, a ocalały tylko niektóre jadalne korzenie i rośliny, dostarczające mąki. Androwani, zmiarkowawszy, że będzie głód, natychmiast wzięli się do zbierania i starannego ukrywania materiałów spożywczych. Każdy z nich miał żonę, dzieci, niekiedy rodziców,

liczył tylko na własną pracę, więc chował, co mógł. A tymczasem Majungowie nietylko od dwóch dni nie byli obsługiwani, ale nawet nie jedli i nie oglądali swoich podwładnych, zajętych ubezpieczaniem własnych rodzin. Jaki taki przypominał sobie legendę o bohaterskim Manitru, który wolał umrzeć z głodu, aniżeli sam krajać sobie chleb i mięso, wnet jednak spostrzegł, że łatwiej jest śpiewać, a nawet tworzyć bohaterskie poematy, aniżeli obywać się bez żywności.

Niektórzy roztropniejsi, nie mogąc doczekać się podwładnych, zaczęli sami zbierać przemarzłe i napół zgniłe owoce; inni jednak nie zapomnieli o swojej godności. Naprzykład pan Sarahol wezwał podwładnego Banona i krzyknął z gniewem :

— Gdzie ty siedzisz, hultaju, kiedy ja od dwu dni jestem głodny?...

— Pilnuję dzieci, które pochorowały się z zimna...

— Dam ja tobie dzieci! Przynies mi zaraz miodowy placek, bażanta i dzbanek wina.

— Niema placka, niema bażantów, niema wina — odparł Banon, rozkładając ręce.

— Więc przynies mi, co masz.

— Nic nie mam — szepnął podwładny.

Pan Sarahol schwycił za miecz i począł gonić uciekającego Banona.

Nieszczęściem na drodze ukazała się Banonowa, która, chcąc ratować męża, rzuciła się na pana. Sarahol zrobił nieostrożny ruch mieczem i ranił kobietę, a po chwili sam upadł. Powalił go Banon, wrzeszcząc wniebogłosy:

— Mordują nasze kobiety!... mordują matki naszych dzieci!...

ROZDZIAŁ III

W taki sposób zaczęła się między Majungami a Androwanami okrutna wojna domowa; wywołał ją jeden mroźny wichur, a jej najwyższym celem był kawałek zepsutego mięsa,

albo woreczek kartofli. Dla kawałka mięsa i garści kartofli mordowano się pojedynczo i kupami, ucinano ludziom ręce, nogi i głowy, miażdżono kości, rozpruwano brzuchy, przebijano piersi, palono całe rodziny etc. Nad sagami trupów i kałużami krwi unosił się głód, który uzuchwalał Androwanów, rozbestwiał ich kobiety, wycieńczył Majungów, a ich piękne żony i córki popychał do samobójstw.

W rezultacie po dziesięciodniowej walce, w której padło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, Majungowie, pomimo bohaterstwa, musieli cofnąć się za góry, do przekłętą kraju bagien.

Tam znowu trapił ich głód, dla którego odpędzenia trzeba było jadać korzonki, gady i szczury. W tej nędzy zwołano wielką radę, na której zabrał głos jeden z mędrców.

— Korzonki — mówił — nie na długo nam wystarczą, a nieczyste mięso zatruje naszą krew. Musimy więc osuszać bagna, a nowe grunta obsiać użytecznymi roślinami.

Słuchacze nie dali mu dokończyć, a jeden z przywódców zawołał:

— Trzeba być szaleńcem albo zdrajcą, ażeby bohaterskie plemię Majungów zachęcać do tak podłej roboty! Lepiej zginąć, aniżeli zaprzeć się sławnej pamięci przodków...

Oklaski zagłuszyły mówcę, za którego radą wykonano kilka wojennych tańców i odśpiewano hymny na cześć bohaterów, co tępili smoki i walczyli z olbrzymami. Potem najczcigodniejsi z Majungów, wobec ziemi i nieba, przeklęli nikczemnych Androwanów i energicznie zaprotestowali przeciw lekkomyślnym mędrcom, którzy ośmielają się zachęcać rodaków do pracy. Zarówno klątwa, jak i protest były przyjęte oklaskami, poczem jeszcze kilku wystąpiło przeciw nikczemności pracy i małoduszności niektórych mędrców. Ale ponieważ niebo nie zniszczyło zdradzieckich Androwanów, a ziemia nie wydała płodów, jakich w niej nie zasiano, więc, po pewnym czasie, przywódcy Majungów zwrócili się do potępionego mędrca z prośbą o nową radę.

— Korzonków — mówili — a nawet szczurów ciągle ubywa, więc, zanim osuszylibyśmy ziemię, głód nas wymorduje. Powiedz przeto: co czynić? Mędrzec dał im pewien gatunek grzyba, który odznaczał się wielką plennością; kazał go pokrajać i siać na miejscach wilgotnych. Skutek był wyborny, grzyby prędko mnożyły się i wygłodzonym dostarczały obfitego jadła.

Po pewnym jednak czasie naród zaczął skarżyć się na zbyt jednostajny pokarm.

— Na odmianę — mówili — przydałyby się nam, choćby raz na dzień, miodowe placki i bażanty!...

— Jest i na to sposób — odparł mędrzec. — W naszych górach znajduje się dużo soli i metalów, których potrzebują Androwanowie; więc kopcie sól i metale, sprzedawajcie je Androwanom, a od nich kupujcie bażanty i miodowe placki...

Na tę radę Majungowie oburzyli się tak mocno, że o mało nie zabili mędrca. Zwołano starszych, wykonano najpiękniejszy wojenny taniec, odśpiewano i skomponowano kilka nowych poematów na cześć przodków i uchwalono wojnę z Androwanami, dla uzyskania miodowych placków, bażantów, kuropatw i pawich języków.

W wyprawie tej wzięła udział najdzielniejsza młodzież narodu Majungów, Pewnego poranku armja, odbywszy uroczysty taniec z muzyką i

śpiewami, wyruszyła na wojnę. Nie było jej tydzień, dwa... Już naród oddawał się najpiękniejszym nadziejom, kiedy w trzecim tygodniu przybiegło kilku niedobitków, wołając, że armja została pokonaną i że Androwanowie gotują się do przejścia gór, co dla Majungów równałoby się ostatecznej zagładzie.

Szczęściem był to fałszywy alarm. Androwanowie nie przeszli gór, bojąc się gorączek bagiennych i licząc na to, że prędzej czy później Majungowie w niezdrowym kraju sami wyginą. Swoją drogą androwańskie wojska rozstawiły się wzdłuż granicy, chwyciły każdego Majunga, który zabłąkał się, szu

kając żywności, i mordowały go w okrutny sposób. Bywały dni, że na szczytach gór widywano po kilkunastu ludzi, wbitych na pale, nie mówiąc już o tych, którym rozwścieczeni Androwanowie ucinali ręce, wydłubywali oczy, albo wrywali języki i tak 'okaleczonych odsyłali za góry.

Skutkiem prześladowań Majungowie coraz gęściej skupiali się na bagnach, które zabezpieczały ich przed niemiłosiernym wrogiem. Ale wtedy wybuchły między nimi zaraźliwe choroby i mnóstwo ludzi zepchnęły do przedwczesnego grobu.

W tak ciężkim położeniu starsi Majungów znowu zwołali wielką radę. Tym razem odtąńczono wszystkie wojenne tańce, odśpiewano wszystkie hymny o bohaterskich przodkach, ułożono nowe poematy na cześć bohaterów, którzy wcale nie istnieli, i wydano dwie uchwały. Popierwsze, ażeby wobec nieba, ziemi, ognia i morza w jak najuroczystszy sposób wykląć podłych Androwanów, a powtóre, ażeby dla przebłagania zagniewanych bóstw, młodzież, nie mająca lat trzynastu, dobrowolnie ofiarowywała swoje życie.

— Im więcej będzie ofiar — mówili przywódcy — tem większe klęski spadną na przewrotnych Androwanów i tem rychlej ustaną choroby, zabijające Majungów.

Na takie wezwanie kilkuset dwunasto i trzynastoletnich chłopców odebrało sobie życie. Mimo to Androwanom nie stało się nic złego, owszem, mieli w tych czasach doskonałe urodzaje. Gorączki zaś, które trapiły Majungów, nietylko nie ustały, lecz przeciwnie wzmożyły się i już nie było rodziny, która nie utraciłaby paru członków.

Wtedy zrozpaczony naród, widząc, że nie pomagają ani tańce, ani gra na arfie i poematy, ani nawet ofiary z dzieci, zwrócił się znowu do mędrców i usłyszał nieoczekiwaną odpowiedź :

— Szukajcie ziół, które mają włochate liście i pachną jak wanilja; suszcie je, gotujcie i pijcie po dwa razy dziennie, a gorączka ustąpi.

Naród usłuchał mędrców, pił ziółka i od jednej pełni księżyca do drugiej pozbył się choroby. Wówczas najroztropniejsi z Majungów zaczęli przypuszczać, że jednak w sprawach tego świata więcej znaczy mądrość, aniżeli wojenne tańce lub gra na arfie i flecie. A zrobiwszy to spostrzeżenie, przypomnieli sobie dawniejsze rady mędrców.

Więc jedni wzięli się do osuszania bagnisk i sadzenia drzew na nowej ziemi; inni kopali sól, a inni zaczęli wydobywać użyteczne metale.

Znaleźli się wkońcu i tacy śmiałkowie, którzy spróbowali sprzedawać Androwanom sól i metale, ażeby wzamian kupować od nich suszone mięso, tkaniny i placki.

Ale rozwścieczeni Androwanowie mordowali kupców majungowskich albo wyzyskawali ich w niegodny sposób. Nadto zapowiedzieli, że handel może odbywać się tylko na granicy i że ten z Majungów, który ośmieliłby się wejść do wsi lub miasta androwańskiego, zostanie wbity na pal.

— Nie chcemy do domu puszczać wrogów!... — mówili.

Teraz nienawiść przerwała wszelkie stosunki między dwoma narodami, a jej skutkiem było to, że Androwanowie musieli obchodzić się bez metali i jadać potrawy bez soli, a Majungowie cierpieli głód i umierali w wielkiej liczbie. Już było ich ledwie dziesięć tysięcy, gdy w kraju południowym rachowano ich na sto tysięcy.

Oczywiście zginęliby w ciągu dwu lub trzech pokoleń, gdyby nie zdarzył się wypadek nadzwyczajny.

Dzięki okrutnemu prowadzeniu wojny, w kraju Androwanów leżało mnóstwo ludzkich zwłok, pogrzebanych niezbyt głęboko. Gdy więc mocniej przygrzało słońce, rozmnożyły się muchy i pasły się nieboszczykami, a następnie do żywych niosły zarazę.

Skutkiem tego między Androwanami wybuchła dziwna choroba: na ciele ludzi zdrowych ukazywały się plamy sinawe, potem guzy, które następnie zaczęły się rozkładać. Żywi

gnili, nieraz przez kilka miesięcy, dopóki nie zabrała ich śmierć, pełna cierpień.

Wiadomość o tej klęsce prędko doszła do ziemi Majungów i obudziła wielką uciechę. Znowu zwołano radę wielką, na której, po wykonaniu uroczystych tańców i odśpiewaniu hymnów, przewodcy oświadczyli, że choroba, nękająca Androwanów, jest następstwem ich zaklęć.

— Wkrótce wyginą nasi nikczemni wrogowie, a my odzyskamy ziemię, która rodzi tłuste bażanty i miodowe placki.

Ale lud, po tylu doświadczeniach, już nie dowierzał swoim bohaterskim przewodcom i zapytał o zdanie mędrców.

— Nie mamy czego radować się — odpowiedział jeden uczony — gdyż choroba, która dziś zabija Androwanów, jutro zacznie mordować nas. I dlatego pozwólcie, ażebym poszedł do nich i zaniósł im potrzebne lekarstwa.

W zgromadzeniu wybuchnął niepokój, odezwały się głosy: „Zdrajca!... nie ma wstydu!... chce ratować nieprzyjaciół, przeciw którym występują sami bogowie!...” Ale większość głosów oświadczyła się za projektem mędrca; strach bowiem przed ohydą chorobą był silniejszy od nienawiści.

Wojska Androwanów, stojące wzdłuż granicy, w pierwszej chwili chciały zabić mędrca, który niósł lekarstwo z ziemi Majungów. Lecz ponieważ kilku żołnierzy było dotkniętych chorobą, więc zażądano, aby mędrzec przede wszystkim na nich wypróbował swoich środków. Uczony zgodził się na propozycję, zaczął leczyć pacjentów, a gdy po kilku dniach zagoiły się ich rany i znikły guzy, gdy ustąpiła gorączka, a chorzy odzyskali sen i apetyt, Androwanowie wpadli w nieopisany zapał. Samego mędrca, jego naczynia i wozy ziół nieśli na własnych tarczach, a po drodze wołali do ludu:

— Oto zbliża się zbawca, przed którym uciekają śmiertelne guzy!...

Był to rzeczywiście pochód triumfalny. W każdej wsi zastępowali mędrce drogę chorzy; on zostawiał im napój ta

jemniczy, kazał się im kapać, jadać mało mięsa, a dużo owoców i — w ciągu kilku dni usuwał cierpienie. Wkońcu zaczęło napływać tylu pacjentów, że mędrzec, zanim dojechał do stolicy Androwanów, musiał sprowadzić ze swego kraju kilkunastu pomocników. Niedawni wrogowie

obsypywali ich błogosławieństwami i cennymi podarunkami, całowali ich szaty i padali przed nimi na twarze.

W pół roku Androwanowie zostali uratowani od szkaradnej klęski, a w nagrodę zobowiązali się szanować życie każdego Majungi, dopuszczać ich kupców do wnętrza kraju i — prowadzić z nimi handel uczciwy.

Majungowie mieli dostarczać soli i metalów, Androwanowie żywności i odzieży.

Gdy mędrzy wrócili do rodaków i pokazali im traktat, partja wojenna nazwała ich zdrajcami.

— Za taką usługę — wołano — powinniście byli żądać, co najmniej, zwrócenia wszystkich dóbr, jakie nam zgrabili ci złodzieje!...

Ale większość Majungów z zadowoleniem przyjęła traktat, odgadując instynktem, że on jeżeli nie zwraca dóbr straconych, to przynajmniej ubezpiecza naród od głodu.

Od tych wypadków upłynęło tyle lat, że pod wpływem ciężkich doświadczeń Majungowie całkiem zmienili swoje poglądy na życie.

Zamiast do harf, zabrali się do motyk, zamiast tracić czas na tańcach wojennych, zaczęli kopać rowy i sadzić drzewa, a zamiast opiewać urojonych bohaterów — badali otaczającą ich naturę.

Dzięki temu — wyschły bagna, ustąpiły gorączki, a ziemia pokryła się jarzynami i owocami. Naród Majungów zamiast z dziesięciu tysięcy skazanych na zagładę cherlaków składa się z trzystu tysięcy zdrowych, pięknych i potężnie zbudowanych obywateli. Ich twórczy genjusz od muzyki i poezji zwrócił się do odkryć i wynalazków, na wyspie zapanował spokój, a An

drowanowie za największą chlubę poczytują sobie, jeżeli jaki Majunga raczy między nimi zamieszkać i pracować.

Od tej pory na sztandarze Majungów, zamiast lwa ze zmiim ogonem i mieczem w łapie, znajduje się taki napis:

„Potrzeba jest mocniejszą od nienawiści; praca — lepszą od najkorzystniejszej wojny.”

WIDZENIE

W zimowy wieczór, około dziewiątej, doktor Czerski, pochylony nad stołem, siedzi w swoim gabinecie. Jest to pokój wysoki, o dwu oknach. Całą podłogę okrywa gruby dywan. Wzdłuż jednej ściany stoi potrójna szafa biblioteczna, pod drugą — szafa z chirurgicznymi narzędziami. W jednym oknie dębowe biuro, lewą stroną zwrócone do światła, w drugim stalugi, a na nich kosztowny atlas anatomiczny. Na środku gabinetu, pod wiszącą lampą, znajduje się stół, przy którym pracuje doktor. Resztę pokoju zajmują ciężkie fotele i krzesła, obite skórą.

Doktor jest chirurgiem. Jutro ma operować złośliwy guz na szyi, więc dziś, dla wprawy, przerysowuje z atlasu tę niebezpieczną dla lekarzy i chorych część ciała, z jej powikłaną siecią nerwów i naczyń krwionośnych.

Doktor jest średniego wzrostu, odznacza się zimnym spokojem. Znajomi mówią o nim, że ma kamienną fizjognomję i stalowe spojrzenie. Należy do najzdolniejszych chirurgów. Zdaje się widzieć wewnątrz ciała chorego, a jego skalpele prawie posiadają czucie, dzięki czemu podobno nigdy jeszcze nie popełnił ważniejszego błędu w operacji.

Zasadniczym rysem jego charakteru jest nieugięta wola. Był synem niegdyś zamożnej rodziny, ale gdy ojciec stracił majątek i umarł, chłopiec od piątej klasy zaczął pracować na chleb i utrzymywał nie tylko siebie, lecz i matkę. Pomimo ciężkich przeszkód, ukończył uniwersytet, był kilka lat zagra

nicą, po powrocie do kraju szybko zdobył sławę i praktykę i ożenił się z panną, którą pokochał jeszcze jako student i już wówczas postanowił, że ona będzie jego żoną.

Drugą cechą znakomitego doktora stanowił głęboki pesymizm, którego źródła należało szukać prawie w dzieciennych latach. Wspólnik ojca wydarł mu majątek i samego wpędził do grobu, a gdy matka poszła do

obdziery, ażeby wyblagać chociaż cząstkę pieniędzy na wychowanie syna, rabuś dał jej taką odpowiedź:

— Kto nie ma na ukończenie szkół, niech idzie do rzemiosła...

Spółczeństwo nie potrzebuje pretensjonalnych niedouczków, lecz dobrych robotników.

Po tej odprawie biedna matka zwracała się z prośbą o pomoc już do swojej rodziny, już do dawniejszych przyjaciół. Ale wszyscy zgodnie odpowiadali, że Karolek nie powinien myśleć o nauce, lecz o popłatnej pracy.

Takie zachowanie się osób najbliższych, niegdyś życzliwych, krwawymi śladami zapisało się w duszy lekarza i odbiło na dalszym życiu. Niechętni mówili, że doktor Czerski jest znakomitym chirurgiem, ponieważ ze swego słownika wykreślił wyraz: „współczucie,” co w pewnym stopniu potwierdzał on sam, odzywając się niejednokrotnie:

— Gdybym rozczulał się nad każdą łzą, jaką widzę, nie mógłbym być nie tylko chirurgiem, ale nawet siostrą miłosierdzia...

Mimo to był człowiekiem uczciwym i nie tylko leczył darmo ubogich, lecz jego dom służył jako ognisko, w którym znajdowało pomoc bardzo wiele jednostek, rodzin i instytucyj. Sprawczynią tego była żona.

Gdy kto z bliższych znajomych zapytał doktora, w jaki sposób można pogodzić jego wielką ofiarność z szorstkimi aforyzmem — odpowiadał:

— Filantropja jest wydziałem mojej żony. Niech się bawi kobieta, jeżeli robi jej to przyjemność!...

— Nie oczerniajże doktor samego siebie...

— Wcale nie oczerniam. W dobroczynnych dziełach mojej małżonki ja nie odgrywam żadnej roli. Tyle tylko, że staram się nie robić źle: nie kradnę, nie zabijam, nie jeżdżę kolejami bez biletów... Takie mam upodobania...

Doktor harmonizował ze swoim gabinetem, który wyglądał prawie ponuro, jakby każdy z badanych pacjentów zostawiał tutaj cząstkę smutku i niepokoju.

ROZDZIAŁ II

W tej chwili skrzypnęły drzwi, i na dywanie rozległ się szelest jedwabnej sukni.

— To ty, Zosiu?... — spytał doktor, podnosząc głowę od swego rysunku.
— Już jadę do mamy — mówiła pani zniżonym głosem — a z nią pojedziemy do Wiktorów. Przeszkodziłam ci?... Przepraszam...
Objęła go za szyję i okryła twarz pocałunkami. W jasnej sukni wyglądała przy nim jak kwiat, tulący się do posągu. Była to kobieta wysoka, sztywna, z grubymi, ale ładnymi rysami, które upięknił wyraz słodczy. Mąż, którego ubóstwiała, synek, za którego w każdej chwili gotowa była oddać życie, i rozmaita cierpiąca i wydziedziczona biedota — oto królestwo, gdzie rozwijała się jej działalność.
— Kiedy przyjedziesz po mnie?... — mówiła. — A może wcale nie przyjedziesz, bo widzę, że jesteś bardzo zajęty?... Do Wiktorów wybiera się dziś kilka osób, w tym jedynie celu, ażeby ciebie poznać...
— Czy myślą, że gdy się z nimi poznam, to lepiej i taniej będę im robił operacje?..
— Nie mów tak, bo to brzydko, Karolu!... A może chcesz, ażebym została w domu, aż będziesz wolny?..
— Jedź, moje dziecko, i baw się wesoło. Jeżeli nic się nie zdarzy, przyjadę po ciebie około dwunastej.

— Dobrze. Więc tylko ucałuj Kazia, bo on chce tatusiowi powiedzieć dobranoc.

— O tej porze chłopak nie śpi?... — zadziwił się doktor. — Zaraz tam pójdę.

Żona znowu uściskała go, mówiąc:

— Do prędkiego widzenia... Polecam was Bogu...

— I to niezła protekcja... — mruknął doktor. Żona zasłoniła mu usta ręką.

— Jeżeli choć trochę mnie kochasz, nigdy nie mów nic podobnego, Karolu!... — zawołała strwożona. — Niekiedy odzywasz się tak, jakbyś wątpił...

— A wcale nie trudno byłoby usunąć wszelkie wątpliwości ze świata!...

— uśmiechnął się doktor. — Jeden znak, jeden mały dowód istnienia...

Coby to szkodziło Panu Bogu?...

— O nie mów tak!... — znowu przerwała mu żona z rosnącą trwogą. — Znaki Boże są straszne, więc nie trzeba ich wywoływać...,

— Idź, duszo moja! — przerwał jej doktor, — Idź i baw się dobrze po naszych klasztornych nudach...

Uściskał ją, odprowadził do drzwi, a potem wrócił do swego stołu. Znowu schylił głowę nad rysunkiem, ale wnet podniósł ją, zbudzony jakimś szelestem.

To na dworze padał suchy śnieg i bił w okna. Niekiedy zdawało się, że figlarne dzieci sypią piasek na szyby, to znowu, że ktoś cicho puka do okien, jakby chciał wywołać doktora, albo zawiadomić, że sam do niego przyjdzie...

Doktorowi zdawało się, że poza tym szelestem śniegu widzi drobne różowe paluszki, które bębnią w szyby. Wspomnił o synu, uśmiechnął się i opuścił gabinet.

W dużym pokoju, przy świetle bladoniebieskiej lampy, spał Kazio w białym łóżeczku, pod opieką bony freblówki.

— Kazio tak czekał na tatusia, tak czekał... wcale nie chciał się rozbierać i jeszcze nakazywał mi, żebym go zbudziła, gdyby zasnął... — szeptała bona z uśmiechem. — Chciał

tatusiowi powiedzieć dobranoc i pokazać nowego pajacyka, którego dziś przysłała mu babcia... I jeszcze mówił, że jeżeli tatuś zechce, to on tatusiowi podaruje pajacyka, bo to jest najpiękniejsza zabawka, jaką Kazio dostał... U niego każda nowa zabawka jest najpiękniejsza!...

Po tem sprawozdaniu bona wyszła, a doktor wpatrywał się w śpiącego syna.

„Co się dzieje z temi dziećmi! — myślał doktor. — Kiedy to biedactwo przyszło na świat, było zupełnie brzydkie, tak, że wątpiłem, czy będę go kiedy mógł pokochać... Potem trochę wyładniał i zaczął mnie interesować, a dziś jest piękny jak cherubin, mój ten skarb najmiłszy... Nic dziwnego... ma ciemne oczy matki i jej uśmiech...”

Przyszło doktorowi na myśl, że to dziecko jest jedyną istotą, która kocha go bez cienia egoizmu. Jak on się żegna z wychodzącym tatusiem!... Jak on każe sadzać się na oknie, ażeby prędzej zobaczyć powracającego tatusia!... Jak on strasznie tęsknił, kiedy raz tatuś musiał na kilka dni wyjechać!...

— Nigdy nie myślałem, że dziecko może dać tyle szczęścia... — szepnął głęboko wzruszony doktor.

Wtem spojrzenie jego padło na obraz, wiszący nad łóżeczkiem Kazia.

Był to dar babki, pyszny angielski miedzioryt, wyobrażający Chrystusa. Odkupiciel siedział na skale, zarosłej kwiatami; za nim, zdaleka ciągnęło się pasmo gór i droga, której początek zasłaniała szata Zbawcy.

Twarz Chrystusa była niezwykle piękna; miała wyraz smutny i nakazujący, który dziwnie dobrze harmonizował z podpisem, położonym na obrazie ręką babki:

„Miłujcie nieprzyjacioły wasze... czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą i prześladują...”

„Szczególne słowa!... — mówił do siebie doktor. — Mógł je wypowiedzieć tylko ten oto mędrzec, którego oczy widzą jakiś inny świat, nie nasz świat...”

„Bo na tym naszym świecie pięknie wyglądałby człowiek, o którym dowiedzianoby się, że „miłuje nieprzyjacioły!...” — rozmyślał dalej doktor. — Do jutra zostałyby tylko w jednej koszuli, a za tydzień wytoczonoby z niego wszystką krew...”

— Nie, synusiu!..... — szepnął, nachylając się nad łóżeczkiem — nie miłuj nieprzyjaciół i nie czyń dobrze tym, którzy cię będą nienawidzili. Inaczej zabraknie ci sił i serca dla tych, którzy cię kochają...

Nie rób tego, syneczku, nie, nie!...

W tej chwili elektryczny dzwonek w przedpokoju odezwał się w tak szczególny sposób, że zdziwiony doktor opuścił sypialnię dziecka i wrócił do gabinetu.

„Blisko dziesiąta... Cóż się tam komu stało?...” — rzekł do siebie.

ROZDZIAŁ III

Do gabinetu wszedł człowiek stary, z długimi włosami, z nieporządnie utrzymaną brodą. Miał na sobie wytarty paltot, popstrzony płatkami śniegu.

Na jego widok doktor cofnął się i zapytał tonem, w którym czuć było gniew i zdziwienie:

— Cóż sprowadziło do mnie... pana... i jeszcze o tej porze?...

— Krup... — szepnął starzec. — Mój wnuczek ma krup... dusi się!...

Doktor wzruszył ramionami. Starzec, widząc to, załamał ręce i począł mówić chrapliwym głosem:

— Panie, miej miłosierdzie!... Prawda... obdarłem was... Jeżeli zechcesz, wyznani to przed sądem... Ale i cóż mam z tego?... Nędzę... Moja córka, wdowa, utrzymuje się z szycia i w dodatku nie ma ani zdrowia, ani roboty... Jestem wobec ciebie zbrodniarzem, ale... co winno dziecko?... Ma dopiero sześć lat, panie... I czy może tak strasznie cierpieć za to, że

dziadek zbrodniarz?... Uderz mnie... oddaj do więzienia, ale zlituj się nad niewinnymi... Wszakże Chrystus nawet na krzyżu przebaczył swoim katom...

— Posłuchaj mnie pan — rzekł doktor. — Jako lekarz nie mam prawa nikomu odmawiać pomocy, ale jako człowiek...

Zatchnął się i ciągnął dalej:

— Czy mógłbyś pan nawlec w tej chwili igłę?...

— Widzi pan, jak drzę... — szepnął starzec, patrząc mu w oczy z trwogą psa, którego mają obić.

— Zrozumiej mnie pan — mówił doktor. — Każdemu innemu dziecku zrobiłbym operację, wyjąwszy... memu własnemu i — pańskiemu... Przy pańskim dziecku nie byłbym pewny mojej ręki, bo zdaje mi się, że zamiast jednej trumny, mego ojca, między mną a panem znalazłaby się druga trumna, pańskiego wnuka... Czy pan to rozumie?...

— Rozumiem, że Bóg mnie przeklął!...

— Niech więc pan szuka innego doktora... Honorarjum ja... mogę zapłacić...

— Czasu niema! — mówił starzec, składając ręce. — Mieszkamy tu, w drugim domu... Już nie jestem w stanie iść dalej... U tyłu byłem napróżno...

— Idź pan jeszcze do jednego... — odparł zimno doktor. Starzec jak obłąkany zaczął trząść w powietrzu rękoma i bić się w głowę.

— Pójdę — rzekł — pójdę do mojego konającego wnuka i modlić się będę, ażeby za grzechy starców nie karano dzieci... Boże, zmiłuj się... Boże... Boże, zmiłuj się! — krzyknął.

Zataczając się, wyszedł z pokoju, a po chwili ciężkim krokiem zbiegał ze schodów.

— Wyborny sobie! — zawołał lekarz. — Przed laty ograbił nas i zamordował mi ojca, a dziś chce zabić mi reputację... Tego pacjenta nie dotknąłbym za żadne skarby... On

przyniósłby mi nieszczęście jak jego zacny dziadek... Basta!... Basta!... Znakomity chirurg był tak wzburzony, że drżał.

ROZDZIAŁ IV

Doktor zaczął chodzić po gabinecie i szeptać:

— Krup!... Głupia historia... I poci ten stary tu przyszedł?... Jestem pewny, że całą jego brudną odzież przenika zaraza... Oto jest porządek na świecie!... Zbrodniarz, gdy miał siły, wydarł mi ojca i majątek, a dziś, gdy się zestarzał, zaraza się i napada mój dom...

Doktor zbliżył się do umywalni i umył ręce w słabym roztworze sublimatu. Potem wziął rozpryskiwacz, napełnił go mocno pachnącym płynem i zawoławszy lokaja, kazał pokropić się od stóp do głów.

Wyraz „krup” tak go zaniepokoił, że chciał koniecznie spojrzeć na Kazia, a jednocześnie lękał się, ażeby zaraza nie przeniosła się na jego syna...

Jeszcze raz umył ręce, zmienił surdut i szepnąwszy: „Głupstwo!...”, poszedł do sypialni dziecka. Dziwiło go to, że choć dawniej setki razy bezpośrednio stykał się z chorymi na zaraźliwe choroby, dopiero dziś przyszła mu obawa, że syn jego może się zarazić!

Dziecko spokojnie spało, ale w podrażnionej imaginacji doktora zaczęły budzić się nieokreślone podejrzenia. Czy Kazio nie za prędko oddycha?... Niebardzo, ale cokolwiek za prędko... Czy jego buzia nie jest zbyt zaczerwieniona?... Czy w fizjonomji niema tego przykrego wyrazu, który zapowiada chorobę?...

Nie. Dziecko cicho śpi i nawet zdaje się uśmiechać...

Mimowoli doktor podniósł głowę i spojrział na miedzioryt, wyobrażający Chrystusa... Nagle zachwiał się... Przetarł oczy i przeczytał napis:

„Miłujcie nieprzyjacioły wasze... Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą i prześladują...”

Skala, porośnięta kwiatami... jest... W głębi pasmo wzgórz... jest... I widać drogę, całą drogę... Nawet tę jej część, którą zasłaniała szata Chrystusa... Nawet widać ten krzak na skale, którego dotychczas nikt, nikt z żyjących nie widział i nie mógł widzieć, ponieważ ten krzak na miedziorycie także był zasłonięty rękawem Zbawiciela...

— Ale teraz widać i całą drogę i ów krzak, których już nic nie zasłania, ponieważ Chrystus... zniknął!...

W pierwszej chwili doktor nie czuł nawet zdziwienia. Zdawało mu się, że właśnie tak być powinno, że Chrystus był tu niepotrzebny. Ale znowu przeczytał podpis: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze...” — co przecież nie mogło stosować się do samego krajobrazu... A nareszcie i ten krajobraz bez człowieka, krajobraz, który doktor oglądał codzień od sześciu lat, i na którym zawsze był Chrystus, z fizjognomią nakazującą i smutną i z oczyma zapatrzonymi w inne światy...

Teraz doktor uczuł się w takim nastroju, jaki dotychczas nawet mu do myśli nie przychodził. Rodziło się w nim nowe, nietylko nieznanne, ale nawet nieprzeczuwane uczucie. Zdjął miedzioryt ze ściany, dotykał jego ram, szkła... Przeniósł go do gabinetu i tam, przy silnym świetle lampy, wpatrywał się...

Ale wszystko na próżno: Chrystusa nie było!...

Nagle błysnęła mu myśl okropna, że jest obłąkany... Chciał rzucić obraz na ziemię, zwołać służbę, posyłać po doktorów, a nawet wybiec na ulicę i wołać:

— Patrzcie, co się ze mną stało!... Przecież ja tracę rozum!...

Ale przypomniał sobie żonę, i to go oprzytomniło. Odzyskał, przynajmniej w części, panowanie nad sobą i postanowił hamować się w szaleństwie, ażeby żona nie spostrzegła tego odrazu i stopniowo przygotowała się do nieszczęścia.

Żona!... Czyliż nie żona przed pół godziną gromiła go za

niedowiarstwo, a gdy on wspomniał o potrzebie jakiegoś znaku ze strony Boga, czyliż nie ona powiedziała, że znaki Boże są straszne i — nie trzeba ich wywoływać?

— Znaki?... Więc to może być znakiem? — powtórzył. Strach jego powiększył się, choć już nie miał tej upadlającej cechy, jaką posiada obawa możliwego szaleństwa.

— Znak Boży?... Znak Boży?... — szeptał zbielełymi ustami. — Czego znak?... Że trzeba miłować nieprzyjaciół?... Że trzeba czynić dobrze tym, którzy nas pokrzywdzili?... Że... trzeba iść nawet do tego starca i ratować mu wnuka?...

Położył miedzioryt na stole, przykrył go papierami i pobiegłszy do szafy, zaczął prędko wydobywać narzędzia i opatrunki, powtarzając machinalnie: „Sublimat... wata... igły... rurka... tasiemka... tak, tasiemka...”

— Muszę ratować to nieszczęśliwe dziecko, a może razem z niem ocalę i własny rozum!...

Było dopiero kwadrans po dziesiątej, kiedy doktor zadzwonił do najbliższego znajomego sobie felczera.

— Czy może pan asystować mi przy tracheotomji?... — zapytał felczera.

— Choćby pan doktor chciał komu głowę uciąć, a potem ją przyszyć, także będę asystował! — zawołał felczer, odurzony rolą, do której powoływał go znakomity chirurg.

ROZDZIAŁ V

Doktor i felczer łatwo znaleźli mieszkanie starca i jego córki, a zarazem dowiedzieli się, że poszukiwani przez nich lokatorowie są bardzo ubodzy. Stróż domu, otrzymawszy od doktora kilka złotych, otworzył upusty wymowy i objaśnił, że ci państwo zadłużyli się za węgle, za mąkę, za chleb... A ponieważ w dodatku nie płacą nawet za mieszkanie, więc od najbliższego ósmego gospodarz wyrzuci ich z lokalu.

— Powiedz gospodarzowi i sklepikarzowi, że ci państwo wszystko zapłacą — rzekł doktor.

— A wiesz, kto poręcza? — zawołał do stróża felczer. — Największy doktor w Warszawie, któremu tacy jak twój gospodarz nie warci butów czyścić!...

— Niechno kolega nie będzie taki gorliwy... — upomniał go cierpkim tonem lekarz. — Jutro — zwrócił się do stróża — rachunki tych państwa będą zaspokojone, a tymczasem i wy służcie im, a będziecie wynagrodzeni...

Mówiąc tak, doktor przysłuchiwał się własnym zdaniom, ażeby sprawdzić, o ile są logiczne... Musiał przyznać, że jakkolwiek ich treść jest nowa, jednak niema w niej ani śladu szaleństwa.

Starzec i jego córka zajmowali jeden szczupły pokój na trzecim piętrze. Wszedłszy tam, doktor spostrzegł, że w mieszkaniu jest zimno, i że ani na kominku, ani na stole nie było widać nawet resztek jakiegokolwiek żywności.

Na jednym łóżku leżał starzec, zasłoniwszy głowę rękoma; na drugim siedziała niegdyś elegancka, dziś zmizerowana kobieta, z sześciolatnim chłopczykiem na ręku. Dziecko miało twarz silnie zaczerwienioną, obrzękłą szyję, trudny oddech i kaszel, przypominający szczekanie. Niekiedy oddech zupełnie ustawał, a wówczas dziecko gwałtownemu ruchami wyciągało ręce do zrozpaczonej matki, lub szarpało na sobie stare ubranko. Można było myśleć, że już kona.

Kiedy doktor, a za nim felczer ukazali się w pokoju, kobieta krzyknęła z radości, a starzec zerwał się, usiadł na łóżku i osłupiałym wzrokiem spoglądał na przybyłych.

— Ojczy... Boże miłosierny... Jaś będzie uratowany!...— mówiła kobieta. Ale po chwili nowa opanowała ją trwoga:

— Proszę pana, czy koniecznie potrzebna jest operacja?... Bo...

— Leosiu — odezwał się starzec — przecież sama wiesz... sama żądałaś operacji... Widzisz, co się z nim dzieje...

— W takim razie ja będę przy tem... Ja muszę być przy tem... Ja będę go trzymała!... — zawołała z mocą.

— Za pozwoleniem — przerwał doktor, odzyskawszy właściwy mu spokój, który z taką niepokonaną siłą narzucił się chorem i ich otoczeniu.

— Czy potrzebna będzie i jaka operacja, o tem dopiero dowiemy się.

Tymczasem pani będzie łaskawa dostarczyć nam... gorącego rumianku...

— Nie mam wody gorącej, ani rumianku... — szepnęła kobieta.

— W takim razie uda się pani do stróża, i on tę sprawę ułatwi, a ja przez ten czas zbadam malca.

— Okropny stan!... Prawda, panie?...

— Dla matki — tak, dla lekarza — nie. Przypominam o gorącym rumianku...

Kobieta wybiegła z pokoju, a w tej chwili felczer otworzył wielkie pudło, które z sobą przyniósł, i zaczął z niego wydobywać narzędzia, opatrunki, a nawet butlę wody.

— Panie — rzekł doktor do starca — operacja jest konieczna, i zaraz ją zrobimy...

— Nie zaczeka pan na córkę?...

— Nie sędzę, ażeby nam jej obecność pomogła.

Felczer rozpałił lampkę, zaopatrzoną w reflektor i refraktor, rzucił na stolik kołdrę, złożoną w kilkoro, na to poduszkę, a na nich ostrożnie położył ledwie dyszące dziecko. Widząc to, starzec upadł na swoją nędzną pościel i szlochając, okręcił głowę paltotem.

Tymczasem jego córka zbiegła nadół do stróża, błagając nieśmiało, czy nie mógłby pożyczyć gorącego rumianku —

i ręką słowem, że gdy jej synek wyzdrowieje, ona zaraz weźmie się do roboty i spłaci wszystkie długi, a najpierwej to, co winna jemu, stróżowi. Jakież jednak było jej zdziwienie, gdy stróż zdjął przed

nią czapkę, poprosił, ażeby z łaski swojej usiadła, i oświadczył, że wszystko zrobi dla niej bezinteresownie, ponieważ pan doktor powiedział, że ich długi w sklepiku i należność za mieszkanie już jutro będą zapłacone.

Mówiąc to, stróż rozdmuchał ogień w kuchence angielskiej i zagotował wodę pierwej, nim jego żona przyniosła z apteki rumianku.

Otrzymawszy gorący rumianek, biedna matka niosła go na górę. Lecz serce zamierało w niej na myśl, że teraz właśnie czeka ją najcięższa próba. Niby to już była zdecydowana na operację, ale w stanowczej chwili uczuła, że opuszcza ją odwaga...

Co pocnie, jeżeli doktor powie, że operacja jest potrzebna?... Dziecko będą zarzynali w jej oczach... Boże litościwy!...

Stała na progu i przerażonym wzrokiem obrzuciła pokój. Felczer przy kominku mył ręce, doktor coś oglądał przy bardzo jasnej lampie, jej ojciec, siedząc na łóżku, uśmiechał się bezmyślnie...

A na drugim łóżku leżał Jaś. Zamiast czerwonej, miał twarz bledziutką i obandażowaną szyję, ale nie rzucał się, wyglądał spokojniej, a nadewszystko — nie dyszał tak strasznie, jak przed jej wyjściem.

— Już żadnej operacji nie będzie potrzeba — odezwał się doktor. — Niewielkie nacięcie zostało zrobione, i prawie mam pewność, że dziecko będzie zdrowe.

Kobieta słuchała odurzona, nie wierząc własnym uszom.

— Mój pomocnik — ciągnął doktor — zostanie tu na noc i on będzie robił opatrunki, nie zaś pani. A gdyby się zdarzyło coś ważnego, o czym wątpię, da mi znać. Jutro zaś pani z ojcem i z dzieckiem przeniesiecie się do lecznicy. Wszyscy potrzebujecie wygód' i odpoczynku, jakich w tem mieszkaniu mieć nie można.

— My nie mamy na lecznicę!... — szepnęła kobieta z trwogą, na palcach zbliżając się do dziecka.

— Będziecie państwo mieli i — wszystko zapłacicie sami, z własnych zarobków, tak pani, jak i jej ojciec.

Powiedziawszy to, doktor włożył palto, wsunął czapkę na głowę i szybko wymknął się z pokoju. Ale na schodach ktoś zatrzymał go. Był to starzec. Ukłąkł przed lekarzem i płacząc, ucałował mu rękę.

ROZDZIAŁ VI

Czerski prawie wesoło wracał do domu. Nieleddie w ciągu godziny spotkało go kilka nadzwyczajnych zdarzeń, z których, o ile wolno mu sądzić, wyszedł, jeżeli nie zwycięsko, to przynajmniej nienagannie. Jeżeli zadziwiający wypadek z miedziorytem był halucynacją, to jednak w żadnym razie doktorowi nie groziło obłąkanie. Nietylko bowiem, ani na chwilę nie stracił świadomości, ani rozsądku, ale jeszcze wzniósł się na wyższy szczebel moralnego rozwoju, a to, nie jest zapowiedzią obłąkania. A jeżeli zniknięcie wizerunku Chrystusa było „znakiem,” to i w tym razie nicby mu już grozić nie powinno. Wszakże spełnił rozkaz, czyniąc dobrze tym, którzy go pokrzywdzili...

Mimo tak słusznych rozumowań, doktor w miarę, jak zbliżał się do swego mieszkania, doznawał rosnącego niepokoju.

A jeżeli postać Chrystusa zniknęła z miedziorytu, zniknęła naprawdę, zniknęła nieodwołalnie, to... co wówczas?... Ten straszny miedzioryt musi być ukryty przed żoną, która uważała go za jedną z najdroższych relikwii,

musi być ukryty przed Kaziem, który codzień, rano i w wieczór, odmawiał przed obrazem swoje krótkie paciorki. A w takim razie Chrystus zginąłby nie tylko dla niego, lecz i dla tych, których najbardziej kocha!...

Doktor otworzył drzwi swego przedpokoju, oddał palto

i czapkę służącemu i zebrawszy całą odwagę, stanowczym krokiem wszedł do gabinetu. W tej chwili zdawało mu się, że idzie naprzeciw czegoś, co jest okropniejsze od samej śmierci, że gra niby w cetno i lichy o — zbawienie albo o potępienie. Bo czyliż, pomimo wszelkich teorii i systemów filozoficznych, nie zasługiwałby na tytuł potępienca człowiek, z którego domu w tak niesłychany sposób usunął się Chrystus?

Doktor zbliżył się do stołu, gorączkowym ruchem odrzucił papiery, okrywające miedzioryt, i spojrzał...

Na skale, okrytej kwiatami, siedział Chrystus i patrzył na uczciwego niedowiarka mądrymi a smutnymi oczyma, w których tliły się tajemnice nieskończoności.

Więc On znowu jest tutaj, znowu patrzy, a więc nie wyrzeka się jego domu i nie przestanie zlewać rzewnych błogosławieństw na jego pracę, na jego dobrą żonę i na niewinną głowę dziecka...

maja r.

WISŁĄ DO PŁOCKA

Ja także byłem w Płocku.

Do Płocka wiodą rozmaite drogi i zajechać tam można różnymi sposobami.

Piszący to wybrał drogę wodną i sposób zwany statkiem parowym, uważa bowiem za święty obowiązek podtrzymywać rozwój marynarki krajowej. Nie będę zaczynał opisu od słów: „Dnia maja roku przechodnie widzieć i podziwiać mogli dwie osoby. Jedna z nich dźwigała własną wielkość, druga płócienny tłumoczek. Tym, który dźwigał własną wielkość, byłem ja, tym, który niósł tłumoczek, był mój przyjaciel p. Józef itd.”

Przedstawię rzecz po gospodarsku.

Podróż statkiem do Płocka kosztuje lub rs. bez wiktu. Bilety kupuje się w przystani, na lewo od mostu. Sprzedają je dwaj uczciwi staruszkowie, których obowiązek polega na ciągłym kontrolowaniu, czy nabywający bilet pasażer nie jest czworonogiem, bo dla takich nie ma na statku miejsca — i — czy nabywający bilet posiada pieniądze?

Kto zadośćuczynił powyższym warunkom, ten śmiało może wejść na statek i siadać. Siadać „na przodzie”, jeżeli dał dwa ruble i „na tyle”, jeżeli dał trzy.

Statek „Andrzej” jest naszym dobrym znajomym. Okropnie gwizdże i okropnie pływa. Opatrzność, na pamiętny dzień na

szej podróży, zesłała mu lekki przybór wody i z tego zapewne powodu ani razu nie osiadł na mieliźnie, choć kilka razy na nią wpadał. Byłbym wszelako niesprawiedliwy, gdybym nie przyznał, że tak pomyślny rezultat żeglugi w znacznej części przypisać należy przymiotom obsługi statku. Wszyscy podróżni jednomyślnie zgodzili się na to, że w kontrolerze, kapitanie, sterniku i w majtkach „Andrzeja” tkwi dużo marynarskiej energii tudzież znajomości przedmiotu.

Podróżnych zebrało się około setki. Widzieliśmy obywateli ziemskich, kupców, rejentów, ładne panie, trzech uczonych, przedsiębiorcę wyłapywania jesiotrów, kataryniarza, kilkunastu Żydków i smutną, może trzynastoletnią panienkę. Kataryniarz grał — Żydki konferowali między sobą o sposobach niepłacenia za bilety i o kupnie statku na żelastwo — obywatele ziemscy na prawo i na lewo fundowali śniadania — przedsiębiorca drzemiąc marzył o łapaniu jesiotrów, a uczeni jedli i pili za siebie i wdzięczną potomność.

Tylko mała panienka, której chłodny wiatr zdmuchiwał czarną chusteczkę, patrzyła wielkimi oczyma na płaskie brzegi Wisły i odległe kępy piaszczyste tuląc się z zimna do poręczy statku.

„Andrzej” kaszlał, jęczał, ział gorącem i obracał zgrzybiałymi kołami razy na minutę. Patrząc na ruchliwość tego starowiny mimo woli szeptałeś z westchnieniem: „co to musiał być za statek, gdy był młodszy, lżejszy i mocniejszy”.

Pływanie nasze nie było, prędsze aniżeli jazda pocztowymi końmi. Krajobrazy tak nieosobliwe, że podróżni, jeden za drugim, kryli się we

wnętrznosciach statku, przekładając ciasnotę kajuty nad nieskończoność mazowieckiego widnokregu. Potęga wiosny nie była w stanie upiększyć płowej wody popstrzonej ławami piasku i jednostajnych zielonych równin, tu i ówdzie wyhaftowanych kępami żalosnej wierzby albo nędznie wyglądającymi chatami wieśniaków.

Wrażen żadnych, z wyjątkiem cielecych kotletów, herbaty, kawy, piwa, rzodkiewki, papierosów i innych nowalii, które trzej uczeni analizowali ze ścisłością właściwą tej klasie istot. Już pod N. G. podróżni zaczęli wynajdywać sobie cele sztuczne. Podziwiano na przykład wodę Narwi, która wpadając do Wisły wrzyna się w jej popielatą treść długim, ciemnym pasem. Gorąco zajmowano się młynami pływakami pod Zakroczymem. Zachwalano dobre kotlety, wdzięki pań ozdabiających naszą podróż — i — stawiano śmiało hipotezy co do przyszłości spodni młodego płocczanina, który siedział na gorących kotłach „Andrzeja”. Anioł ziewania unosił się nad pokładem, nad ławką sternika, nad balkonem kapitana, pukał do okrągłych okienek kajut. I wszystkich dręczyły straszne nudy, z wyjątkiem przedsiębiorcy wyłapywania jesiotrów, który drzemał z dwoma parasolami w ręku — i — młodej panienki, której było zimno i jakby smutno. Ale czego smutno? nie wiem, bo do serc ludzkich nie kupuje się biletów.

Pod Wyszogrodem, mówiąc nawiasowo ładnie wyglądającym miasteczkiem, zrobił się wielki rajwach. Przedsiębiorca łapania jesiotrów wysiadł unosząc swoją senność, pocziwą mieszczańską fizjognomią i dwa parasole. Na pokład poczęto wysypywać węgiel kamienny, a jakiejś wyszogrodzance mojżeszowego wyznania zaareztowano list, nie opatrzony marką pocztową, który pragnęła wysłać „przez okazją”. Trzej uczeni, zbadawszy kotlety z jajami, herbatę, rzodkiewkę i kawę, poczęli zajmować się najpiękniejszą kobietą na statku i stawiać hipotezy o myślach jej satelitów. W końcu statek po raz czwarty czy piąty ruszył w drogę, a mała panienka, bardzo już zmarznięta, zeszła do kajuty.

Za Wyszogrodem okolica poczyna ożywiać się. Na lewo brzeg wciąż jest płaski, ale widać na nim murowane budynki, które z daleka wyglądają dosyć pokaźnie, choć z bliska są tylko rudarami. Prawy brzeg jest wysoki, w niektórych miejscach

świeci glinianymi urwiskami, w innych zieleni się bujnym zbożem i gromadami drzew.

Za dwudziestym skretem od Warszawy, gdzieś aż pod niebem, przez mgłę dżdżystą, widać kilka wież i mnóstwo czerwonych dachów, rozsypanych między ogrodami jak makówki między zbożem. Od prawego brzegu ku lewemu w poprzek Wisły ciągnie się długi, czarny pas zębaty, podobny do grzebienia. Tamto jest, Płock, to jego most łyżwowy.

Dobijamy do przystani, na której ciśnie się tłum ludu i delegacja ziemi płockiej, przybyła na powitanie trzech uczonych. Przez chwilę robi się na statku tłok, ponieważ część lądowych płoczan uważa za punkt honoru choć stopą dotknąć powierzchni wodnego budynku, który tyle burz przetrwał. Wnet jednak zaludnienie przerzedza się, góra pak i tłumoków znika, piszący to wykonywa kilka śmiałych ruchów nogami — i — staje na gruncie gubernialnego miasta Płocka żywy, zdrowy, pełen ufności w miłosierdzie Boże, które karmi ptaszki i odziewa lilie polne.

Płocki brzeg Wisły jest nierównie wyższy od warszawskiego. Kręty wąwóz, idący od rzeki ku miastu, dzieli go na dwie części. Lewa jest stroma i porośnięta krzakami, prawa ma łagodniejszy spadek zasiany ogrodami.

Na spadzistym brzegu widać katedrę, dzwonnice, wieżę zegarową i dawną zamkową. — Na brzegu prawym leży reszta miasta.

Pierwsze wrażenie jest bardzo przyjemne. Ulice Płocka, niektóre wcale długie, są wygodne, doskonale wybrukowane, czyste i przecinają się pod kątami prostymi. Chodniki asfaltowe dość szerokie i bez wybojów. Domy jakby świeżo odmalowane, najwyżej dwupiętrowe, zwykle jednopiętrowe albo parterowe. Ich rozmaita wielkość, struktura i barwa, ich czerwone dachówki, mnóstwo ogrodów i skwerów nadają miastu pozór wesołości i dobrobytu.

Na ulicach nie czuć najmniejszego zaduchu, owszem — powietrze jest jakby wiejskie. Osób kręci się dosyć, ale powozów i dorożek prawie nie

ma. Cicho jest, tak, że głośna rozmowa na chodniku wydaje się czymś nieprzyzwoitym.

Na rogach ulic widać szafki z ogłoszeniami. Niżej, klapsydra człowieka prywatnego w obu językach, wyżej ogłoszenie o zabawie na powodzian sandomierskich, mającej odbyć się wieczorem maja. Są także wystawy fotografów z widokami miasta i jego mieszkańców. Panowie — jak wszędzie, mają miny groźne albo zamyślane, kobiety — anielskie, dzieci — rozkoszne. Prawdziwe zadowolenie robią warszawskiemu przybłędzie dwie fotografie członków ochotniczej straży ogniowej. Oba chłopcy przystojni, w bluzach i kaskach. Patrząc na nich myślisz:

— Mój Boże! żeby się też Płock zapalił, to bym jego straż zobaczył w ruchu!...

Ale wnet opuszcza cię zła ciekawość.

Ulica Grodzka wiedzie od miasta na wielki czworokątny rynek. W północnym jego boku mieści się ratusz z zegarową wieżą, na której chodzi warta straży ogniowej. Na jednych drzwiach ratusza widać napis: „Kasa Oszczędności”.

Płock ma zatem ochotniczą straż ogniową i kasę oszczędności. Oprócz tego ma towarzystwo spożywcze „Zgoda” jak u nas „Merkury”, bezpłatną kuchnię, która ubogim wydaje po obiadów na dzień, resursę i „Korespondenta Płockiego”, pismo miejscowe, należące do najlepiej redagowanych. Odbywają się tu koncerty, zjeżdżają towarzystwa teatralne, czytają się prelekcje. Wszystko dowodzi, że mieszkańcy Płocka żyją w dostatku, są dobroczyńni, ruchliwi i inteligentni.

Zaglądamy do wnętrza domów. W wielu z nich po kilkunastu stopniach wchodzi się do sieni po to, ażeby znowu po kilkunastu schodach zejść na podwórze. Podwórza są obszerne, często zabudowane domeczkami zupełnie niepodobnymi

jeden do drugiego. Zdaje się, że w tych podwórzowych domkach mieszka przeważnie ludność uboga. Tu łączy się wieś z miastem. Po jednej stronie słychać turkot maszyny do szycia, po drugiej pianie koguta.

Żydków jest wcale sporo, ale i ich dzielnice nie są tak brudne jak w innych miastach. Sklepy niewielkie i zwykle jednoczą w sobie kilka

odrębnych rodzajów handlów, np. księgarski z galanteryjnym, galanteryjny z fryzjerskim itp.

Przypatrzysz się lepiej ścianom domów, widać duże plamy wilgotne. Rzeczywiście Płock, z powodu obfitości wody zaskórnej, choruje na wilgoć, którą usunąć mogą chyba drenaż i kanalizacja. Woda do użytku codziennego nie jest dobra: twarda i niesmaczna. Studnie zdają się być zaniedbane. Wodociągi bardzo przydałyby się miastu.

Głodny wędrowiec myśli przede wszystkim o pokrzepieniu ciała. Oto cukiernia, a w jej oknie napis: „lody”.

Pewien płocczanin na mocy tego napisu wszedł do cukierni i zażądał lodów.

— Lodów nie ma — odpowiedziano — ale jest bulion z pasztecikami ...

Wchodzimy do restauracji.

Dają kieliszek wszechsłowiańskiej wódeczki, wielką trzygroszową bułkę i befsztyk. Szukamy musztardy w jednym, drugim, trzecim słoiku ... Nie ma musztardy! ... Wszystkie słoiki jak wylizane. — Chłopcze — mówimy — daj musztardy! — Chłopiec daje musztardę. Jemy tedy befsztyk z musztardą i kartoflami i myślimy sobie:

— Ach! jaka w Płocku jest dobra musztarda... Taka ostra ... Tak dużo jej zjadają.

— Co się należy?

Należy się dość niewiele. Posiłek był tani. Ale jaka musztarda, ach, jaka musztarda! ... Jutro trzeba będzie jeść samą musztardę.

Katedra płocka jest bardzo starożytna, duża, ale zbudowana ciężko i niesmacznie.

Dzięki uprzejmości jednego z duchownych oglądamy jej skarbiec. Są w nim rzeczy prawdziwie piękne, bogate i nieocenionej archeologicznej wartości. Szczególniej złoty kielich, ozdobiony figurami rzeźbionymi i emaliowanymi, zasługuje na uwagę znawców. Jest także sarkofag mieszczący prochy królewskie.

Chcąc obejrzeć miasto a vol d'oiseau wdrapuję się na dzwonnice pod dykcją małego chłopca. Schody są ciemne i spadziste. Pełzając po nich, przypominam sobie, że o kilkanaście kroków stąd znajduje się wieża, pamiętna tragicznymi śmierciami rozmaitych osób. Takie wieże stanowią

miłą pamiątkę dla miast, a może i dla osób, które w nich zginęły. Imię ich przechodzi od pokolenia do pokolenia.

— Tu — mówi otoczony mrokiem przewodnik — ten i ten zamordowany został przez tego i owego.

W sercach słuchaczy budzi się rzewne współczucie, a nadobne panie tulą się do ramion swoich towarzyszy.

A może za lat sto jaki przewodnik opowiadać będzie nie istniejącym dziś jeszcze turystom:

— Tu, w tej dzwonnicy, z tego zakrętu schodów zleciał niejaki Bolesław Prus i — kark skrzył! ...

— O Boże! — mówię do siebie — wyprowadź mnie cało z tych wertepów. Ty jeden wiesz, że nie jestem próżny i nie mam pretensji, ażeby potomność imię moje wspominała ze współczuciem...

Staję na jakiejś bardzo wątpliwej podłodze pod dzwonami. Przez żaluzje ledwie przedzierają się promienie światła, ale okna są nad głową.

Przewodnik radzi mi, ażebym się drapał po belkach... Ha! sam los widać chce, ażebym stał się sławnym.

Włazę tedy po ścianie jak pokraka, ścieram kurz moim pięknym garniturem, sadzam w okno głowę — i — nic nie

widzę... Tyłem tylko zyskał, że mi chłopak przyciął palec otwierając żaluzje.

Wróciliśmy na twardą ziemię.

Podniósłszy głowę do góry, jeszcze raz spojrzałem na niegościnną basztę i pomyślałem:

— A jednak i ja mogłem być sławny!

Kiedy człowiek spokojnie siedzi we własnym domu, we własnym szlafroku i przy własnym biurku, miło mu wspomnieć, że kiedyś i on przymierzał laurowy wieniec! Radzę wszystkim wzdychającym do rozgłosu, ażeby wdrapywali się na rozmaite rudery i próbowali kark skrzyć. Da im to przedsmak wielkości.

Ale czas iść na zabawę dla powodzian.

Odbywa się ona na skwerze Floriańskim. Jest to czworokątny plac, tej zapewne wielkości co u nas Plac Bankowy. Ozdabiają go jeszcze młode drzewa i przerzynają wygodne ulice. Stąd ku Wiśle na łagodnym spadku ciągnie się śliczny Ogród Ewangelicki. Prawie wszystkie wejścia od

strony miasta zabite są deskami, ażeby nie dopuścić kontrabandy osobowej. Płacimy tedy, gdzie należy, złotówczynę i wchodzimy. Osób już jest tłum, z parę tysięcy ubranych wcale elegancko. A zatem pozór dobrobytu Płocka nie zawodzi. Kobiety są równie ładne i szykowne jak warszawianki i równie często używają dość lichej francuszczyzny. Muzyka gra. W kilku namiotach panie sprzedają bardzo lekkie artykuły spożywcze, za które, głównie wojskowi i urzędnicy, ofiarowują hojne naddatki. Wieczorem oświetlono ogród mnóstwem chińskich latarni, spalono ognie sztuczne i pokazano ludowi słońce elektryczne. Zabawa najzupełniej udała się i przyniosła z górą rs. powodzianom. Koszta były stosunkowo niewielkie. Rezultat ten przypisać należy pani Tołstoj, gubernatorowej płockiej. Dama ta przyjmuje udział lub daje inicjatywę wielu użytecz

nym sprawom. Jej staraniom, między innymi, zawdzięcza miasto otworzenie owych bezpłatnych kuchni i lokalu noclegowego dla biednych. Taka działalność budzić musi nieklamany szacunek.

Współcześnie z zapaleniem chińskich latarni miłosierdzie Boże, które, jak wiadomo, czuwa nad ptaszkami i liliami polnymi, w całej pełni zajaśniało nad piszącym. Jest on zabrany na kolację i obligowany, ażeby dopóki będzie w Płocku, nie ważył się pijać i jadać poza obrębem domu swoich gościnnych gospodarzy.

Piszę to w nadziei, że tysiące głodnych warszawiaków zechce przenieść się na stałe mieszkanie do Płocka i z niniejszej informacji skorzystać.

Cudowne miasto! gdziekolwiek stąpisz, dają ci przede wszystkim jeść tak obficie, że w końcu człowiek poczyna zazdrościć wielbłądom ich czterech żołądków.

Od strony północnej Płocka ciągną się równiny zasiane wsiami.

Zamożność powszechna. Wiele budynków wiejskich stawia się z cegły, pod dachówką. Włościanie miewają po kilkanaście tysięcy rubli gotowizną. Szlachta również majątna. Nie dziw więc, że dostatek guberni odbija się na jej stołecznym mieście.

Taki stan rzeczy przypisać należy przede wszystkim ziemi, najurodzajniejszej w kraju, dalej położeniu nad Wisłą, odwiecznej cywilizacji i wyrobionemu pod jej wpływem charakterowi ludności. Boć i

w Hrubieszowskim ziemia jest doskonała, a jednak ani miasto Hrubieszów nie zdradza wielkiego dobrobytu, ani ludność wiejska wielkiego poloru. Ledwie w ostatnich latach pozbyli się kurnych chat, a o murowanych domach nieprędko jeszcze pomyślą. Wieśniak płocki i jego sąsiad z gostyńskiego i kutnowskiego jest jakiś inny niż lubelski i podlaski. Ale rzeczy te trzeba będzie rozpatrzeć kiedy bliżej.

Nie mogę powstrzymać się od wzmianki, że spod góry, na której stoi katedra płocka, bije źródło wody żelaznej, która wydała mi się dość silna. Podobno też we wschodniej części miasta znajduje się źródło siarczane. Zwracam uwagę ludzi fachowych na te dwa źródła, one bowiem mogą odegrać ważną rolę w przyszłym rozwoju miasta.

Przy umiarkowanym dostatku, filantropii, piękności kobiet i inteligencji, Płock posiada charakteryzującą miasta prowincjonalną wadę, która od razu rzuca się w oczy.

Pewnego dnia ogłasza kto, że „dziś przyjedzie statkiem do Płocka człowiek z sześcioma palcami u nóg!” I otóż inteligencja jest w ruchu.

— Co, do Płocka przyjedzie człowiek z sześcioma palcami? ... Statkiem? ... To niemożliwe!

— Ach Boże! Czy pani słyszała, że do Płocka przyjeżdża taki, który ma po sześć palców u nóg. Pewno będzie nieszczęście! ...

— Cóż mi to za osobliwość sześć palców u nóg?... Po co on tu przyjeżdża? ... Czy myśli, że nam zaimponuje sześcioma palcami?...

Od tej chwili każdy przyjeżdżający statkiem jest pilnie oglądany przez ciekawych i podejrzewany o posiadanie sześciu palców, które na Płock sprowadzą nieszczęście. Dobrzy ludzie biedzą się pytaniem, który z przejezdnych ma sześć palców, aż nareszcie znaleziono jakiegoś pana Safandulskiego, na którego pada najwięcej poszlak.

— Patrz! Patrz!... To ten, co ma sześć palców ...

— Uważasz! On myśli, że my w Płocku robimy sobie co z takich, którzy mają po sześć palców ...

— Ach Boże! jakbym ja chciała mieć sześć palców...

Tak mówiąc obchodzą biednego Safandulskiego dokoła; zagląдают mu w oczy. Nareszcie najsmielszy atakuje go wprost:

— Panie! jestem Fujarkiewicz i upewniam pana, że miło mi poznać takiego jak pan człowieka ...

— Takiego jak ja, panie? A cóżem ja złego zrobił? ...

— O niech się pan nie wypiera! I my tu, panie, choć w Płocku, znamy się na ludziach, umiemy cenić...

A gdy to mówi, czujesz, że chciałby ci ściągnąć buty i porachować liczbę palców. Daremnie zapewniałbyś, że masz ich tyle, ile każdy człowiek, daremnie byś przysięgał. Miasto potrzebuje mieć przez parę godzin zajęcie i będzie je miało.

Salus rei publicae suprema lex!

Zbyteczne byłoby nadmieniać, że takie same rzeczy dzieją się w Kutnie odnośnie do Płocka, w Gostyninie odnośnie do Kutna i w Warszawie odnośnie do innego jakiego miasta.

Jeżeli wolno stawiać horoskopy, to przyszły rozwój już dziś pięknego Płocka zależy od następnych wypadków:

Zagęszczenia się ludności w guberni i cywilizowania się całego kraju, co ciągle dokonywa się.

Zaprowadzenia kanalizacji, drenów i wodociągów w Płocku.

Pobudowania bocznej kolei: Kutno—Płock—Ciechanów, co może wpłynąć na podwojenie liczby mieszkańców w krótkim czasie.

Nareszcie owe źródła żelazne i siarczane, jeżeli mają leczniczą wartość lub też jeżeli są wskazówką odpowiednich skarbów kopalnych, mogą wzbogacić i ożywić zarówno miasto jak i gubernię.

Na tym kończę życząc czytelnikom, ażeby zwiedzili Płock, o ile posiadają czas i fundusze. Szanowny p. Dobiecki, który ma szczęśliwą rękę w tego rodzaju przedsięwzięciach, może

zechciałby kiedy uorganizować jaką zbiorową wycieczkę wzdłuż Wisły. A może dobry przykład zachęciłby dostatniej szych warszawiaków do zwiedzania na wspólny koszt wszystkich pięknych i ciekawych okolic kraju? ...

Nic chyba tak nie uprzyjemnia życia, jak podobne podróże, odbywane w wesołym i dobranym towarzystwie.

WĘDRÓWKA PO ZIEMI I NIEBIE

Pytasz, mój przyjacielu, czy widziałem zaćmienie słońca?

Widziałem i powiem ci, że zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Tak potężne, że chyba nie znajdę spokoju, dopóki nie wygadam się z niego. Mówisz, że jako ziomkowi Kopernika, znaną ci jest astronomia; nie tak wprawdzie jak urzędowym astronomom z osobną pensją, mieszkaniem, opałem i światłem, ale zawsze dość dokładnie, nawet wcale nieźle. Lecz jako człowiek skrupulatny natychmiast dodajesz, że w jednej kwestii, tylko w tej jednej, mianowicie zaćmień, doznajesz pewnych trudności. Nie żebyś miał, broń Boże, nie rozumieć, na czym polega zaćmienie, bo to wszystko rozumiesz, ale niby jesteś w tym wypadku nie całkiem f e i n.

Księżyc...słońce ... ziemia ... coś — tego — tędy — owędy — krążą ci po głowie tak szybko, że w rezultacie pomieszały ci się zaćmienia z lunacjami i w żaden sposób nie możesz ich rozplatać.

Wszak byłeś na owej nocnej zabawie we Frascati, kiedy to płaciliśmy po ruble za krzesło warte złotych i jeszcze nie mieliśmy prawa zabrać go z sobą do domu?

Otóż we Frascati, kiedy już dobrze ściemniło się, w alei wejściowej zapalono na słupie światło elektryczne czy magnezjowe, w każdym razie bardzo silne. Na drabince przy słupie

stał jakiś mechanik i wywoływał „efekta świetlne”, a my tułaliśmy się po alei między bramą i latarnią. Wszak pamiętasz?

Wówczas, zatrzymawszy się na środku alei, mieliśmy ciekawe widowisko: spacerujący tłum był oświetlony aż trzema sposobami.

Pierwsza grupa, to jest ci, którzy znajdowali się w stronie bramy, a naprzeciw latarni, byli tak wybornie oświetleni, że mogliśmy odróżnić najdrobniejsze rysy ich twarzy. Stali oni dalej od latarni niż my, my więc chcąc ich zobaczyć, odwracaliśmy się tyłem do światła, które też nas nie raziło w oczy. Byli oni tak pełni jasności, że gdyby latarnia nazywała się

słońcem, my ziemią, a ci państwo naszymi księżycami, powiedzielibyśmy o nich, że „świecą w pełni”.

Druga grupa, stojąca pod samą latarnią pomimo bliskości światła, była dla nas niewidzialną; chcąc bowiem ją zobaczyć, musieliśmy spoglądać w kierunku elektrycznych blasków, które nas oślepiały.

Ci państwo przedstawiali nam księżyc „w nowiu”.

Byli wreszcie i tacy, którzy przechodzili obok nas w jedną i drugą stronę.

Na tych patrzyliśmy z boku i widzieliśmy, że mają jedną połowę ciała oświetloną, a drugą ciemną, zupełnie jak księżyc „w kwadrze”. Ci, którzy szli w stronę bramy, od światła, znajdowali się w „pierwszej kwadrze” — którzy szli do światła — w „ostatniej kwadrze”.

Lunacje więc polegają tylko na tym, że w ciągu miesiąca księżyc okazuje nam kolejno swoje jasno oświetlone lub ciemne strony.

Wtem, o dziwo!... Aleja tonie w mroku, a zamiast jaskrawej latarni widzimy czarny, okrągły przedmiot, otoczony łagodnym blaskiem.

Między krzakami ukazują się nikłe światełka zapalonych papierosów, publiczność krzyczy: ach! ...

Cóż się stało? ... Oto, stojący na drabinie mechanik, któremu zepsuło się coś w aparacie, wysunął głowę przed latarnią, zasłonił ją i wywołał „zaćmienie”.

Zaćmienie więc polega na zasłonięciu słońca.

Gdybyśmy byli ziemią, a mechanik księżycem, mielibyśmy obraz zaćmienia słońca. Gdyby zaś mechanik był ziemią, a państwo wracający od bramy księżycem, na które padł cień mechanika, mielibyśmy zaćmienie księżyca.

W każdym razie, aby wywołać jakiegokolwiek zaćmienie, trzeba, ażeby słońce, księżyc i ziemia znajdowały się razem na jednej linii prostej.

Wówczas, gdy księżyc stoi między ziemią i słońcem (nów), mamy zaćmienie słońca; gdy zaś ziemia stoi między słońcem i księżycem (pełnia), mamy zaćmienie księżyca.

Księżyc jednak nader rzadko znajduje się na jednej linii z ziemią i słońcem, nader rzadko wchodzi na drabinkę do wysokości latarni. Zwykle spaceruje on niżej niby gość po alei albo wyżej od latarni jak wiewiórka skacząca po wierzchołkach drzew. I dlatego zaćmienia trafiają się nieczęsto.

Ponieważ mechanikowi z Frascati nieraz psuła się jego cudowna latarnia, mieliśmy więc w ciągu wieczora kilkanaście zaćmień. Wszystko za ruble i jeszcze z krzeselkiem w dodatku.

Drugą kwestią, która cię męczy w sprawie zaćmień, szczególnie słonecznych, jest ta, dlaczego one trafiają się tak rzadko — i jakim sposobem można je przepowiadać?

Wyobraź sobie, żeś stanął na środku podwórza w kamienicy, która ma cztery oficyny: frontową, tylną, prawą i lewą. Otóż dom ten należy do dwu braci, wielkich dziwaków.

Jeden brat, starszy i otyły (słońce), mieszka i spaceruje tylko po pierwszym piętrze, ale po wszystkich oficynach co kwartał w innej.

Widzisz go, jak powoli z tylnej oficyny przechodzi do prawej, z prawej do frontowej, z frontowej do le

wej, z lewej znowu do tylnej i po upływie roku wraca do tej samej, gdzie go pierwszy raz spotkałeś. Jest zaś tak systematyczny, że poznawszy bliżej jego zwyczaje, z góry możesz powiedzieć, iż dnia sierpnia będzie np. widzialny w drugim oknie lewej oficyny. Taki nudziarz.

Za to młodszy jego brat (księżyc) jest już skończonym wariatem. On także przenosi się coraz do innej oficyny, ale robi to co tydzień. Tydzień mieszka we frontowej, tydzień w lewej itd. Tak że znowu bez trudu możesz przepowiedzieć, którą oficynę zajmie od dziś za dziesięć albo za tygodni.

Robi on gorszą rzecz, gdyż zmienia nie tylko oficynę, ale i piętro. Jeżeli dziś np. mieszka we frontowej oficynie na drugim piętrze, to za tydzień przeniesie się do lewej oficyny na pierwsze, za dwa tygodnie zjeżdża do tylnej oficyny na parter, w trzecim tygodniu sprowadza się znowu na pierwsze piętro, ale do prawej oficyny, a w czwartym na drugie do frontowej i tak wciąż z góry na dół i z dołu do góry.

Ponieważ starszy brat nigdy nie opuszcza pierwszego piętra, a młodszy bywa na nim dwa razy miesięcznie, nie dziw więc, że od czasu do czasu bracia się spotykają. I może trafić się, że młodszy brat, spotkawszy starszego, stanie między nim a oknem i na chwilę zasłoni go przed tobą, „zaćmi” jego jaśnie oświeconność.

Istotnie trafia się tak, ale rzadko i nieregularnie.

Rodak Kopernika, znany z niecierpliwości, widząc tę wariacką bieganinę księżycy, machnąłby ręką i powiedział:

— Z tym już ładu nie dojdę. — Ale cierpliwi astronomowie chaldejscy, przestudiowawszy ruchy wariata, doszli do wniosku, że i w nich panuje pewien system. Oto ów młodszy brat po latach powtarza swój spacer w takim samym porządku, jak go odbywał przed laty, a co więcej, prawie w takim samym porządku spotyka się na pierwszym piętrze ze starszym

bratem słońcem, zakrywa go przed oczyma podwórkowych widzów. Na tym prawidłowym powtarzaniu się ruchów starszego brata i młodszego polegała możliwość przepowiadania zaćmień, jeszcze przed narodzeniem Chrystusa. Dziś są sposoby nieskończenie dokładniejsze.

W sumie więc zapamiętaj, przyjacielu, dwa główne warunki słonecznych zaćmień:

Księżyc i słońce muszą znajdować się w tej samej oficynie, tj. w tej samej konstelacji na niebie. Jest wówczas nów.

Księżyc musi być na tym samym piętrze co i słońce; A że na niebie piętro zajmowane przez słońce nazywa się ekliptyką, więc księżyc musi być na ekliptyce.

Dla czytelnika ważniejszymi od teorii astronomicznych są uczucia, jakich człowiek doznaje podczas zaćmień. Opowiem ci to, mój przyjacielu, jak przed księdzem, ażebyś choć niedokładnie mógł je sobie odtworzyć.

Część astronomiczną zaćmienia znaleźmy od dawna, jeszcze ze Szkoły Głównej, gdzie kosmografią wykładał zacny Jan Baranowski, według Garceta, a Garcet nie wiem już według kogo. Robiliśmy nawet z kolegami odnośne rachunki, lecz wyznaję, że ze wszystkich rozdziałów kosmografii, zaćmienia obchodziły nas najmniej. To takie proste zjawisko; tak łatwo je wywołać, choćby zamknąwszy oczy.

Ruchy planet, komet, chemiczny skład ciał niebieskich, a nade wszystko olbrzymie wymiary wszechświata, na przebycie którego promień słońca, biegnący tysiące mil na sekundę, potrzebuje kilku i kilkunastu wieków, oto były rzeczy godne uwagi. Ale jakiś tam mały księżyc, ze swoim kusym cieniem? ... Czy warto się nim zajmować! ...

Gdym zaś jeszcze zobaczył całkowite zaćmienie księżyca, przy którym satelita nasz z bladego stał się miedzianym jak przypalony naleśnik, straciłem wszelką ciekawość do zaćmień

i byłem gotów ubolewać nad nieszczęśliwymi badaczami, którzy tłuką się po oceanach spokojnych i niespokojnych, ażeby oglądać takie głupstwo. Barwne opisy astronomów-poetów również mnie nie wzruszały. Robi się ciemno, więc ptaki i rośliny idą spać, bydło ucieka w stronę domu, a lud modli się ze strachu. Rzeczy naturalne i proste.

Upłynęło wiele lat od tej pory, nadciągnął rok bieżący, a wraz z nim „Kalendarz Ilustrowany”, w którym Józef Unger zapowiedział na sierpień całkowite zaćmienie słońca dla wschodniej Europy, a częściowe dla nas... — Tak blisko?... — pomyślałem. — No...

Nadszedł i sierpień, a z nim „Wszechświat”, „Kraj” i dzienniki zaczęły rozsyłać mapy zaćmienia. To już zaczynało być interesujące. Szczególniej „piknął” mnie ów malutki cień księżyca, który ma być czarny jak atrament i jednym skokiem zalewa na ziemi mil kwadr., czyli terytorium obszerne jak Morawia.

Będąc na wsi lubię patrzeć na sunące po ziemi cienie obłoków, które zjeżdżają z zielonego pagórka, mkną po równinie i znowu wpływają na drobne wyniesienia gruntu.

Należy to do bardzo ładnych widoków, jeżeli obłoczek jest mały, przezroczysty i sunie po ziemi z prędkością niewiele większą od chodu człowieka. Ale kiedy nadleci chmura, rzucająca cień czarny, który najeżdża na ciebie z szybkością lub metrów na sekundę jak lokomotywa, wówczas widok staje się przykrym.

Otóż cień księżyca jest prawie czarny, olbrzymi, widać go nie tylko na ziemi, ale i na obłokach, a pędzi z szybkością nie albo , ale tysiąca metrów na sekundę. Obraz podobny może być nie tylko przykry, ale straszny.

Tak więc, w miarę jak zbliżał się sierpień, obojętność dla zaćmień przeradzała się w niepokój. Człowiek nerwowy miał prawo oczekiwać przykrych wrażeń.

Tu jednak przyszło na pomoc wspomnienie, że natura, nawet wówczas, gdy przeraża, jeszcze jest piękną i twórczą. Głęboko wstrząsa ona duszę, ale zarazem odnawia ją i przebudowuje. Po każdym takim (niestety nader rzadkim) wstrząśnieniu, gdy spojrzysz w siebie, znajdziesz jakiś nowy układ wyobraźni, jakieś nowe źródło uczuć, jakiś nowy punkt widzenia,

niby wierzchołek góry, która nagle wyrosła i pozwala spojrzeć na świat trochę pod innym kątem.

Pamiętam, jechałem pierwszy raz do Zakopanego sam z górale, opuściwszy Kraków w dzień pochmurny, po którym nastąpiła noc ulewna i dżdżysty poranek. Zmarznięty, zawinałem się we wszelkie możliwe odzienia i drzemiąc pod płótnem hałaśliwej bryki, marzyłem o górach. W półśnie widziałem długi szereg jasnozielonych wzniesień, o okrągłych wierzchołkach i łagodnych stokach. Na takie bowiem „góry” napatrzyłem się w dzieciństwie.

Wtem góral zatrzymał wóz...

— Niech wstaną — rzekł — góry widać. — Przetarłem oczy. Wilgotny chłód szczypał jeszcze po twarzy, ale niebo wypogodziło się.

Tu nie ma gór... Jest tylko długa, przykra równina, a daleko, aż na końcu południowego horyzontu, stoi ciemna, zębata ściana, coś niby chmura, niby las. I to las nie zielony, ale fioletowy, popstrzony białawymi, żółtawymi i czarnymi plamami. A jakież on wysoki! Gdyby leżał o sto kroków, jeszcze byłby dwa razy, trzy razy wyższy od prawdziwego lasu, złożonego z dorosłych dębów i sosen.

Nade wszystko nie mogłem dać sobie rady z odległością ciemnej ściany. Patrząc na nią samą — stała o wiorstę; patrząc po równinie dzielącej nas — stała p kilka wiorst.

— Daleko to? — zapytałem górala.

— Nieosobliwie daleko; będzie ze cztery mile. Trzydzieści wiorst!

Jeszcze nigdy w życiu nie ogarnąłem okiem podobnej odległości.

Spojrzałem w lunetę. Płaska ściana nabrała wypukłości. Część jej, jakby przez nagłą zmianę dekoracji, wysunęła się naprzód, część cofnęła się w tył i zamgliła. Ukazały się ciemnozielone lasy, jaśniejsze stoki gór, a nad nimi szare i żółte skały. Ta biała plamka to śnieg leżący w jakiejś ogromnej szczelinie, a ta czarna — to cień, rzucony przez jedną górę na skłon drugiej. A te puchy i piórka, z których nie mogłem zdać sobie sprawy, to obłoki, przyczepione do ostrych szczytów, jakby ktoś palił fajkę i wydmuchiwiał dym...

Widok piękny, ale przygnębiający.

Ruszyliśmy dalej. W Zakopanem wszystko znikło. Stałem na prost brzydkiej równiny, na błotnistej ulicy. Ze mgły wychylały się ciemne domki, pod nogami szeleścił potok ze szmerem ulewnego deszczu, na

prawo inny potok, na lewo jeszcze inny potok, wszystkie zapienione, hałaśliwe, natrzęsające się z podróznego, który z obawą podziwiał je pierwszy raz...

Ale gdzie góry? ... Gór ani śladu. Potężne masy, które o kilka mil stąd przerażały mnie ogromem, gdy zbliżyłem się do nich na kilkaset kroków, znikły. Ukryły się w deszczu i tylko instynktownie czułem ich przygniatającą obecność. Później miałem okazję nieco bliżej, choć zawsze z daleka, przypatrywać się górcom. Widziałem tylko ścianę Giewontu, który zaczyna się tuż u nóg i nagle wzbija się do nieba tak wysoko, że lękasz się, aby nie upaść na wznak. Widziałem jeziora, z wodą szafirową i srebrną pianą, których przejrzyste głębiny aż ciągną człowieka do siebie. Słuchałem, o tysiąc stóp nad głową, dzwonek pasącego się bydła z tym wraże

niem, że bydło pospada na mnie, a później wszystkich nas góry zasypią. Widziałem potok wąski na przeskok, który toczył odłamy skał jak piece i inny potok, który za pomocą małych kamyków gryzł skaliste łóżysko i wiercił w nim otwory, podobne do skręconych konch ślimaczych, dużych jak kotły. Przechodziłem ciemne i wilgotne lasy, w których nie odzywał się żaden ptak, ani nawet mucha, tylko nigdy nie kończące się warczenie potoków. Ale za to nad Morskim Okiem słyszałem echo gadające przez kilkadziesiąt sekund, które na ludzki głos odpowiadało grzmotami.

I wszystko, com tu wycierpiał, na com patrzył i czegom słuchał z trwogą — te głuche lasy i gadające skały, płaty ziemi, która wydzierała się ku niebu i zbiorowiska głazów, większe od wszystkich miast świata, powietrze, które skraca odległości i drobny deszczyk, który roztapia w sobie niezmiernie łańcuchy wzniesień, wszystkie te zawrotne widoki i przykre niespodzianki zlały mi się w jeden obraz tak piękny, że nie ma chyba skarbów, za które można by go odstąpić. Dusza rozszerzyła się... Ta jest główna cecha natury, nie tylko goi rany, które zadała, ale jeszcze wynagradza je szczęściem, jakiegośmy nigdy nie oczekiwali.

Więc jadę na zaćmienie.

W pociągu kolei Nadwiślańskiej, o w nocy, jest nas dwu amatorów silnych wrażeń: ja i pewien obywatel.

Przy migotliwym świetle latarni wagonu widzę, że mój towarzysz ubrał się na tę uroczystość w wąziutkie spodenki, kurtkę, której dolna krawędź usiłuje mu dojechać do kołnierza, i miękki filcowy kapelusz, który daje się przerabiać na hełm,

infule, trój rozek napoleoński, toczek garybaldyjski i czapkę marynarską, nie tracąc przy tyra wyglądu starej kieszeni.

Jest to dżentelmen grzeczny i równy w obejściu, który gdyby z samym Dantem jechał do piekła, jeszcze wziąłby ze sobą w paskach poduszkę i sławucką kołdrę, ażeby wygodnie przespać się w łódce Charona lub na piekielnych stacjach; kładzie się więc i śpi snem dziesięciu sprawiedliwych jak świstak alpejski w grudniu.

Staram się naśladować jego przykład, lecz przekonywam się, że wypicie czterech szklanek herbaty na noc nie usposabia do snu. Tymczasem pociąg huczy, kołysze się, sypie iskry i pędzi mijając słupy telegrafu, budki dróżników i stacje owinięte dzikim winogradem. Co pół godziny zatrzymujemy się, słysząc tupanie kilkunastu par butów, senne głosy, 'potem dzwonek, świst i znowu jazda w głęboki tunel nocy.

Godzina druga, trzecia ... Mój towarzysz śpi cicho jak cherubinek, tylko bujne faworyty spadają mu pod lawę.

— Pyszny kapelusz — myślę — muszę sobie taki kupić. — Zarazem dostrzegam, że jutrzejsze zaćmienie już wywarło wpływ na świat zwierzęcy. Ani jednej pchły w wagonie!...

Jedziemy wciąż, czarna noc szarzeje. Spoglądam na zegarek — blisko czwarta.

— Zobaczymy — myślę — jak wygląda słońce na dzień przed spłata wксу.

Jeszcze stacja i — robi się na dworze tak widno, że doskonale można czytać. Ponieważ między mnóstwem przepisów kolejowych nie znajduje tego, który zabrania wychodzić na ganek wagonów podczas jazdy, więc wychodzę na ganek.

Zachodnia połowa nieba jest dosyć zachmurzona i ciemna; nad horyzontem jeszcze widać błękitny płaszcz uciekającej nocy. Lecz pola, drzewa, budynki mają już swój właściwy kolor. Wyraźnie widać białe płaty piasku, żółtawe ściernie, czerwoną korę i zielone głowy sosen.

Jednakże czegoś im brak, a raczej ponad rozmaitymi ich barwami rozciąga się jeszcze, jakby delikatna kołdra, utkana z jednostajnego cienia — śpi ziemia i jej rzeczy.

Za to niebo na wschodzie jaśnieje już wszystkimi blaskami dnia. Małe, zaróżowione obłoki jak kąpiące się dzieci płyną po morzu, w którym lazur i srebro stopiły się w płyn subtelniejszy od samego światła.

Ale otóż i pokazuje się wesoła, roześmiana twarz słońca, nad którą wzbijają się snopy blasków, jak motyle skrzydła albo jak ramiona otwarte do szerokiego uścisku. Za kilka minut każde drzewo dostanie porcję żywego światła, które oddzieli go od innych drzew i nada mu odrębną fizjognomię. Każdy ziemski przedmiot pocznie rzucać cień, będzie jak człowiek, który dopiero leżał, lecz teraz podniósł się i stoi.

Naprawdę światło jest duszą świata i kto wie, czy za pomocą jego promieni, przedmioty, które nazywamy martwymi, nie patrzą na siebie i nie widzą się tak, jak my je widzimy

Czym zresztą płytka fotograficzna, która nie tylko widzi, ale nawet pamięta, miałyby być lepszą od liścia albo kamienia? ...

Wracam do wagonu, w którym dzień zawsze korzystający z prawa bezpłatnej jazdy zajął już wszystkie miejsca dozwolone i zabronione. Mój towarzysz ciągle śpi, a jego kapelusz, podobny w tej chwili do rozdartej cholewy, podbija mnie ostatecznie. Przysięgam, że muszę mieć taki, i istotnie po kilku dniach znajduję up. Trois Francois jeszcze lepszy Obok wszystkich zalet formy posiada on jeszcze [zaletę] ścierki do kurzu, chusteczki do nosa, serwetki do czekolady itd.

Śliczny ubiór! Ledwie go włożyłem, przekonałem się, że mam już zabezpieczoną starość. Będę. wydzierzawiał się na stacji nasion do straszenia wróbli.

Otwock!... pięć minut.

Robi się małe zamieszanie, do cichego wagonu wchodzi kilku, może kilkunastu panów. Między nimi inżynier Sokal, ważny dla miasta z tego względu, że buduje kanalizację, a mnie osobliwie drogi, ponieważ i on wybiera się na zaćmienie. W ogóle od paru dni zaczynam dzielić ludzi na dwie grupy: takich, którzy jadą na zaćmienie, i takich, którzy nie jadą. Dla

pierwszych budzą się we mnie tkliwe braterskie uczucia, dla drugich mam wstręt i pogardę, maskowaną jedynie dobrym wychowaniem.

Przy tym p. Sokal jest to człowiek nadzwyczajnie grzeczny, spokojny jak Anglik, ale... (któż na tym świecie jest bez ale...) ma jedną oryginalność. Oto, po dłuższym pobycie w Szwajcarii, a zapewne i w innych punktach Europy, doszedł on do wniosku, że najpiękniejszą letnią rezydencją jest Otwock, a w nim szmat piasku zasypywanego od rana do wieczora dymem nadwiślańskich lokomotyw.

Co prawda Andriolli także zwiedził Alpy i Ural, Pireneje i Apeniny i w rezultacie zbudował sobie kolonię nad Świdrem.

Nieszczęśliwi! nie znali Nałęczowa.

Jest siódma z rana, śpiący mój towarzysz spogląda jednym okiem na zegarek, dosypia pięć minut, potem zrywa się jak łania, zawija kołdrę i poduszkę w paski, ubiera się w swój fenomenalny kapelusz i jest gotów. Składamy we trzech radę wojenną w sprawie zaćmienia.

Ja głosuję za podróżą do Wilna, pod warunkiem, że droga w tamtą stronę i na powrót zostanie skrócona do trzech lub czterech godzin, co na razie okazuje się niemożliwym. P. Sokal stanowczo jedzie do Mławy o godzinie min. , a p. Węgliński gotów jest jechać do Wilna i do Mławy, a nawet do obu tych punktów jednocześnie i każdym pociągiem.

Ostatecznie decydujemy się na Mławę. Stajemy na Pradze, p. Sokal znika i po chwili wraca donosząc nam, że będziemy mieli w Mławie nocleg.

Docieramy do Warszawy. Kąpiel, obiad, wizyty. Kogo spotkam, każdy wybiera się do Mławy. Wszyscy goście z restauracji p. Czuleńskiej, wszyscy członkowie redakcji, cała Warszawa jedzie do Mławy. Kto nie jedzie do Mławy, ma zamiar wyjść na Nowy Zjazd, a kto nie ma zamiaru nigdzie ani iść, ani jechać, kupuje sobie przynajmniej okopcone szkiełka. Wszystkie rozmowy toczą się około zaćmienia, a choć niebo jest pochmurne, do jutra jednak wypogodzi się.

Któż słyszał, ażeby na chwilę zaćmienia niebo było pochmurne! Potem może sobie deszcz padać, ma przecież czas.

Zachodzę do Berenta z zamiarem wzięcia kilkunastu lunet, spektroskopów, igieł magesowych itd., a tymczasem patrzę na barometry. Każdy śpiewa z innego tonu, ale ogólna melodia waha się między odmianą a deszczem. Zmienny deszcz.

Prof. Plewiński przypatruje mi się z łagodną ironią.

— Cóż, panie profesorze, pogoda na jutro będzie?

— Macie panowie szans na sto...

— Ze będzie pogoda?

— Że będzie deszcz.

— No, ale na chwilkę może się wypogodzić.

— O, może.

— Na tę chwilkę?

— Nawet i na tę.

Z pewnością wypogodzi się, a teraz drzyjmy na kolej. Jest piąta, pociąg odchodzi za dwie godziny, wobec jednak tylu amatorów bezpieczniej jest wcześniej kupić bilet.

Im bliżej g. , tym na dworcu pełniej. Damy, mężczyźni, uczeni, kupcy, technicy, duchowieństwo tłoczą się jak w dniu sądu ostatecznego. Na platformie pogwizduje lokomotywa przypinająca coraz nowe wagony, kasjer jest bliski zemdlenia, akcje kolei Nadwiślańskiej co pięć minut idą w górę. I nie dziw, na mnie samym z okazji zaćmienia zarobi kolej ze rubli, z Nałęczowa do Mławy i z Mławy do Nałęczowa.

Przypięto już siedemnasty wagon, wtem we drzwiach ukazuje się coś wspanialszego od kolumny Trajana, z pakiecikiem zawiniętym w „Kurier”. Przecieram oczy... Ależ to Wł. Bogusławski!... Wchodzi do wagonu jak Cezar do historycznej łódki, składa w koszu swój pakiecik jak Jowisz pęk grzmotów i siada w kącie na ławce jak po prawicy Boga Ojca, z którym sądzić będzie żywych i umarłych. Złoto kochane! ten już nie opuści żadnego widowiska, byle nie odbywało się w ogródku. Na wyjątkową uroczystość wiezie z sobą akurat tyle, co potrzeba: w piersiach skłonne do uniesień serce, w pakieciku — ręcznik i szczoteczkę do zębów. Kłopot o jedzenie i spanie zostawił dobremu Bogu, który odziewa lilie polne.

W wagonie sami znajomi.

Jest p. Węgliński ze swoją kołdrą sławucką, przezorny inżynier Sokal z wiązką obwarzanków i łańcuchem serdelków, chemik Rakowski z aparatem fotograficznym, za pomocą którego chce „zdjąć” koronę słoneczną, i tak ją zjął, żeśmy jej na niebie nie zobaczyli, chemik Leppert z paką odczynników przeznaczonych do zbadania pierwiastka helium. Nie

brak nawet higienisty w prześlicznej garniturze, ale nazwiska jego nie powiem, gdyż podróżował incognito.

Na stacji świszczą i dzwonią. Wytykam głowę przez okno i widzę grupę konserwatystów, majestatycznie krocących do wagonu I klasy. Na twarzach ich maluje się dobrobyt i zadowolenie. Już telegrafem zamówili obiad w Mławie, a ponieważ jadą we czterech lub pięciu, pieszczą się więc słodką nadzieją, że i nas kilku zaproszą do towarzystwa. Zdaje się, że wzięli ze sobą pościel pneumatyczną, cały koszt optycznych narzędzi i parę talii kart jeograficznych. Przechodząc około nas, umawiają się; kto komu będzie pomagał — zapewne w robieniu spostrzeżeń.

Wtem z wielu wagonów odzywają się huczne okrzyki:

— Wenda! Wenda! ...Chodź do nas, tu jest miejsce...

Rzeczywiście p. Wenda ukazał się na peronie, niosąc wielki pakiet w rękach, a z mocno wypchanych kieszeni jego paltota wyglądały jakieś wysmukłe przedmioty. Ponieważ ci, którzy go tak entuzjastycznie witali, byli to uczeni, sami członkowie Wystawy Higienicznej, domyślałem się, że i p. Wenda wiezie instrumenta potrzebne do badań.

— Musi mieć i chronometr — pomyślałem. A tymczasem upragniony gość już ulokował się w wagonie czy .

Ruszamy, jedziemy. Niebo bardzo pochmurne, lecz do jutra wypogodzi się z pewnością. W szyby wagonu zaczyna bębnić deszczyk, no — ależ to jeszcze godzin!... Docieramy do Jabłonny. Jest tak ciemno, że nawet nie mogę dojrzeć sławnej „halli”, wzniesionej dla wygody letników. Za to na posępnym tle chmur połyskują jakieś blade widziadła, może duchy gołębi zamordowanych przez tire aux pigeons. Towarzysze nasi biegną do stacji po piwo, ale ani piwa nie ma, ani można dotłoczyć się do bufetu.

— Wenda!... chodź do nas ...

Znowu jazda. Deszczyk puka, ażebyśmy się przedrzemali i całe towarzystwo usposabia nader melancholijnie. — Kto wie, czy jutro będzie pogoda?

— I czy dostaniemy co jeść w Mławie?

— Jedzie ze osób.

— Restaurator Niemiec przygotowałby się na tyłu, ale nasz brat...

— Zmarniejemy z głodu przed zaćmieniem.

— Trzeba zaraz wziąć na stacji dorożkę i jechać do Mławy, choćby po chleb i serdelki.

Widmo głodu tak przeraża towarzystwo, że w oka mgnieniu znikają obwarzanki i serdelki wiezione przez p. Sokala. Po czym każdy sadowi się, jak może, i zaczynamy drzemać.

— Żeby się choć udało zaćmienie!

— Uda się!

— Nie uda się!

— Stawiam groszy, że się uda.

— Trzymam, choć wolę przegrać.

Cicho wachlując niewidzialnymi skrzydłami, po wagonie przeleciał sen, pocieszenie smutnych i lekarz chorych. Drzemał, ziemianin, drzemał kupiec i filolog, i doktor higienista, i dwaj chemicy, ulegając sile wyższej nad wszelką troskę. Tylko Bogusławski nie drzemał, on spał jak zachloroformowany ...

Nieprawda, że jest tylko jeden świat; są dwa światy: ten i tamten; ten, który mamy pod nogami, jest ziemski; tamten, do którego trzeba podnosić głowę, jest niebem, może nawet tym, o którym mówi katechizm i biblia. Nie jestże niebo światem duchowym? Wszak wiemy o jego istnieniu tylko za pośrednictwem najbardziej duchowego zmysłu — wzroku. Wszak najprostsze jego tajemnice odkrywamy nie za pomocą eksperymentów, ale najzawikłańszych rozumowań.

Nie jestże duchowy ten niedostępny świat, którego nigdy nie dotknie stopa ludzka? Gdzie człowiek, który by wydarł się z kajdan ziemskiego przyciągania? Kto i jakim sposobem zwiedzi tak bliski od nas księżyc, do którego kurierski pociąg jechać by musiał przeszło lat? A ile pokoleń ludzkich zmarłoby w ciągu podróży do słońca, do którego ten sam pociąg pędzić, by musiał przez lat ...

Ocean zwieszający się nad naszymi głowami, w którym zatopiona ziemia płynie gdzieś z szybkością mil na sekundę, pomimo wszelkich pomiarów i badań spektroskopijnych jest naprawdę światem metafizycznym. Ani tam dojsć, ani dotknąć się niczego.

Gorzej, bo nawet nie można wyobrazić sobie najprostszych rzeczy.

Kto na przykład przedstawi sobie prawdziwą wielkość ziemi? Dla nas cała ziemia zamyka się w kole horyzontu, który ma zwykle około wiorst w promieniu, czyli tysiąc razy mniej niż promień ziemi. Są ludzie, którzy z największym niebezpieczeństwem wzbijają się o milę" wysoko. Widzą stamtąd terytorium olbrzymie, większe niż Węgry z Galicją, a swoją drogą promień tak ogromnego horyzontu stanowi ledwie dwudziestą część promienia ziemi.

Jednym wyrazem: nie jesteśmy w stanie uzmysłwić sobie nawet rozmiarów ziemi.

A czymże jest ona przy słońcu? ... Okruczem . milionów razy od niego mniejszym; wygląda przy słońcu jak ziarno grochu przy wielkiej dyni. Wszystko to jednak są drobiazgi wobec gwiazdzistego nieba. Kiedy bowiem cały system słoneczny możemy sobie uzmysłwić w dosyć dokładnej miniaturze, nawet w takiej miniaturze nie jesteśmy w stanie pojąć ogromu wszechświata.

Przedstawmy sobie dużą równinę, a na niej kolisty tor (jak plac wyścigów), którego obwód miałby przeszło wiorst, a średnica wiorsty. Na tym placu moglibyśmy umieścić obmyśloną przez Herszla miniaturę systemu słonecznego.

W środku placu umieścimy dynię wysoką na łokieć, to będzie obraz słońca. O kroków od dyni położymy ziarno gorczycy, to będzie planeta Merkury. O kroków, wciąż od dyni, umieścimy nieduże ziarno grochu, to Wenus, a trochę większe ziarnko grochu, leżące o kroków od środka placu, będzie ziemią...

Na pół łokcia od grochu umieścimy ziarno prosa, ażeby mieć księżyc. Ziarno siemienia konopnego, położone o kroków od dyni, przedstawi planetę Marsa, a średniej miary pomarańcza

w odległości kroków będzie największą planetą — Jowiszem. Mała pomarańcza, o kroków od środka placu — to Saturn, duża wiśnia w odległości wiorsty będzie Uranem, a jeszcze większa wiśnia, leżąca już na obwodzie toru o półtory wiorsty od dyni, będzie Neptunem.

I otóż mamy miniaturę „systemu planetarnego”, z którego, jakkolwiek umieścimy się, możemy dojrzeć słońce, ale planet, a osobliwie ziemi — ani sposobu. Kto, choćby o kroków, dojrzy ziarno grochu!

Ale to dopiero system planetarny, dokoła którego, nad którym i pod którym znajduje się kilka tysięcy gwiazd widzialnych gołym okiem i ze milionów gwiazd widzialnych tylko przez potężne narzędzia astronomiczne. Każda zaś gwiazda jest takim słońcem jak nasze i również może być przedstawiona w miniaturze za pomocą dyni.

Dobrze. Gdzież jednak umieścić ową dynię, ażebyśmy mieli miniaturę odległości najbliższej gwiazdy od słońca? Może o albo o wiorst? ... O tysiący wiorst!... W takiej to odległości, obok miniatury słońca, trzeba umieścić miniaturę gwiazdy i za nią o tysiący wiorst model drugiej gwiazdy itd. aż do wyczerpania milionów gwiazd.

Kto zaś pojmie odległość tysiący wiorst albo cyfrę milionów, na samo porachowanie której licząc bardzo szybko dniem i nocą zejdzie około miesięcy? Słowem — nieba nie możemy sobie wyobrazić; przechodzi to wszelkie granice naszych zmysłów. Tworzymy tylko o nim pojęcie za pomocą symbolicznych rysunków i liczb, których nigdy nikt nie był w stanie zrachować. Jest to więc świat istotnie duchowy, metafizyczny i tylko dla zwyczaju nazywamy go materialnym.

Trzeba jeszcze dodać, że w tym niedostępnym i bezmiernym niebie tkwi źródło wszelkiego życia na ziemi — słońce. Gdyby ono bodaj na tydzień przestało nas ogrzewać, zginęłoby

wszystko, co rośnie i rozmnaża się, bez śladu i bez możliwości odrodzenia.

..

„Gdzieżeś był, kiedym Ja zakładał grunty ziemi? Powiedz, jeżeli masz rozum.

„Możeszże związać jasne gwiazdy Bab albo związek Oriona rozerwać?

„I znaszże porządek nieba? a możeszże rozrządzać panowanie jego na ziemi?”

Skrzypnęła zasuwa wagonowego przedziału i przez półzamknięte oczy zobaczyłem pana z dużym pakietem w ręku i wypchanymi kieszeniami. Gość obrzucił wzrokiem śpiących, coś połyskującego wydobył z jednej kieszeni i rzekł:

— Kalmusówka....

— Wenda! — huknęli śpiący jak jeden mąż. — Tu siadaj... Tu jest miejsce...

Posadzono gościa tak tęsknie oczekiwanego na pryncypalnym miejscu, które najobficiej było zasypane proszkiem perskim. Słyszałem ciche

puknięcie, potem łagodne gulgotanie, które powtórzyło się kilka razy, a potem nie słyszałem nic.

Godzina w nocy; nie ma wątpliwości, że już stanęliśmy w Mławie.

Wszyscy wybiegają z wagonu i ja też... Jak na odpuszczenie do cudownego miejsca tłoczemy się pod gmachem stacji; wciskamy się w jego drzwi jak rozrabiane ciasto między palce terminatorów piekarskich i — jesteśmy w sali restauracyjnej.

Ścisk, wrzawa, popychanie się. Czekam, rychło z jakiego kąta wylezie chude widmo głodu, lecz. zamiast niego widzę podróżnika z talerzem pełnym mięsa. Drugi, trzeci... setny, a każdy ma pełno w garści i pełno w misce.

— Może głodu, nie będzie? ...

Nareszcie i ja docieram do bufetu i — zjadam wcale niezłą kolację za pół rubla: kawał mięsa, mały kalafior, kromka chleba, czy to nie dosyć?

O g. min. jestem świadkiem zjawiska ekonomicznego, zwanego podwyżką ceny. Rzecz dzieje się przy antałku piwa z pompką. Dopóki piwo płynęło klarownie, płacono za kufel po kop. ; gdy zaś stało się mętne i zaczęło syczeć, gospodarz zawołał:

— Teraz niech panowie płacą po kop. , bo już piwa mało. „Cena rośnie w stosunku prostym do ilości nabywców, a w stosunku odwrotnym do ilości towaru”.

Nie mogę powiedzieć, ażeby gospodarz tego zakładu okazał dla mnie zbyt wiele życzliwości; muszę jednak przyznać, że jest dzielny człowiek.

Przygotował się na wykarmienie osób, wbrew naszym posepnym wróżbom.

Znowu zjawia się opatrnościowy inżynier Sokal i prezentuje mnie i moich przyjaciół naczelnikowi stacji p. Bogusławskiemu. Okazały to człowiek i bajecznie gościnnie. Sam prowadzi nas do pokoju, każe stawiać łóżka, daje własną pościel, jakbyśmy, biedni tułacze, byli jego najserdeczniejszymi przyjaciółmi. Marzyć nie śmieliśmy o podobnym przyjęciu.

Chwilę pokręciwszy się idziemy spać. Kardynalskie posłanie! na każdym zmieściłyby się dwie osoby i jeszcze braciszek klasztorny na dodatek.

Otóż i sierpień, czwarta rano. Budzi nas służący, z którego aforyzmów wnoszę, że kiedyś musiała go lokomotywa uderzyć w głowę.

Stosownie do alfabetycznego porządku dźwiga się naprzód Wł. Bogusławski w bieli jak posąg komandora. Widno już jest o tyle, że na stopach mego przyjaciela spostrzegam jakiś strój ciemnej barwy, kto wie, czy nie haftowany w kwiatki.

— Skąd u diabła wyrwałeś kolega pantofle w Mławie?

— To nie są pantofle... To kolorowe skarpetki!... — odpowiada mój wspaniały przyjaciel, pluszcząc się w czterogarnkowej miednicy jak kaczorek.

— Więc za półtorej godziny zaćmienie... Brr!...

Przez okno rozległy widok na ulicę. W zenicie niebo czyste, za to północ, południe, a nade wszystko wschód, zasnuwane wielkimi szmatami chmur. Jeżeli się rozsuna... z pewnością rozsuna; mają przecie półtorej godziny do uporządkowania się.

Umyty jak na bal w ratuszu pędzę do restauracji, piję herbatę i czekając na moich przyjaciół wałęsam się po platformie.

Aha! już wiem. To są wagony, które nas wczoraj przywiozły. Tu, w historycznym hiszpańskim płaszczu, stał Bożydar z pudłem w rękę.

— A co to? — zapytałem go.

— To dla Reichmana.

— Kalmusówka?

— Nie, termometry.

Tu krążył Gomulicki, chowając w kieszeniach paltota ręce. Tam, za wsią, leżą wzgórza, z których mamy oglądać zaćmienie.

A oto niezapomniany słup, pod którym wczoraj jeden z moich drogich przyjaciół, wobec nieprzejrzaney ciżby ludu, wręczył mi honorową butelkę wina. Kupił ją i przywiózł we własnej kieszeni; nie wiem czy w imieniu narodu, czy od siebie.

— A cóż jegomość będzie miał? — Phii... mój panie!...

I niedbale machnął ręką. Snadź wspomniał na ptaki powietrzne.

Na platformie ukazują się pp. Wł. Bogusławski i Węgliński, a pierwszy mówi:

— No, już czas.

Był w tej chwili uroczystszy niż kiedykolwiek. Zegarki wskazywały wpół do piątej.

— A więc za godzinę ... Dorożka!

Zajeżdża dorożka, siadamy we trzech i lekkim klusem toczymy się w stronę pagórków. Jest już kompletny dzień, doskonale można czytać. Po błotnistej drodze jedziemy na widowisko, które człowiekowi pozwolono oglądać raz, czasem dwa razy w życiu. Do tej drugiej grupy szczęśliwców należy Bogusławski. Przypatrując się jego minie, dosyć rzadkiej w tej chwili, wnioskuje, że przedstawienie będzie naprawdę poważne. Mój przyjaciel jest bladawy, podczesuje brodę i jeżeli mnie pamięć nie myli (może myli), ściska pod pachą swego „Kuriera” z rącznikiem i szczoteczką do zębów. W jakim celu wiózłby je na zaćmienie? dalibóg nie wiem.

Zaczyna mi się robić markotno, jakbym jechał na przypatrywanie się egzekucji. Widno, bo widno, ale chmury ani myślą ustępować.

Żeby choć na kilka minut rozdarły się! ... Przecie szkody sobie tym nie zrobią.

Dorożka jedzie w sposób tak pospolity, jakby zaćmienie miało być dopiero za półtora roku. Przecina w poprzek wieś, podobną do szkaradnego miasteczka, nurza się w błocie jakiejś wąskiej uliczki, przy której stoi kamienica, mieszcząca w sobie szkołę, i nareszcie wrzyna się w piaszczyste zagony. Markotno, ach! jak markotno...

— No, nie bądźże w końcu śmieszny — mówię sam do siebie. — Co w tym nadzwyczajnego? Księżyc stanie naprzeciw słońca i rzuci cień, jak rzuca cień drzewo, budynek, wreszcie każdy z nas. A że w tej chwili księżyc znajduje się od ziemi o tysiący mil, więc nas dosięgnie. Co masz pozować na sentymentalnego, taki stary chłop? Zostaw to pannom potrzebującym wyjść za mąż.

Dorożka staje, a nieprzystępny delikatnym uczuciom furman jeszcze raz rzuca okiem na pieniądze, czyśmy mu nie wsunęli fałszywej czterdziestówki. Potem jak Charon z łodzią zawraca po innych pasażerów, którzy niecierpliwą się na stacji.

Jakże to już dawno opuściliśmy stację: jest chyba ze sześć minut!

Po wilgotnym, trochę zapadającym się piasku, wchodzimy na pagórek gdzie już stoi kilkaset osób. To samo towarzystwo, które wczoraj

w pociągu i w restauracji huczało jak burza, tu, choć jeszcze słońce nie weszło, zachowuje się tak spokojnie, jakby w polu stał ołtarz i miało odprawiać się nabożeństwo. Widać nie mniej jednemu markotno.

Obszerna równina. Za nami, w głębi, leżą ogromne budynki stacji, żółte, z czerwonymi dachami; na prawo, o sto kroków, drugi pagórek, na nim domek młynarza, jeszcze jeden domek niewykończony, bez drzwi i okien, i wiatrak, który jakby nigdy nic, wywija skrzydłami. Daleko na południe znowu widać wiatrak i wieże mławskiego kościoła. Zresztą, smutna równina, bardzo rozległa, a nad nią szare obłoki, gęsto poprzerywane bladymi szczelinami.

— A gdzie tu słońce wschodzi?

— Tam, jak ten krzak... Widzi pan?

Widzę krzak, od niego na prawo jeszcze jeden pagórek, a na nim znowu gromadkę osób. Stoją może na pół wiorsty przed nami jak słupy opuszczonej palisady.

W stronie północnowschodniej robi się między chmurami wyłom, przez który leżą się ogniste potoki świtu. Cała gromada widzów zwraca uwagę w tamtą stronę, myśląc, że tamtędy wejdzie słońce.

W najbliższym sąsiedztwie mam nieduże, ale soczyste grono filistrów. Panowie ci nie znają się, nigdy nie widzieli się, lecz w jednej kwestii zgadzają się jak bliźnięta, że nie było

po co przyjeżdżać. Mają pretensję do siebie, że się tu znaleźli, do kolei, że ich przyniosła, do chmur, że zasłaniają niebo, do słońca, że podobny dzień wybrało na zaćmienie, wreszcie do Boga, że stworzył taki kiepski świat, w którym człowiek za swoją noc zmarnowaną i ruble kop. nic wiedzieć nie może. Ale ani natura, ani Pan Bóg, ani nawet kolej Nadwiślańska nie okazują skruchy.

— Uspokójcie się, panowie, w tej chwili wejdzie słońce i możecie je zobaczyć. Jest to ten rodzaj obłoków, które niezupełnie zakrywają słońce.

— Kpij pan z tego!... diabli nas tu przynieśli!... — krzyczą rozgniewani filistrowie.

Spoglądam na zegarek — co u licha? ... słońce już być powinno, nawet według mławskiego czasu. Patrząc na wyłom północnowschodni, a i tam łuna blasków wskazuje, że słońce już weszło.

Nagle rzucam okiem na prawo od krzaka, poza którym miało ukazać się słońce, i ze zdumieniem widzę, może o łokieć nad horyzontem, krążek czarny, w dolnej mniejszej połowie zasłonięty chmurą, w kilku miejscach powierzchni poplamiony szarymi obłoczkami, ale mimo to wyraźny, szczególnie z boków.

Domyślam się, że słońce już weszło nad horyzont, lecz nie pokazało się, gdyż zakrywa je, prawdopodobnie w górnej części, księżyc. Rzadkie chmury odegrały przy tym rolę szkła okopconego.

— No, patrzcie panowie, widać księżyc — mówię pokazując w kierunku krzaka.

Odpowiedziano mi wybuchem śmiechu. Filistrowie krzyżąc i machając rękami, patrzyli — jeden na północ, drugi na wiatrak, trzeci na mnie, a czwarty wyrwał mi z rąk lunetkę i wyciągnąwszy z niej dwa stawy, oświadczył, że nic nie widzi.

Tymczasem obłoki zasnuły księżyc.

— Ale wiercie mi, że go widział — mówię.

— Śmieję się pan z tego!... ślepy jesteś i chcesz widzieć to, czego kilkaset osób nie widziało. Masz pan halucynacje i nic więcej.

Była wprawdzie obok nas dama, warszawianka, która powiedziała, że również widzi czarny krążek.

Ponieważ jednak w kilka dni później oświadczył mi jeden z filistrów, że wobec niego cofnęła swoje zwierzenie, nie ma więc już żywej duszy, na której świadectwo mógłbym się powołać.

Mimo to jestem pewny, że przez chwilę widziałem czarny krąg w miejscu wschodu słońca. Czułbym też gorącą wdzięczność dla szanownych panów: Kowalczyka i Jędrzejewicza, gdyby zechcieli rozstrzygnąć, czy w ogóle można było widzieć górną część księżycy (dolnej nie widziałem) na jakie pół godziny przed zaćmieniem?

Mogło to być złudzenie, którego zresztą też nie zarzekam się; ale mógł być fakt.

Zwracam uwagę, że zjawisko działo się wśród szarych obłoków, i że w podobnych warunkach widywałem nieraz wschodzące słońce. Wyglądało wtedy jak duża kula o czerwonej barwie i ukazywało się na tle obłoków jakby przed nimi. .

Ciężko udręczony i tak szpetnie wyśmiany przez filistrów, aby ocalić resztki honoru, rzucam niegościnnie pagórek i przenoszę lary i penaty na

drugi obok wiatraka. Dwaj towarzysze postanawiają dźwigać ze mną
brzemień wygnania.

Bogusławski otwiera ten żaloszny pochód, stąpając jak metrowa wieża
Eiffła. Na widok jego pogardliwie zadartej brody przypominam sobie
poemat: „O przyjaźni”, ułożony niegdyś przez antykwariusza Kierera:

Przyjaciół wierny
Więcej znaczy
Niż skarb niezmierny;
On przebaczy
Wszystkie urazy
Kilka razy.

Opatrność wynagrodziła moją krzywdę, gdyż obok chaty młynarza
znaleźliśmy dwa wesoło bawiące się pieski i białego kota, który siedział
na progu lub włóczył się po dziedzińcu. Na lewo od pagórka stało kilka
wozów z końmi, a za nimi cała owa grupa ciekawych warszawiaków,
któraśmy opuścili. Stąd nawet wyglądali trochę sympatyczniej.

Widziałem, że naigrawający się filistrowie zebrali się na narady,
uszykowani w ten sposób, jakoby chcieli zasiać do winta. Łaska boża, że
nie znalazł się tam taki astronom ze stolikiem do obserwacji, gdyż zaraz
by go przepędzili i wzięli się do zwykłego warsztatu. Jestem prawie
pewien, że mieli ze sobą składane krzeselka ukryte w laskach i świece w
podróznych lichtarzykach na czas zaćmienia.

Dopiero na tym wzgórzu, z daleka od urągania filisterskich, mogłem nieco
skupić uwagę. Żywo stanął mi w wyobraźni krąg widziany przed kilkoma
minutami. I zdawało mi się, że jakiś olbrzymi potwór niby sufler z budki
wytknął spoza horyzontu czarną głowę spoglądając, czy już pora zaczynać
przedstawienie?

Wciąż było widno. Na wschodzie zgęszczały się chmury, ale błyszczał
jeden pasek jasny niby drzwi ostrożnie uchylone. Zachód był nierównie
czystszy; niedaleko horyzontu leżał szmat prawie błękitnego nieba duży
jak Plac Teatralny, upstrzony białymi obłoczkami.

To miejsce wydało mi się najważniejsze; tu powinienem był dostrzec
nagły skok cienia księżycowego. Na ten też punkt postanowiliśmy

uważać, ja i p. Węgliński, mówiąc nawiasem, szczęśliwy posiadacz dobrego zegarka.

Na wzgórzu oprócz nas znajdowało się kilka dam, jenerał Brok ze świtą oficerów i kilku panów cywilnych.

Było między nimi cicho jak makiem zasiał. Młynarz siedział w wiatraku, a młynarka w izbie zajmowała się śniadaniem, bez pomocy sztucznego światła, zwyczajnie jak w dzień.

Nagle coś drgnęło na niebie i na ziemi i cały horyzont odrobinę ściemniał. Była to jedna z tych widocznych zmian oświetlenia, któreśmy spostrzegli wszyscy. Zaćmienie cząstkowe rosło stopniowo; nie od niego więc zależał ten ruch momentalny. Prawdopodobnie nadpłynął jakiś obłok. Ale umysły tak były nastrojone, że dopiero od tego momentu uczuliśmy się pod moralnym wpływem wielkiego zjawiska.

Nie wiem, czego doświadczyli inni. Ja osobiście nie doznawałem żadnej przykrości, tyłkom spostrzegł, że wyobraźnia poczyna grać silniej niż zwykle i — że czas mi się rozszerza. Jedna sekunda rozrastała się na dwie, trzy, cztery... tak że kiedym myślał, iż upływa minuta, upływało naprawdę lub sekund. Zegarek można było jeszcze doskonale odczytywać. Obłoczki w zachodniej wyrwie były wciąż białe. Dwa pieski goniły się, pełne wesołego nastroju ducha, kot siedział przed chatą. Kolory, które miałem na karteczce, nie uległy żadnej zmianie.

Tylko ludzie mówili między sobą, że już jest trochę ciemniej i że ciemność wzmaga się, chociaż w sposób tak nieznaczny jak ruch minutowej wskazówki.

Nie wiem, czym gdzieś to czytał, może widział obraz, a może mi się tylko śniło, ale w tej porze przyszła mi na myśl jakaś olbrzymia kobieta, klęcząca, w szarym płaszczu, z twarzą zamyśloną i nad wszelki wyraz spokojną. Zdawało mi się, że patrzę na tę kobietę i że widzę, jak długie rzęsy powoli, ale coraz głębiej zasłaniają jej oczy i jak ona sama coraz niżej pochyła się, a na jej oblicze pada cień coraz mocniejszy.

Dlaczego ona tak pochyła się? ... Dlaczego tak przysłania oczy?...

Dlaczego badacze nie biorą na zaćmienia ludzi ślepych, ażeby zobaczyć:

jaki wpływ na nich wywiera to zjawisko? ... I dlaczego ja nie spojrzałem na zegarek w chwili drgnienia ciemności? ...

Spojrzałem teraz; było kilkanaście minut po piątej.

Zastanowił mnie nadzwyczajny spokój w duszy i brak wszelkich pragnień. Będzie zaćmienie całkowite, czy nie będzie — wszystko mi jedno.

Podobno zażycie, morfiny ma napędzać ludzi bardzo wielkim spokojem. Większego jednak niż obecny nie spodziewam się poznać.

Drugie drgnienie... Pociemniało jeszcze bardziej, lecz mimo to ciemność posuwa się dalej jak minutowa wskazówka. Białe obłoczki na zachodzie trochę pożółkły, wiatrak zatrzymano, jeden pies uciekł, ale drugi jest kontent i za siebie, i za niego. Skacze, biega, wspina się komuś do kolan bardzo wesoły. Jest minut po piątej. Do zupełnego zaćmienia brakuje kilku minut.

— Prawdopodobnie taki stopień ciemności zobaczą w Warszawie, niewiekszy.

Mówię to, ażeby, się uspokoić, gdyż ogarnia mnie niepokój. Chodzę, siadam, przypatruję się niebu i ludziom na tamym wzgórzu, lecz nie mogę sobie znaleźć miejsca ani rozrywki. Nie jest to strach, lecz raczej świadomość jakiegoś rozbratu między myślą i uczuciami. Skąd ten niepokój? Czy z zaćmienia? ... Ależ takie zaćmienie można widzieć przed każdą burzą, która w tej chwili nie grozi. Czy niebezpieczeństwo? ...

Niebezpieczeństwa nie ma, to chyba zrozumie każde dziecko.

Więc co mnie dręczy? Oto w świecie czuję brak odpowiednich współistnień, dysharmonię, a w umyśle brak odpowiednich definicji. Jest niby ciemno, a jednak wszystko widać; jest mrok burzowy, lecz obłoki nie mają burzowego wyglądu. Oczy moje coś widzą, ale ja nie umiem tego określić. Brak mi nawet

porównań. Tylko wielki żal, który rozpiera mi serce, może znaleźć porównanie. Gdyby konający widział własną twarz, jak mu stopniowo blednie, sinieje, wreszcie szarzeje, doznałby zapewne tego smutku, jaki się ma patrząc na stopniowe zamieranie światła.

A jednocześnie czujesz inny żal — że ten widok skończy się tak prędko! Spoglądam na konie stojące przy wozach. Konie mają zwieszane łby jak zwykle, lecz za to pewna liczba osób schodzi z tamtego pagórka i dąży ku budynkom. Między wierzchołkiem pagórka a płotem najbliższej chaty formują oni łańcuch. Tu dwoje, o kilka kroków na ziemi jeden, dalej ze

czworo, jeszcze dwoje... Niektórzy zapewne myślą, że już nie będzie ciemniej i wracają do domu; innych może pędzi niepokój.

Biały kot cofnął się do izby, ale pies wciąż bawi się. Jego. wesołe skoki, którym nie towarzyszy szczekanie, wydają mi się trochę dziwne. Teraz wszystko dziwi!

Do zupełnego zaćmienia jest jeszcze minuta, najwyżej dwie. Chcąc obrachować długość zjawiska przygotowuję zegarek i zapałki. Mam także papierek z barwami.

— Niech pan uważa na te obłoczki, panie Węgliński!

Owe zachodnie obłoczki, białe przed kwadransem, porobiły się już rudawożółtawe jak brzegi chmury gradowej. Wiatr, który ciągle dął od strony północnowschodniej, nabiera bardziej wschodniego kierunku, wzmaga się i staje się surowszym. Dźwiga masę wilgoci.

Wlepiam oczy w otwartą cząstkę nieba, a jednocześnie z ukosa patrzę na zegarek. Lada chwila padnie cień księżycy. Siadam na belkach z zadartą głową, jakbym miał dokonywać najznakomitszych obserwacji i myślę, że z tą blagierską postawą muszę być grubo śmieszny. Liczby na zegarku jeszcze odróżniam; w naturze kolorów nie widzę zmiany. Tylko straciły żywość, jak powinno być o zmroku.

Całe towarzystwo, które patrzyło dotychczas na wschód nieba, przenosi się na naszą stronę; damy rozmawiają.

Wtem nowe drgnienie... Na rude obłoczki padła delikatna sadza; sklepienie chmur pochyliło się w sposób widoczny, jakby przysiadło; damy zakończyły rozmowę szeptem...

— Zaćmienie...

Już nie widzę sekundnika na zegarku, ręce mi dygoczą, jakbym komu wygrażał.

Zapalam jedną zapałkę, drugą... obie gasi mocny wiatr. Daję za wygraną sekundom, minutom, barwom; wszystko leci mi z rąk, nie wiem, na co pierwszej patrzeć.

Lecz w takich razach człowiek prędko się opanowuje. Otóż i jestem świadkiem zaćmienia zupełnego. P. Węgliński przyklepił oko do zegarka i liczy sekundy. Uciekający z pagórka na dół do chaty stanęli i stoją sznurem po dwu, po trzech... Konie spokojne; młynarka zapala w izbie

lampę z kloszem, której światło jest czyste, białe. Nagle widzę, że kot wdrapuje się na futrynę drzwi wchodowych, jakby go kto gonił.

— Gdzie piesek?

— Sobaczka spriatałaś... — odpowiada cicho oficer. Znowu czuję spokój, ale z odcieniem nieopisanego żalu;

jeżeli zbawieni mogą się smucić w niebie, to chyba w taki sposób. Cały horyzont od mławskich piasków do zenitu napełnia jakiś sinawy zmrok, przy którym widać na drugim pagórku tłum ludzi przemienionych w kamienie. Na południowym horyzoncie, tuż przy ziemi, ciągnie się szeroki na łokieć pas światła barwy żółtaworudawej, przysypanej sadzą.

Ach! jak smutno... Dusza straciła swoją indywidualność, i jest tylko kroplą odbijającą jakieś nieokreślone uczucie całej natury. To nie ślepy gniew burzy, to nie groza gór przygniatających człowieka, to nie głód przepaści, która nas chce pochłonąć, to nie niepewność, jaką budzi nieznana okolica

podczas nocy. To jest raczej żal, powszechne stroskanie świata.

Żal po czym? ... Z jakiego powodu? ... Może ziemia myśli i oto teraz wyobraża sobie straszną epokę, kiedy gasnące słońce, to ukochane słońce, zamiast światła będzie rzucać tylko pomrokę?

„Było około szóstej i stała się ciemność po wszystkich ziemi, zaćmiło się słońce i zasłona kościelna rozdarła się wpół.

„A Jezus zawołałszy głosem wielkim — Ojcze! w ręce twoje polecam ducha mojego — skonał”.

Tak, ale co na to mówi Renan, Straus?...

Lecz jeżeli istotnie skonał? ... W takim razie nie ma chyba zjawiska, które by dokładniej odpowiadało podobnemu nieszczęściu, jak ten siny mrok i ogniste obłoki zasłonięte kirem.

„W rozmyślaniu widzenia nocnego, gdy przypada twardy sen na ludzi, zdjął mnie strach i lękanie. Duch szedł przed twarzą moją, tak iż włosy powstały na ciele moim. Stanął, a nie znałem twarzy jego, tylko jakiś kształt był przed oczyma moimi. Uciszyłem się...”

I czekałem, że lada chwila usłyszę ciężkie westchnienie ziemi: „Boże, bądź miłościw nam grzesznym!”

Nagle zniknęła sina ciemność z widnokregu i ów czarny, delikatny pył z zachodnich obłoczków, które wnet zbiegły.

— Dziewięćdziesiąt sekund — mówi p. Węgliński.

— Nie podobna, miało być ...

— Tylko , patrzyłem uważnie.

Już po zaćmieniu całkowitym! na resztę cząstkowego, jaka jeszcze została, nikt nie chce patrzeć. Cały tłum dąży na stację. Filistrowie nurzają się w zachwytach, ponieważ będą jedli śniadanie; machinalnie dotykają kieszeni, czy ich kto nie okradł, i przyspieszając kroku mówią:

— Bardzo mi się podobało.

— Jestem zupełnie zadowolony.

Rychtyg jakby wracali z „Barona cygańskiego”.

Po pierwszym dzwonku zbieramy się wszyscy: ziemianie, inżynierowie, chemicy, literaci i Br. Reichman na przykładkę. Siada w kącie przedziału z kwaskowatą miną i w przerwach między opukiwaniem żołądka, na który, zdaje mu się, że cierpi od lat , odczytuje swoje astronomiczne notatki:

„Godz. min. . Przez rynek biegnie pies z zadartym ogonem...”

Komuś przychodzi do głowy cudna myśl, ażeby wysłać do Wilna telegram tej treści:

„Mława, piękna pogoda, fotografie korony, na wschodzie tarczy kometa, na połud.zach. Wulkan”.

Wyobrażam sobie miny członków naukowej ekspedycji. Niestety, na wykonanie tej pięknej myśli brakło nam czasu.

Naukowe rezultaty „naszej” ekspedycji są następujące: Inżynier Sokal oznaczył początek całkowitego zaćmienia (czas warszawski) na godz. min. , sek. ; koniec godz. , min. , sek. ; czas trwania sek.

Zupełnie w innym punkcie stojący p. Węgliński oznaczył czas trwania całkowitego zaćmienia na sek. Obie cyfry bardzo podobne, a wypada z nich, że Mława, na mapie „Wszechświata” była o wiorst za blisko, a na mapie „Kraju” o wiorsty za daleko od linii zaćmienia centralnego.

Co do barw — zapomniałem o nich w chwili najważniejszej, ale nie zapomniał p. Smólski. Był on we Włocławku i podczas zupełnego zaćmienia dostrzegł, że kolor amarantowy, a nade wszystko pomarańczowy posiniały. W innych kolorach nie zauważył zmiany.

Coś mi się wydaje, że cień księżycy w atmosferze ziemskiej nie jest chyba kompletnie czarny, ale raczej granatowy i że wstrząsające efekta świetlne,

jakieśmy widzieli pomimo chmur, zależą w części od blasku korony słońca (barwy rude i miedziane) , w części od koloru owego cienia (powszechna siność).

To by wskazywało, iż efekt zaćmień można by odtworzyć w teatrze lub na płótnie, ale że w naturze żaden pochmurny dzień czy noc nie da o nich pojęcia. Największemu bowiem zachmurzeniu zawsze będzie brakować posępnego cienia księżycy i zapewne, nieweselszego światła korony słonecznej.

Na zakończenie uroczystości, p. Rakowski na jednej stacji zjął z nas wszystkich kieszonkową fotografię. Jeżeli więc zobaczycie kiedy u obrazników wizerunki z podpisem: Kolumb, Newton, Herszel itd., dowiedzcie się, że uzmysławiają one nasze wdzięki cielesne.

Po dopełnieniu tej ostatniej formalności staliśmy się na powrót zwyczajnymi śmiertelnikami i kto by nas dziś spotkał na ulicy, nie poznałby nawet przez mikroskop, że patrzy na mężów, co w dniu sierpnia przyozdabiali swymi kształtami mławskie pagórki.